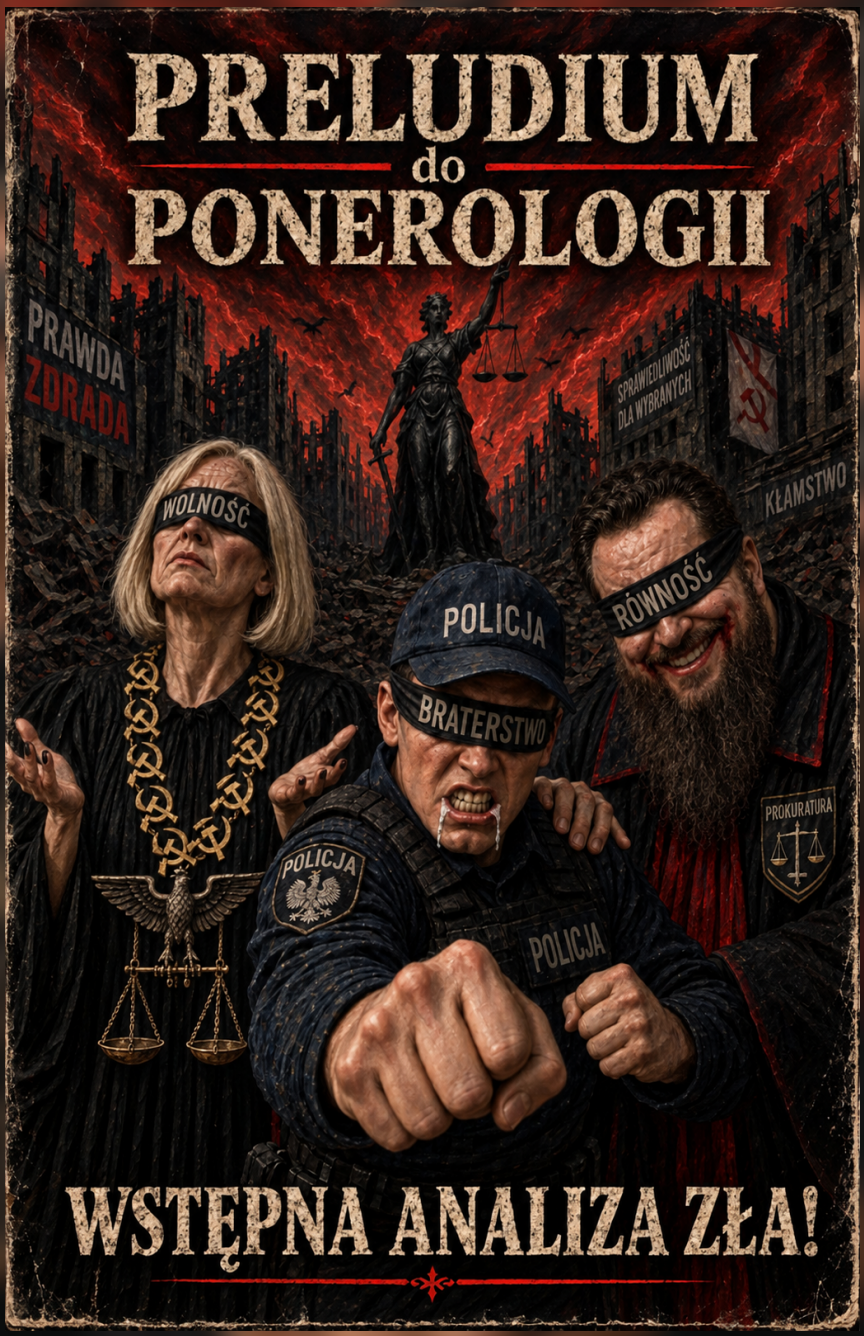

PRELUDIUM
do
PONEROLOGII
PRAWDA
ZDRADA
SPRAWIEDLIWOŚĆ
DLA WYBRANYCH
KŁAMSTWO
WOLNOŚĆ
RÓWNOŚĆ
POLICJA
BRATERSTWO
POLICJA
POLICJA
PROKURATURA
WSTĘPNA ANALIZA ZŁA!

„Granica między cywilizacją a barbarzyństwem nie przebiega między religiami czy ideologiami, lecz między ludźmi, którzy myślą i biorą odpowiedzialność, a tymi, którzy chowają się za strukturą. System może zwolnić z prawnej kary, ale nie z moralnej winy. Nigdy!"

— PATTAYA, 23.IV.2026

SPIS TREŚCI

PROLOG — Zanim powstał Totem **1**
Od mięsa w cudzych zębach do architekta własnych zasad

WSTĘP — Czy to diabeł jest zły, czy my? **5**

CZĘŚĆ I — MODEL HISTORYCZNY
Rozdział 1 — Koło Duranta **9**
historia jako choroba przewlekła

CZĘŚĆ II — TEORIE
Rozdział 2 — Jednostki dyssocjalne w patokracji **21**
rdzeń oziębłości
Rozdział 3 — Plastyczny potwór **29**
o tym, jak normalni ludzie stają się narzędziami zła
Rozdział 4 — Faza dysymulatywna **39**
jak wchodzi zło
Rozdział 5 — Poneryzacja języka **46**
*czyli nie wiem, jak państwo, ale ja będę w*****ł!*
Rozdział 6 — Karykaturyzacja **57**
szyld bez sklepu
Rozdział 7 — Ponerologia w praktyce **70**
jak rośnie zło

CZĘŚĆ III — INSTYTUCJE ZAKAŻONE
Rozdział 8 — Urzędnik krzywdziciel zmienia biurko **80**
czyli wycieczka po przedszkolu imienia Mariusza Trynkiewicza
Rozdział 9 — Patokracja i religia **91**
między sacrum a manipulacją
Rozdział 10 — Płeć w służbie patokracji **97**
Kiedy oświecenie zgasiło własne światło
Rozdział 11 — Cykl emocjocentryczny **102**
bankiet na dachu płonącego domu

CZĘŚĆ IV — NARZĘDZIA DO CZYTANIA ŚWIATA
Rozdział 12 — Trzy kolory: UPADEK **116**
Konflikt, agresja, przemoc — czym się różnią.
Rozdział 13 — Vide cui fide **122**
czyli jak rozpoznać, czy system już klęczy

CZĘŚĆ V — PRAKTYKA PATOLOGII APARATU REPRESJI, CZYLI SOSNOWIECKA KAW(F)KA Z ORWELLEM
Rozdział 14 — Ponerogenny romb Adlera **130**
czyli dlaczego nosisz mundur niebieski
Rozdział 15 — Prawnicza maska Cleckleya **139**
czyli despoci w czerwonych żabotach
Rozdział 16 — Eichmann w kolorze blond **152**
czyli jestem człowiekiem, nie paragrafem!

CZĘŚĆ VI — CO Z TYM ZROBIĆ
Rozdział 17 — Jak nie Ty, to kto? **172**
od czegoś trzeba zacząć
Rozdział 18 — System salutogenny **177**
jak się nie dać

Dodatek — Syndrom Efialtesa jako ponerologiczne Dictum Hickama **189**
czyli chłopiec w niemieckiej piżamie

MANIFEST ZWYKŁEGO CZŁOWIEKA — Ku Karcie Praw Społeczeństw **198**

SŁOWNICZEK POJĘĆ **211**

DEDYKACJA

Książkę tę dedykuję mojemu świętej pamięci Ojcu — za charakter, który ukształtował we mnie odwagę działania i gotowość do stawania w obronie tego, co słuszne.

Równocześnie dedykuję ją mojej Mamie, której cierpliwość, dobro i mądrość nauczyły mnie, że sama siła bez rozumu prowadzi do chaosu, nie do dobra.

Z połączenia tych dwóch postaw rodzi się napięcie — między odwagą a rozwagą, między buntem a odpowiedzialnością, między jednostką a wspólnotą. W tym napięciu kształtuje się moja droga. Jej wyrazem, żyjąc w tym trudnym świecie jest moje życiowe motto:

FUCK THE SYSTEM, FIRST THE PEOPLE.

PROLOG

ZANIM POWSTAŁ TOTEM

Od mięsa w cudzych zębach do architekta własnych zasad.

Nie byliśmy szczytowi. Byliśmy w środku.

Przez większość swojej historii Homo sapiens nie był drapieżnikiem na szczycie łańcucha pokarmowego. Był zwierzyną. Kości naszych przodków noszą ślady zębów lampartów, hien, orłów. Paleoantropologia jest w tym bezlitosna — przez setki tysięcy lat człowiek był zjadany równie regularnie, jak jadł.

To ważne. Nie dla dramatyzmu.

Ważne, bo zewnętrzna presja — strach przed drapieżnikiem, głód, chłód, choroba — wymuszała spójność. Jeśli jesteś w środku łańcucha pokarmowego, potrzebujesz grupy bardziej niż czegokolwiek innego. Samotny Homo sapiens to martwy Homo sapiens.

Ale co się dzieje, gdy ta presja maleje?

Migracja nie była jednym marszem. Była serią fal.

Współczesna paleoantropologia dawno porzuciła obraz jednego, heroicznego wyjścia z Afryki. Wiemy dziś o co najmniej kilku falach — przez Lewant, wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego, przez Arabię w czasach jej zielonych korytarzy klimatycznych. Migracje przebiegały, zatrzymywały się, cofały, rozwidlały. Nie było sztabu generalnego ani planu.

Były przyczyny.

Nauka wskazuje na klimat, susze, zmiany w zasięgach zwierząt, choroby — malaria, jak i inne choroby kształtowała trasy naszych przodków. To wszystko prawda. Dobrze udokumentowana, twarda prawda.

I właśnie dlatego warto się zatrzymać i zapytać: czy to jedyna prawda?

To nie jest dominująca hipoteza paleoantropologii, lecz model wyjaśniający, który łączy znane mechanizmy społeczne w spójną całość.

Pierwsza demokracja była systemem do tłumienia jednostek które stawiały własny interes ponad przetrwanie grupy.

Gdy społeczność liczyła trzydzieści, pięćdziesiąt osób — wszyscy wiedzieli o sobie wszystko. Antropolog Christopher Boehm spędził dekady analizując dokumentację grup łowiecko-zbierackich z całego świata i odkrył coś, co nazwał mechanizmami poziomowania. Grupy te aktywnie tłumiły dominację. Gdy ktoś stawał się zbyt agresywny, zbyt manipulacyjny, zbyt wielki we własnych oczach — spotykał się z wyśmiewaniem, ostracyzmem, a w skrajnych przypadkach z fizyczną eliminacją. Boehm nazwał to pierwszą formą demokracji.

Była to demokracja surowa i skuteczna.

Ale miała swoje granice. Robin Dunbar — antropolog, który oszacował, że ludzki mózg jest w stanie utrzymywać bliskie relacje z około stu pięćdziesięcioma osobami — zaobserwował, że grupy poniżej tego progu mogą zarządzać sobą przez bezpośredni kontakt. Powyżej — potrzeba instytucji. Hierarchii. Zasad zapisanych gdzieś poza pamięcią każdego z członków.

A instytucje można przejąć.

Większa grupa, mniejsza widoczność. Mniejsza widoczność, większe pole manewru.

W małej grupie jednostka skrajnie zaburzona — agresywna, manipulacyjna, zdolna do przemocy, czy bez wyrzutów sumienia — jest widoczna. Jej zachowanie jest oceniane na bieżąco, przez wszystkich. Mechanizmy poziomowania działają.

W grupie większej ta sama jednostka zyskuje coś cennego: strategiczną anonimowość. Może budować koalicje, zanim zostanie zdemaskowana. Może rozgrywać podgrupy przeciwko sobie. Może konstruować narracje, w których jest ofiarą albo bohaterem.

Richard Wrangham, badając proces samoudomowienia człowieka, odkrył pewien paradoks: ewolucja wytłumiła w nas agresję reaktywną — ten odruch natychmiastowy, widoczny, bijący. Ale agresja proaktywna — planowa, zimna, obliczona — pozostała. I właśnie ona jest głównym narzędziem osobowości destrukcyjnych.

Nie krzyczą. Planują.

Nie biją przy świadkach. Ustawiają sytuacje. W małej grupie przy ognisku trudno długo działać w ukryciu — wszyscy wiedzą o sobie wszystko. W większej można.

Część ludzi mogła odchodzić nie dlatego, że brakowało jedzenia. Ale dlatego, że było za dużo chaosu.

Wyobraźmy sobie hipotetyczną scenę przy tamtym ognisku — kogoś przewidującego. Obserwującego. Taka jednostka mogła widzieć, jak struktura grupy powoli się zmienia — jak pewni ludzie skupiają wokół siebie lojalności, jak decyzje coraz rzadziej są podejmowane wspólnie, jak coraz więcej energii pochłaniają wewnętrzne rozgrywki zamiast polowania. Jak ta wczesna demokracja żyjąca w symbiozie pod wpływem jednostki zaburzonej zaczyna skupiać wokół siebie uległych konformistów i struktura społeczności zmienia się w elitę oligarchów.

Taki człowiek ma dwie opcje. Zostać i walczyć. Albo wziąć rodzinę i odejść.

To nie byłaby ucieczka ze strachu. To byłaby decyzja racjonalna.

Nowe miejsce. Nowa grupa. Może nowe zasady.

Jeśli ten mechanizm działał choćby częściowo — a wiemy, że działa współcześnie, więc nie ma powodów, dla których miałby nie działać w czasach, w których był bardziej potrzebny do przetrwania — ekspansja Homo sapiens mogła być napędzana nie tylko przez niedobory zasobów, lecz także przez społeczny nadmiar. Nadmiar dominacji. Nadmiar manipulacji. Nadmiar cierpienia wewnątrz własnej wspólnoty.

Historia jako ciągłe oddalanie się od siebie samych.

To fundamentalna różnica.

Człowiek nie musiał uciekać jedynie przed lwem, suszą czy malarią.

Mógł uciekać przed człowiekiem.

Ujmując rzecz najprościej: konflikty społeczne rodzące się z procesów ponerogennych mogły być jednym z napędów migracji i wędrówki ludów.

Totem nie był ozdobą. Był odpowiedzią.

Graeber i Wengrow, w swojej imponująco udokumentowanej pracy Świt wszystkiego, pokazali, że prehistoria była znacznie bardziej różnorodna, eksperymentalna i złożona niż dotąd sądzono. Wczesne społeczności próbowały różnych form organizacji — i niekiedy świadomie je zmieniały, odrzucały, budowały od nowa.

Symbole, rytuały, tabu, normy — wszystko to mogło powstawać nie z abstrakcyjnej duchowości, lecz jako odpowiedź na konkretne zagrożenie: chaos, dominację, rozpad więzi. Totem wyznacza granicę. Mówi: tu jesteśmy my, i nasze zachowanie rządzi się zasadami.

Tabu mówi: są rzeczy, których nie wolno, i nie ma potrzeby ich uzasadniać. Rytuał utrwala pamięć o tym, co było, gdy zasad brakowało.

Kultura jako system immunologiczny.

Nie piękny deser na końcu ewolucji. Konieczna szczepionka.

Cykl zaczął się przy pierwszym ognisku.

Dobrobyt. Wzrost liczebności. Rozluźnienie mechanizmów kontroli. Wzrost pola manewru dla jednostek destrukcyjnych. Destabilizacja. Migracja lub odbudowa. I znowu.

Nie dlatego, że historia lubi się powtarzać — to powiedzenie jest tyleż eleganckie, co puste. Lecz dlatego, że pewne cechy ludzkiej natury pozostają stałe. Zarówno te konstruktywne, jak i te destrukcyjne.

Współczesna nauka nie potwierdza tej hipotezy jako głównej przyczyny wyjścia z Afryki. Byłoby nadużyciem tak twierdzić. Jednak jako model pomocniczy — spójny z tym, co wiemy o mechanizmach poziomowania Boehma, liczbie Dunbara i proaktywnej agresji Wranghama — hipoteza ta jest przynajmniej wewnętrznie koherentna i warta postawienia.

A jeśli choć trochę odpowiada prawdzie, wynika z niej coś ważnego.

Ponerogeneza nie jest wynalazkiem nowoczesnych państw. Nie jest efektem ubocznym cywilizacji. Jest starsza niż pismo, starsza niż miasto, starsza niż każda instytucja, którą umiemy nazwać.

Zaczęła się wtedy, gdy grupa stała się wystarczająco duża, by można było w niej kłamać bezkarnie.

A to mogło być już przy pierwszym ognisku.

Wstęp

Czy to diabeł jest zły, czy my?

Od ponad pięciu tysięcy lat, odkąd człowiek nauczył się zapisywać swoje myśli, próbujemy opisać to samo zjawisko: dobro i zło, mądrość i głupotę. W tym czasie powstało wiele systemów etycznych i wzniosłych teorii. Arystoteles opisał cnoty, Kant zdefiniował imperatyw kategoryczny, a Biblia podała przykazania. Każda wielka tradycja intelektualna i duchowa dorzucała swój kamień do wspólnej próby zrozumienia różnicy między człowiekiem dobrym a złym.

Kiedy nauka — psychologia, psychiatria, neurobiologia — zaczęła badać to, co przez wieki nazywaliśmy „złem charakteru", odkryła, że nie ma jednej złej natury ludzkiej. Istnieje natomiast pewien procent populacji, który jest wewnętrznie inaczej zbudowany. Ludzie ci nie rozumieją empatii jak większość i nie odczuwają wstydu w sytuacjach, które u zdrowego człowieka budzą opór. Dla nich podręczniki etyki są instrukcją obsługi — nie moralnym przewodnikiem, lecz mapą pozwalającą sięgać wyżej.

W ten sposób powstaje paradoks: osoby z zaburzeniami charakteru potrafią używać wiedzy etycznej jako mapy zachowań — nie jako drogowskazu moralnego. Normalni natomiast dotąd nie mieli prostego i czytelnego poradnika, jak rozpoznawać zło.

Celem tej książki jest pokazanie, jak działają mechanizmy zła, oraz wyposażenie czytelnika we wstępne narzędzia do ich rozpoznawania. To nie jest dzieło akademickie. To nie jest też praca naukowa w ścisłym rozumieniu tego słowa — i autor ma pełną tego świadomość. Są to wyniki ponad dwudziestu lat obserwacji i doświadczeń zbieranych w różnych krajach, środowiskach i sytuacjach życiowych. Obserwacji, które autor prowadził jako uczestnik — nie jako badacz zza szyby. We wszystkich przypadkach mechanizm działania osób zaburzonych wyglądał tak samo, niezależnie od kultury czy szerokości geograficznej.

Książka ta może zawierać pewne błędy oraz braki. Autor nie tylko to dopuszcza — on to zakłada, stąd w tytule znalazło się słowo Preludium. Żaden człowiek obserwujący złożone zjawisko społeczne przez ponad dwie dekady nie jest w stanie uniknąć subiektywizmu. Część spostrzeżeń zawartych w tej książce okaże się trafna, część — nie w pełni. Niemniej jej celem nie jest akademicka doskonałość. Jej celem jest pokazanie kierunku: kierunku funkcjonowania zła, którego albo

ludzie nie widzą, albo — co gorsza — z jakiegoś powodu widzieć nie chcą.

I właśnie to „nie chcą" jest być może najważniejszym problemem, z którym ta książka się mierzy.

Zaskakująco wiele patologii społecznych opisanych na tych stronach nie ma jeszcze swojego ugruntowanego miejsca we współczesnej nauce ani w powszechnym nazewnictwie. To nie jest drobny szczegół — to jest fundamentalna luka. Jeśli zjawisko nie ma nazwy, nie istnieje oficjalnie. Jeśli nie istnieje oficjalnie, nie można się przed nim skutecznie bronić na poziomie społecznym ani instytucjonalnym. Prawo nie chroni przed tym, czego nie potrafi nazwać. Instytucja nie reaguje na to, czego nie rozpoznaje. Człowiek nie broni się przed tym, czego nie widzi.

To jest właśnie pułapka, w której tkwimy. Zło działa. Nauka powoli za nim nadąża. A ludzie w międzyczasie płacą cenę.

Najkrótsza odpowiedź na pytanie „co z tym zrobić" brzmi paradoksalnie: nie karm konfrontacji emocjonalnej, ale działaj przez granice, świadków i środowisko. Walka jest pokarmem dla człowieka zaburzonego, często nawet większym niż samo wycofanie się jednostek zdrowych ze środowiska. Wystarczy pozostać sobą — trwać w zdrowiu psychicznym i otaczać się podobnymi sobie. Patologia, jak każdy pasożyt, szuka żywiciela — gdy go nie znajduje, przenosi się gdzie indziej. Tam gdzie dostaje przestrzeń do działania. Wystarczy, by normalni, zdrowi ludzie pozostali sobą i zachowali spokój, wtedy patologia nie będzie mogła się rozwijać.

Ta książka ma pomóc w tym jak rozpoznawać mechanizmy, którymi się kierują ludzie zaburzeni — bo bez rozpoznania nie ma obrony. A bez nazwy nie ma rozpoznania.

Kilka uwag od autora na marginesie: ta książka jest zapisem kierunku, nie dogmatem. Czytaj ją jak mapę, nie jak wyrok. Mapa może być niedokładna — ale lepsza niedokładna mapa niż żadna, gdy błądzisz w terenie, który ktoś celowo pozbawił drogowskazów.
Idąc przez dżunglę, mapa pomaga, podobnie jak ekwipunek. Ale tylko na krótką trasę i w znanym lub przyjaznym rejonie. Im głębiej wchodzisz, tym bardziej musisz sam rozpoznawać zagrożenia, trujące rośliny, niebezpieczne zwierzęta.
Podobnie jest w życiu codziennym.
A to, czy przyłączysz się do zła, jest już wyłącznie Twoją decyzją.

Książka została ukończona 23.04.2026, wtedy też powstała okładka, jako jej uwieńczenie.

W kolejnych miesiącach poprawiana była tylko stylistyka, wygładzany rytm oraz dla lepszego przekazu wyciszane emocje. Rozwijały się tylko rozdziały 15 i 16. Na co ja, jako autor, wpływu nie miałem.
Książka zaczyna się od modelu historycznego (rozdział 1), przechodzi do teorii (rozdziały 2–7) i instytucji zakażonych (rozdziały 8–11), następnie daje narzędzia do czytania świata (rozdziały 12–13), a dopiero potem pokazuje praktykę patologii aparatu represji na moim własnym przykładzie (rozdziały 14–16). Na koniec odpowiada na pytanie, co z tym zrobić, i opisuje system salutogenny (rozdziały 17–18). Dodatek to opowiadanie będące hipotezą roboczą, a po nim następuje manifest.
Rozdziały 14–16 tej książki są osobiste i pokazują praktykę funkcjonowania chorego systemu. Systemu, w którym to instytucja i ludzie ją reprezentujący nigdy nie są winni i nigdy nie ponoszą kary. To obywatel ma rozumieć, że wina jest zawsze po jego stronie, bez względu na koszty zarówno społeczne, jak i indywidualne. Systemu, w którym człowiek oceniany jest powierzchownie, a karany dogłębnie.
Planowałem tę książkę napisać od dawna — miała nosić inny tytuł (Paragraf 44), być czystą teorią i powstać później. Postanowiłem to jednak przyspieszyć i pokazać na własnym przykładzie to, o czym piszę: jak system niszczy konkretnego człowieka.
Dodatek ma zupełnie inny charakter — to hipoteza, którą uważam za wartą postawienia.
Jeżeli interesuje Cię tylko teoria zła systemowego, możesz pominąć część praktyczną zawartą w Części V. Jest to historia, która pokazuje praktyczne zastosowanie wcześniejszych rozdziałów.
Proszę nie traktować części V jako osobistej wendety, jest to opis mechanizmów w praktyce. Poświęciłem dużo czasu, nerwów, energii i pieniędzy, aby pokazać, jak działa system w praktyce. Mogłem przyjąć ciosy oraz 100 zł mandatu, jak to miało miejsce zawsze do tej pory, i skończyłoby się zasadniczo dla mnie lepiej, ale nadarzyła się okazja do podbicia teorii praktyką i chcąc mieć jej potwierdzenie, poświęciłem się. Ciężko byłoby to przeżyć, nie odczuwając przy tym żadnych emocji. Niemniej starałem się to opisać jak najbardziej neutralnie. Przeżywając te procesy, nie chodziło mi o skalpy, ale o to, żeby ludzie mieli świadomość, jaka jest kondycja polskiego porządku prawnego i jak wpływa na ludzi brak mechanizmów kontroli i bezkonsekwencyjność decyzyjna ludzi „równiejszych" nad „bezsilnymi".
Nie znam się na paragrafach, gdyż nie jestem ani prawnikiem, ani zawodowym przestępcą i pewnie gdybym nie zechciał pomóc ludziom w zrozumieniu poneryzacji struktur władzy, to tak by pozostało. Jednak znajomość funkcjonowania patologii podpowiada mi, że w Polsce co prawda konstytucja gwarantuje nam wolność słowa, atoli często w rozumieniu instytucji zakażonych nie gwarantuje nam tej wolności po wypowiedzianym słowie. A jak dowiesz się z książki, system paragrafy zna i potrafi z nich selektywnie korzystać, człowiek spoza systemu musi ich tylko przestrzegać, choć narzędzi już system nie daje i na jakąkolwiek pomoc nie ma też co liczyć.

CZĘŚĆ I

MODEL HISTORYCZNY

Rozdział 1

Koło Duranta

historia jako choroba przewlekła — o wzroście, dekadencji i tym, co przychodzi po nich.

Żadnej cywilizacji nie da się zniszczyć od zewnątrz,
jeżeli nie ulegnie ona rozkładowi od wewnątrz.
Will Durant

MOST, KTÓRY WYGLĄDA JAK MOST

Proces degradacji cywilizacyjnej można porównać do zmęczenia materiału w konstrukcji mostu. Korozja wewnętrzna, choć niewidoczna dla postronnego obserwatora, systematycznie osłabia strukturę nośną. Z perspektywy historycznej upadek systemu nie jest zdarzeniem nagłym, lecz kulminacją długotrwałego procesu erozji więzi społecznych i instytucjonalnych, który w pewnym momencie osiąga punkt krytyczny.

Nie jako prosta linia biegnąca przed siebie. Bardziej jako oddech wielkiego organizmu — raz unoszący się w górę, raz opadający, raz nabrzmiały siłą, by potem skurczyć się pod ciężarem własnych błędów. Na powierzchni wygląda to tak, jakby to „czasy" były dobre albo złe. Jakby historia miała nastroje. W istocie jednak czasy nie mają własnej natury. To ludzie nadają im kształt — i to ludzie, nie czas, decydują, czy ten most stoi, czy się wali.

Jeśli społeczeństwo przeżywa okres wzrostu, porządku i rozkwitu, nie dzieje się to dlatego, że los postanowił być łaskawy. Dzieje się tak dlatego, że ster trzymają ludzie, którzy rozumieją ciężar odpowiedzialności. Tacy, którzy potrafią rozróżnić dobro wspólne od prywatnej korzyści. Tacy, którzy nie mylą siły z brutalnością, a obowiązku nie traktują jak ciężaru, lecz jak coś, czemu warto stawić czoło. Gdy tacy ludzie są u steru — system działa jak dobrze zestrojony mechanizm. Każdy element ma swoje miejsce, każdy wie, za co odpowiada. Władza nie potrzebuje teatralności, bo jej autorytet bierze się z działania. Prawo nie jest narzędziem przemocy — jest ramą, która pozwala zachować ład.

I właśnie wtedy, gdy wszystko działa — zaczyna się naprawdę ciekawy problem.

ŻADNA TWIERDZA NIE ZOSTAJE ZDOBYTA OD FRONTU

Will Durant w swoim wielotomowym zarysie historii cywilizacji postawił tezę, którą można streścić tak: że żadnej cywilizacji nie da się zniszczyć z zewnątrz, jeśli wcześniej nie pozwoliła rozłożyć się od środka. Brzmi jak frazes. Ale jest to jeden z tych frazesów, które są frazesami właśnie dlatego, że przez setki lat okazywały się prawdziwe.

Weźmy chrystianizację Polski. Trwała kilkaset lat. Nie dlatego, że Słowianie byli wyjątkowo uparci — choć byli — ale dlatego, że nowe wartości musiały zmierzyć się z głęboko zakorzenionym ładem, który działał. Który dawał ludziom sens, tożsamość, wspólnotę. Taki system nie odpada jak stara tapeta przy pierwszym szarpnięciu. Odpada dopiero wtedy, gdy ściana za nim zaczyna się kruszyć. Kiedy stare nie daje już odpowiedzi na nowe pytania. Kiedy wewnątrz pojawia się pęknięcie.

Podobnie z kolejnymi próbami podbicia Europy. Historii znane są dziesiątki przypadków, gdy militarnie potężne imperia rozbijały się o mury kultur, które nie miały z nimi szans w otwartym polu. Dlaczego? Bo wewnątrz tych kultur wciąż żył duch — umowa między ludźmi, wspólne poczucie sensu, gotowość do obrony czegoś więcej niż tylko własnej skóry. Kiedy ten duch znika, mury stają się dekoracją.

Historia nie upada w momencie kryzysu. Upada wcześniej — w chwili, gdy przestaje podejmować decyzje w oparciu o rzeczywistość.

I tu właśnie wchodzą świadkowie.

OŚMIU ŚWIADKÓW TEJ SAMEJ SCENY

Wielu ludzi przed nami próbowało opisać ten mechanizm. I co ciekawe — choć żyli w różnych epokach, mówili różnymi językami, patrzyli na różne cywilizacje — wszyscy trafili w tę samą okolicę. Nie na ten sam punkt, bo widzieli go z różnych stron. Ale na tę samą okolicę: że upadek jest dziełem człowieka, nie losu — i że zaczyna się od środka, długo przed tym, zanim stanie się widoczny.

Ibn Khaldun, czternastowieczny arabski myśliciel — jeden z pierwszych prawdziwych socjologów w historii — nie opisywał historii jako dzieła Bożego gniewu ani kaprysu. Opisywał ją jako mechanizm, który rządzi się własnymi prawami. Kluczowym pojęciem w jego

analizie była asabijja — społeczna spójność, gotowość do działania razem dla wspólnego dobra. Asabijja jest najsilniejsza na początku, gdy ludzie jeszcze pamiętają trud i zagrożenie, które ich ukształtowały. Budują wówczas coś razem, bo wiedzą, że muszą. Z czasem, gdy przychodzi sukces i dobrobyt, ta spójność zaczyna się kruszyć. Każdy zaczyna myśleć o sobie. Więzi się rozluźniają. I wtedy — jak pisał Ibn Khaldun — warunki dojrzewają dla nowej siły z obrzeży, która wchodzi z własną, świeższą asabijją i zaczyna cykl od nowa. Ważna obserwacja: Ibn Khaldun nie mówił, że upadek jest moralną karą za grzech. Mówił, że jest strukturalną konsekwencją tego, że sukces rozmontowuje właśnie te warunki, które do sukcesu doprowadziły.

Will Durant, który spędził pół życia pisząc historię ludzkości, opisywał upadek Rzymu jak lekarz patrzący na rozległą martwicę. Nie bitwy go interesowały — interesował go moment, w którym ludzie przestali wierzyć, że wspólne wartości mają sens. Kiedy wygoda wygrała z odpowiedzialnością. Kiedy pycha wzięła górę nad dyscypliną. Kiedy interes osobisty stał się ważniejszy niż wspólnota. Rzym nie upadł, bo zabrakło mu legionów. Upadł, bo zabrakło mu wewnętrznej spójności — tego samego, co Ibn Khaldun nazywał asabijją, choć Durant używał innych słów i patrzył na inną epokę.

Arnold Toynbee patrzył na historię jak na serię wyzwań i odpowiedzi. Cywilizacje rosną tak długo, jak długo potrafią odpowiadać na nowe problemy rozwiązaniami lepszymi niż poprzednie. Kiedy ta zdolność się wyczerpuje — kiedy elity przestają rozumieć rzeczywistość i reagują na nowe pytania starymi schematami — zaczyna się rozpad. To nie jest kwestia złej woli. To kwestia utraty zdolności adaptacji.

Oswald Spengler poszedł dalej — i w tym miejscu warto być wobec niego uczciwym, bo jego diagnoza jest ciemniejsza od pozostałych. Twierdził, że każda kultura po prostu ma swój biologiczny cykl życia — jak organizm. Rośnie, dojrzewa, twardnieje w formę bez treści i umiera. Jego kluczowe spostrzeżenie to moment, w którym żywa prawda zamienia się w martwą formę — gdy instytucje istnieją, ale nie mają już ducha, gdy rytuał zastępuje rzeczywistość. Problem ze Spenglerem polega na tym, że jego pesymizm jest totalny: jeśli to nieuchronne jak starzenie organizmu, to nic nie ma sensu robić. Ale właśnie tu inni myśliciele skutecznie z nim polemizują — bo o ile diagnoza Spenglera jest przenikliwa, o tyle jego fatalizm jest zbyt pochopny. Korozja jest nieuchronna jedynie wtedy, gdy nikt jej nie dostrzega, lub dostrzega, ale się jej nie przeciwstawia.

William Strauss i Neil Howe — autorzy popularnonaukowi, nie historycy akademiccy w ścisłym sensie, a ich teoria bywa krytykowana

za brak falsyfikowalności — opisali cykl czterech pokoleń — Ład, Przebudzenie, Rozprzężenie, Kryzys — i pokazali, że historia Zachodu powtarza ten rytm z zadziwiającą regularnością, mniej więcej co osiemdziesiąt lat. Ich wniosek był jednak — w odróżnieniu od Spenglera — ostrożnie optymistyczny: kryzysy są nieuniknione, ale to, co się z nimi robi, już nie jest z góry przesądzone.

John Bagot Glubb, brytyjski generał, przeprowadził jedną z najprostszych i najbardziej brutalnie szczerych analiz dziesięciu wielkich imperiów — od Asyrii przez Rzym po Wielką Brytanię. Jego obserwacja — dyskutowana przez historyków, ale warta uwagi: każde z badanych przez niego imperiów żyło mniej więcej 250 lat i przechodziło przez te same fazy: pionierzy, podboje, handel, dobrobyt, intelekt, dekadencja. Glubb nie twierdził, że to nieuchronne z powodów metafizycznych. Twierdził, że to nieuchronne z powodów psychologicznych — bo każde pokolenie jest coraz dalej od trudu, który ukształtował poprzednie. A dekadencja, jak pisał wprost, jest moralną i duchową chorobą, skutkiem zbyt długiego okresu bogactwa i władzy. Jej objawem jest cynizm, pesymizm, obsesja na punkcie rozrywki i celebrytów — i co kluczowe: oderwanie warstwy intelektualnej od rzeczywistości. Kiedy mądrzy ludzie przestają rozmawiać z realnym światem, a zaczynają rozmawiać wyłącznie ze sobą nawzajem.

Émile Durkheim, francuski socjolog przełomu XIX i XX wieku, jeden z ojców założycieli całej dyscypliny, patrzył na rozpad więzi społecznych nie z lotu ptaka jak historycy cywilizacji, lecz z bliska — jak lekarz badający tkankę. Nazwał to, co widział, anomią: stanem, w którym normy przestają regulować ludzkie pragnienia, a społeczeństwo traci zdolność wyznaczania jednostce granic. Nie jest to metafora ani intuicja publicysty. Durkheim oparł tę diagnozę na twardych danych — w swoim studium o samobójstwach (1897) pokazał, że rozpad regulacji społecznej nasila się właśnie w okresach gwałtownego wzrostu dobrobytu, nie tylko w czasach kryzysu. Sukces i dostatek, paradoksalnie, potrafią rozregulować człowieka szybciej niż nieszczęście. Pragnienia, pozbawione zewnętrznego hamulca, rosną bez końca — bo, jak pisał, nie istnieje naturalna granica ludzkich aspiracji, jeśli nie wyznaczy jej społeczeństwo. Metoda Durkheima bywa dziś krytykowana — Jack Douglas zarzucał mu, że statystyki samobójstw, na których oparł swój dowód, są w istocie konstruktem społecznym, zależnym od decyzji koronerów i rodzin, nie twardym faktem, a Whitney Pope podważał wewnętrzną spójność jego wywodu. To jednak nie unieważnia samej diagnozy rozpadu regulacji społecznej — każe tylko ostrożniej traktować jej pierwotne dowody liczbowe. To dokładnie ten sam moment, który Ibn Khaldun opisywał jako rozkład

asabijji, a Glubb jako wiek dekadencji — tylko że Durkheim daje mu imię naukowe i podkłada pod nie liczby, nie tylko obserwację historyczną.

Ośmiu różnych myślicieli. Siedem różnych perspektyw. I jedna okolica, w której wszyscy się spotykają: cywilizacja nie upada od zewnętrznego ciosu. Upada od wewnątrz — i zaczyna się to długo przed tym, zanim ktokolwiek chce to zobaczyć. Różnią się oni w jednej ważnej kwestii: czy jest to nieuchronne. Spengler mówi tak. Pozostali mówią: to zależy od tego, czy ktoś zdoła zachować zdolność do korekty.

To rozróżnienie jest kluczowe dla reszty tego rozdziału.

ANATOMIA CYKLU

Skoro zjawisko jest powtarzalne i daje się opisać — zapiszmy je wprost. Nie po to, żeby stwierdzić nieuchronność. Po to, żeby dać narzędzia do obrony.

Oto jak to wygląda w praktyce.

Faza pierwsza: reset i siła po traumie.

Każda wielka cywilizacja zaczyna się od czegoś trudnego. Klęski, zagrożenia, kryzysu, który wymagał prawdziwej odpowiedzi. To może być dosłowna katastrofa — głód, najazd, rozpad. To może być zbiorowe doświadczenie, które mobilizuje i spaja. Wtedy do władzy trafiają ludzie kompetentni, bo inni po prostu nie przeżywają — lub przynajmniej nie przeżywa ich pozycja. Budują instytucje, normy, etos. Tworzą coś, co działa. To jest szczyt selekcji: twarda, okrutna, ale skuteczna. W skali mikro — mała firma założona przez kogoś, kto stracił wszystko. W skali makro — naród, który wychodził z ruin i musiał wymyślić się od nowa.

Faza druga: stabilizacja i narodziny biurokracji.

System działa. Zaczyna rosnąć biurokracja — i to jest naturalne, bo rosnąca organizacja potrzebuje procedur. Problem pojawia się wtedy, gdy procedura zaczyna zastępować myślenie. Pojawiają się przepisy do przepisów, komitety do zarządzania komitetami. Umowa społeczna — czyli to, co naprawdę łączyło ludzi — powoli schodzi na drugi plan. Władza nie potrzebuje już teatralności, mówiliśmy — ale zaczyna po nią sięgać, bo autorytet oparty na działaniu zaczyna blednieć, a nowy autorytet musi skądś przyjść. I wtedy pojawia się to, co Spengler opisywał jako zamianę żywej prawdy w martwą formę: instytucje istnieją, ale coraz bardziej dla siebie. Zamiast pytać „czy to

działa?", ludzie zaczynają pytać: „czy to dobrze wygląda?", „czy nikt się nie obrazi?".

Faza trzecia: komfort i rozluźnienie selekcji.

Dobrobyt robi swoje. Nikt nie musi już walczyć o przetrwanie, więc instynkty, które kiedyś chroniły wspólnotę, zaczynają zasypiać. Czujność słabnie. Zdrowy instynkt ostrożności ustępuje przyzwyczajeniu. Nad funkcję zaczyna się nadbudowywać forma. Nad treść — procedura. Nad rozum — emocjonalny klimat.

I właśnie tutaj — w tej fazie rozluźnienia — otwierają się drzwi.

KIEDY OTWIERAJĄ SIĘ DRZWI

Szczególnie w „czasach szczęśliwych" narastają skłonności do myślenia konwersyjnego, co jest objawem narastania fali histeryczności. W końcu ci, co starają się zachować poprawność rozumowania i zdrowy rozsądek, stają się mniejszością i czują się krzywdzeni, bo ich ludzkie prawo do zachowania własnej higieny psychicznej jest gwałcone naciskami ze wszystkich stron. Wtedy czasy nieszczęśliwe są już historycznie blisko.

A. Łobaczewski

W tym momencie system traci zdolność do selekcji — i otwiera się na ludzi, dla których brak skrupułów jest atutem, nie wadą. Mechanizm tego przejęcia opisany jest szczegółowo w kolejnych rozdziałach.

PIERWSZE OFIARY: JĘZYK I ODWAGA

Zanim jednak dojdzie do pełnego przejęcia, jest moment przejściowy, który trudno zobaczyć, bo jest tak subtelny. I właśnie ten moment jest kluczowy.

Pierwsza rzecz, która umiera, to język — precyzyjne narzędzie opisywania rzeczywistości, które zostaje zastąpione przez nowomowę i półprawdy (mechanizm ten przeanalizujemy szczegółowo w dalszej części pracy).

Tuż za językiem przychodzi strach. Strach jest wielkim rozpuszczalnikiem moralności. W jego obecności człowiek przestaje pytać, co jest słuszne — zaczyna pytać, co jest bezpieczne. Sumienie nie znika natychmiast. Ono tylko zaczyna mówić szeptem. A szept, jeśli

trwa zbyt długo, zaczyna brzmieć jak wewnętrzny głos wariata — coraz łatwiej go zagłuszyć. I wtedy awansują nie najlepsi, lecz najbardziej użyteczni dla systemu. Nie ci, którzy widzą dalej, ale ci, którzy patrzą tak, jak trzeba.

DEMOKRACJA, CZYLI SYSTEM Z WENTYLEM BEZPIECZEŃSTWA

Tu dochodzimy do sedna.

Jeśli nieuchronnym prawem historii jest to, że wśród ludzi zawsze będą jednostki zaburzone — że ciemna triada to nie anomalia, lecz stały składnik ludzkiej populacji — to pytanie nie brzmi, jak się ich pozbyć. Pytanie brzmi: jak sprawić, żeby nie rządziły.

I tu właśnie wchodzi demokracja.

Winston Churchill powiedział kiedyś, że demokracja jest najgorszą formą rządów — z wyjątkiem wszystkich innych, które próbowano wprowadzić. Można by się kłócić o szczegóły, ale sedno tej obserwacji jest bezbłędne. Demokracja jest systemem pełnym wad. Jest głośna, powolna, często irracjonalna, podatna na demagogię i łatwa do nadużycia przez kogoś, kto dobrze rozumie emocje tłumu. To wszystko prawda.

Ale ma jedną właściwość, której nie ma żaden inny znany system: pozwala wymieniać władzę bez krwi.

To jest jej geniusz. Nie w tym, że wybiera najlepszych — bo często nie wybiera. Nie w tym, że chroni przed głupotą — bo jej nie chroni. Jej geniusz polega na tym, że daje społeczeństwu wentyl. Zawór bezpieczeństwa. Możliwość powiedzenia: dość — i wymiany ekipy bez rewolucji, bez czystek, bez stosów.

W każdym innym systemie — monarchii, oligarchii, teokracji, dyktaturze — zmiana władzy oznacza albo śmierć władcy, albo pucz, albo wojnę domową. Demokracja zamienia ten biologiczny dramat w procedurę. Głosowanie zamiast gwardii. Kartka zamiast noża.

Ale jest jeszcze coś, o czym rzadko się mówi. Coś, co sprawia, że demokracja z odpowiednimi mechanizmami staje się nie tylko systemem wymiany władzy, ale też czymś w rodzaju przekierowania energii.

Dojrzałe struktury demokratyczne i wolnorynkowe oferują alternatywne kanały realizacji ambicji dla jednostek o cechach narcystycznych lub makiawelicznych. Przekierowanie energii tych osób

z obszaru polityki i przymusu państwowego w stronę gospodarki i innowacji (gdzie ich cechy mogą być spożytkowane prospołecznie pod kontrolą rynku) stanowi istotny mechanizm obronny cywilizacji.

I to nie jest przypadek. To jest jeden z najmniej docenianych efektów dobrze skonstruowanego systemu demokratycznego: kiedy władza polityczna jest naprawdę ograniczona, kontrolowana, jawna i rotacyjna — przestaje być najlepszym miejscem dla ludzi bez skrupułów. Bo za dużo ryzyka, za dużo kontroli, za mało bezpośredniej nagrody. Badania psychologów potwierdzają, że cechy ciemnej triady faktycznie kierują ich ku stanowiskom władzy — ale to, czy ta władza trafia do polityki czy do biznesu, zależy od tego, gdzie system stwarza mniejszy opór.

A rynek — bezwzględny kapitalizm — oferuje co innego niż polityka. Daje możliwość budowania imperium, dominacji, wpływu. Ale na warunkach, które przynajmniej częściowo wymuszają dostarczanie wartości. Żeby zbudować wielką firmę, trzeba przekonać kogoś, żeby płacił. Żeby zatrzymać pracowników, trzeba im płacić więcej niż konkurencja. Rynek jest bezwzględny, ale bezwzględny wobec wszystkich — i ta bezwzględność jest jego filtrem. Człowiek z cechami ciemnej triady może w takim środowisku budować, tworzyć, dominować — bez jednoczesnego niszczenia tkanki społecznej państwa.

To nie jest przypadkowe. To jest wentyl systemu. I to jest jeden z powodów, dla których cywilizacje z silnymi demokracjami i wolnym rynkiem potrafią długo utrzymać sprawność: nie dlatego, że eliminują ciemne cechy z puli ludzkiej — bo tego zrobić się nie da. Ale dlatego, że kierują je tam, gdzie przynajmniej muszą się z kimś liczyć.

KIEDY WENTYL SIĘ ZATKA

Problem pojawia się wtedy, gdy demokracja przestaje działać jako filtr.

Kiedy instytucje słabną. Kiedy prawo można kupić. Kiedy media są na smyczy. Kiedy sądy stoją po stronie układu. Kiedy wybory są wolne formalnie, ale kampanie finansowane przez tych samych, którzy potem zasiadają przy stole decyzyjnym.

Wtedy wentyl się zatyka.

I wtedy człowiek, który w zdrowym systemie poszedłby budować firmę, zaczyna rozumieć, że w polityce jest łatwiej. Że nie trzeba tworzyć wartości — wystarczy kontrolować jej dystrybucję. Że

nie trzeba wygrywać na rynku — wystarczy zmienić przepisy, żeby rynek grał na twoją korzyść. Że nie trzeba być lepszym — wystarczy wyeliminować zdrowych i uczciwych.

I tu zamknął się krąg: selekcja odwrócona, erozja instytucji, utrata korekty. Ludzie zdolni są odsuwani, bo zbyt łatwo zauważają pęknięcia. Ludzie uczciwi są niewygodni, bo nie dają się wpisać w rytm pozoru.

Ale rzeczywistość ma własną cierpliwość. Nie daje się oszukać w nieskończoność. System oparty na patologii sam sobie podcina gałąź, na której siedzi. Niszczy kompetencję — bo kompetencja jest dla niego zagrożeniem. Niszczy zaufanie — bo zaufanie wymaga prawdy. Niszczy moralny kręgosłup społeczeństwa — bo moralność przeszkadza w manipulacji. W końcu przychodzi moment przeciążenia. Kryzys. Rozpad. Ludzie zaczynają widzieć, że za pięknymi słowami nie stoi już nic oprócz pustki.

I wtedy zaczyna się nowa faza. Patokracja traci grunt pod nogami. Bywa odsunięta siłą, bywa wyparta przez mechanizmy demokratyczne, bywa po prostu wyczerpana własną nieudolnością. Wraca przestrzeń dla ludzi zdrowych, dla porządku, dla odpowiedzialności. System jeszcze długo nosi blizny po chorobie — ale przynajmniej odzyskuje szansę na oddech.

Cykl się domknął. I zaczyna od nowa.

MODEL KOŁOWY CZY BIOLOGICZNY?

Tu konieczna jest uczciwa przerwa.

Spośród ośmiu myślicieli, o których pisaliśmy, Spengler i — w pewnym stopniu — Glubb sugerują model biologiczny: cywilizacje umierają jak organizmy i nic się z tym nie da zrobić. Ibn Khaldun, Toynbee, Durant, Strauss i Howe oraz Durkheim proponują model kołowy: cykl się powtarza, ale z nową siłą i nowymi graczami, a odpowiedź na kryzys nie jest z góry przesądzona.

Która wersja jest prawdziwa? Prawdopodobnie obie — w różnej skali i w różnym wymiarze. Konkretna cywilizacja, konkretna dynastia, konkretne imperium — te mogą umierać i nie wracać. Ale zasada cywilizacji, jej duch i zdolność do organizacji — te nieustannie odradzają się w nowych postaciach. Rzym upadł, ale prawo rzymskie żyje do dzisiaj. Grecja została podbita, ale jej filozofia formuje myślenie Zachodu do tej chwili. Imperium może umrzeć. Idea, która go zrodziła — jeśli była prawdziwa — przeżywa.

To oznacza, że odpowiedź na pytanie „czy coś można zrobić?" brzmi: tak. Ale nie poprzez zatrzymanie cyklu — bo cykl, jak oddech, nie daje się zatrzymać. Poprzez zachowanie tych elementów, które w chwili kryzysu pozwolą zacząć od nowa lepiej, a nie gorzej.

CO Z TYM ZROBIĆ?

Durant mawiał, że cywilizacja umiera, gdy traci duszę. Łobaczewski pokazał, że w miejsce tej duszy wchodzi patologia — i że potrafi udawać porządek lepiej niż cokolwiek innego.

Razem tworzą jedną surową lekcję.

Żeby cykl nie kończył się najgorzej — żeby kolejny reset nie był głębszy i bardziej traumatyczny niż poprzedni — potrzebne są konkretne rzeczy. Nie ogólniki, nie wielkie idee. Konkretne rzeczy.

Chronić język.

Bo jest pierwszą linią obrony. Kiedy słowa zaczynają kłamać, rzeczywistość przestaje być wspólnym gruntem. Odporność na manipulację zaczyna się od umiejętności nazywania rzeczy po imieniu — nawet gdy jest to niewygodne, nawet gdy to kosztuje.

Chronić instytucje.

Bo są szkieletem wspólnoty. Niezależne sądy, wolna prasa, kultura debaty — to nie jest dekoracja demokracji. To mechanizmy korekty, które wyłapują błędy, zanim staną się nieodwracalne. Kiedy instytucje słabną, korekta znika — i jedyną siłą, która zostaje, jest kryzys.

Chronić ludzi uczciwych.

Bo są układem nerwowym systemu. To oni pierwsi widzą pęknięcia. To oni mówią rzeczy, które nie są bezpieczne, ale są prawdziwe. W zdrowym systemie są cenieni. W chorym — eliminowani. Dlatego to, jak traktujemy ludzi mówiących prawdę, jest dokładnym miernikiem zdrowia systemu.

Wychowywać do odpowiedzialności, nie tylko do skuteczności.

Bo społeczeństwo uczone wyłącznie wygrywania produkuje w końcu ludzi zdolnych do zwycięstwa bez wstydu. A to nie jest siła. To jest tylko bardziej elegancka forma ruiny.

Monarchia może trwać bez zaangażowania obywateli, bo i tak nic od nich nie zależy. Dyktatura trwa dzięki strachowi. Demokracja trwa wyłącznie dzięki ludziom, którzy ją aktywnie podtrzymują. Którzy rozumieją, że wolność nie jest stanem — jest praktyką. Że trzeba jej pilnować jak ognia w kominku: nie dmuchać za mocno, żeby nie wzniecić pożaru, ale nie zaniedbywać, żeby nie zgasła.

Historia nie kręci się sama. Czas nie tworzy historii — czas jedynie ją znosi. Tworzą ją ludzie. Zdrowi budują. Nieświadomi tracą czujność. Zaburzeni przejmują wpływ. A rzeczywistość, wcześniej czy później, wystawia rachunek.

Największe zwycięstwo zła nie polega na zburzeniu murów. Polega na tym, że ludzie w murach przestają wierzyć, iż warto je jeszcze bronić.

I wtedy twierdza nie zostaje zdobyta. Ona po prostu sama otwiera bramy.

CZĘŚĆ II

TEORIE

„Nie ma gorszego ustroju niż demokracja —
ale nic lepszego człowiek jeszcze nie wymyślił.”
— Tomasz Bajdel

Rozdział 2

Jednostki dyssocjalne w patokracji

rdzeń oziębłości — jak jednostki dyssocjalne niszczą grupy i systemy

Źli ludzie nie potrzebują niczego więcej do osiągnięcia własnych celów,
niż tego, by dobrzy ludzie patrzyli i nic nie robili.
John Stuart Mill

EWOLUCJA NIE PYTA O MORALNOŚĆ

Ponerologia pokazuje zło właściwe. Zło zakorzenione w każdym człowieku — jednak zaprojektowane przez ewolucję do uruchamiania wyłącznie w skrajnych dla gatunku sytuacjach. Takich, w których cechy ciemnej triady są ceną przetrwania. Narzędziem, nie patologią.

Ten rozdział dotyczy konkretnej kategorii ludzi — tych, u których cechy, które w czasie pokoju są uznane za destrukcyjne, nie są reakcją na okoliczności, lecz stałą organizacją osobowości. Nie piszę tu o tym, co każdy człowiek może zrobić pod presją — o tym mówi rozdział następny. Piszę o tych, którzy działają destrukcyjnie w warunkach normalnych, bez zewnętrznego przymusu.

Niektórzy uruchamiają i pielęgnują te cechy w warunkach normalnego funkcjonowania — po to, żeby uzyskać pozorną przewagę nad innymi, w czasach, gdy żadna ekstremalnie niszczycielska siła zewnętrzna nie zagraża gatunkowi. Cecha, która w trudnych warunkach służy przetrwaniu, w nieodpowiednich warunkach staje się złem. Złem samym w sobie. Złem w czystej postaci.

Są jednostki z lepszymi uwarunkowaniami w kierunku ciemnej triady. Jednak żeby uruchomić je w stopniu klinicznym, sama biologia nie wystarczy. Potrzebne są inne czynniki. Głównym z nich jest środowisko.

O tym, jak to kalibrować — później.

CZYM JEST TEN CZŁOWIEK

Na początku trzeba to powiedzieć uczciwie: współczesna psychiatria nie traktuje „psychopatii" jako osobnej, oficjalnej diagnozy. Najbliżej temu pojęciu są dziś takie rozpoznania i opisy jak osobowość antyspołeczna, osobowość dyssocjalna, a także zestaw cech, które mogą się ze sobą spleść w bardzo groźny sposób: brak empatii, manipulacyjność, lekceważenie norm, chłód emocjonalny i brak skruchy. To nie jest jedna etykieta przypięta człowiekowi jak numerek na kartce. To jest pewien układ wewnętrzny — i właśnie wtedy, gdy te cechy się kumulują, powstaje człowiek, który nie tylko nie czuje innych jak większość, ale często nawet nie rozumie, że w jego wnętrzu coś jest głęboko nie tak.

Taki człowiek bywa ukształtowany od dawna. Nie zawsze wygląda na chorego. Czasem jest sprawny, opanowany, inteligentny. Potrafi mówić pięknie i robić dobre wrażenie. Z zewnątrz przypomina zwykłą osobę — często lepiej opakowaną. Problem zaczyna się pod spodem. Tam nie ma naturalnego hamulca, który u zdrowej większości zatrzymuje rękę przed krzywdą, zanim krzywda stanie się czynem. Tam nie ma tego cichego wewnętrznego głosu, który mówi: nie rób tego, bo to drugiego złamie. Zamiast tego jest chłód, kalkulacja i — co szczególnie niebezpieczne — często głębokie przekonanie, że tak właśnie wygląda świat.

I tu jest sedno pierwszego nieporozumienia. Wielu takich ludzi naprawdę może myśleć, że ich sposób patrzenia na relacje, lojalność i zaufanie jest po prostu normalny. Nie wiedzą, że ich własne wnętrze jest skrzywione. Nie widzą, że ich „standard" nie jest standardem człowieka zdrowego. I dlatego nie szukają pomocy — bo nie czują, że jej potrzebują. W ich układzie wewnętrznym wszystko gra. Problem zawsze leży na zewnątrz: w naiwności innych, w słabości otoczenia, w emocjonalności ludzi, którzy nie potrafią żyć twardo.

Dlatego ten temat nie dotyczy tylko „złych ludzi". Dotyczy czegoś trudniejszego: ludzi, którzy krzywdzą, nie rozumiejąc, że krzywdzą. Nie z głupoty. Z tego, że są inaczej zbudowani. A kiedy taka konstrukcja trafia do małej grupy, robi z niej pole napięcia. Kiedy trafia do wielkiej instytucji, robi z niej narzędzie władzy. I wtedy ludzką wspólnotę zaczyna zjadać coś znacznie gorszego niż jawna przemoc: zimna, spokojna, elegancka oziębłość w mundurze rozsądku.

JAK TO DZIAŁA W MAŁEJ GRUPIE

W porządku normalnym człowiek żyje wśród ludzi i czerpie z tego siłę. Zaufanie, wzajemność, lojalność, poczucie granic, zwykła przyzwoitość — to wszystko nie jest ozdobą życia społecznego, lecz jego fundamentem. Właśnie na tym tle wyraźnie widać, czym jest jednostka dyssocjalna. To ktoś, kogo wewnętrzna konstrukcja nie sprzyja budowaniu więzi, lecz raczej ich rozbijaniu. Nie zawsze robi to świadomie. Często wynika to po prostu z jej natury: z chłodu emocjonalnego, z deficytu empatii, z potrzeby dominacji, z niezdolności do trwałej lojalności.

Najłatwiej zobaczyć to w małej grupie. W zwykłym „pudełku": kilku osobach połączonych wspólnym celem. Może to być klub, stowarzyszenie, środowisko zawodowe, lokalna inicjatywa, grupa znajomych. Na początku wszystko wygląda prosto. Ludzie się znają, rozmawiają, mają wspólną sprawę. Całość się trzyma.

Jednostka dyssocjalna często wchodzi bez hałasu. Nie musi od razu być agresywna. Bywa nawet ujmująca. Mówi pewnie, wyczuwa emocje innych, szybko łapie słabe punkty grupy. Z pozoru może wyglądać na osobę sprawczą i skuteczną. Właśnie dlatego jest niebezpieczna. Nie przychodzi jak burza. Przychodzi jak drobna zmiana ciśnienia.

Najpierw testuje grunt. Sprawdza, kto jest podatny na wpływ, kto potrzebuje uznania, kto boi się konfliktu, kto zawaha się przed nazwaniem rzeczy po imieniu. Potem zaczyna dawkować wpływ. Niby nic wielkiego: jedno zdanie więcej, drobna sugestia, mały żart, lekka aluzja, półsłówko rzucone przy odpowiedniej osobie. Jednemu powie jedno, drugiemu coś przeciwnego, jednego podniesie, drugiego podetnie — i zrobi to tak, żeby nikt nie miał pewności, gdzie leży prawda.

W zdrowym „pudełku" ludzie zakładają dobrą wolę innych. W obecności jednostki dyssocjalnej ta zasada zostaje wykorzystana przeciw nim. Zaufanie staje się podatnością. Otwartość staje się słabością. Lojalność staje się czymś, co można rozciągać i wymuszać. Pojawiają się małe przesunięcia: jedni czują się pomijani, inni niedocenieni, jeszcze inni zaczynają podejrzewać, że ktoś działa za ich plecami. Nagle okazuje się, że nie ma już jednego wspólnego celu — tylko kilka równoległych interesów, z których każdy jest podsycany przez napięcie.

To jest moment, w którym grupa zaczyna chorować. Nie dlatego, że wszyscy stali się źli. Dlatego, że jedna osoba potrafiła nadać

emocjom taki kierunek, by ludzie zaczęli myśleć o sobie nawzajem w kategoriach zagrożenia. I wtedy wspólnota pęka.

Normalni ludzie długo nie rozumieją, co się dzieje. Szukają przyczyn w sobie. Myślą, że to przypadek, nieporozumienie, zły dzień, konflikty charakterów. Tymczasem mechanizm jest głębszy. Jednostka dyssocjalna nie musi wygrywać argumentem. Wystarczy, że uczyni zaufanie ryzykownym, a plotkę — użyteczną. Od tego momentu grupa sama zaczyna produkować własny rozkład.

Tam, gdzie wchodzi taki człowiek, zaczyna się przesunięcie. Najpierw lekkie. Później coraz większe. Na końcu destrukcyjne. Zamiast pracy pojawia się napięcie. Zamiast solidarności — kalkulacja. Zamiast wspólnej siły — rozproszenie. W końcu zostają tylko resztki dawnej całości i pytanie, jak to się stało, że coś tak prostego poszło tak źle.

RELACJE INSTRUMENTALNE — CZŁOWIEK JAKO ZASÓB

U osób o nasilonych cechach ciemnej triady relacje rzadko mają charakter czysto bezinteresowny. Zwykle nie znikają one całkowicie, ale zmieniają swój sens: zamiast być przestrzenią wzajemnego zaufania, stają się narzędziem. Taki człowiek może być uprzejmy, pomocny, nawet lojalny — lecz najczęściej wtedy, gdy relacja przynosi mu korzyść. Druga osoba nie jest dla niego przede wszystkim celem samym w sobie, ale źródłem wpływu, informacji, ochrony, dostępu, zasobów emocjonalnych, seksualnych albo prestiżu.

W praktyce wygląda to prosto. Ktoś utrzymuje bliski kontakt nie dlatego, że naprawdę ceni drugiego człowieka, lecz dlatego, że ten zna ważne osoby, może coś załatwić, ma pozycję, zapewnia stabilność, dostarcza podziwu, spełnia potrzeby emocjonalne lub seksualne albo otwiera drzwi, które dla innych są zamknięte. Dopóki ta użyteczność trwa, relacja jest podtrzymywana. Gdy znika korzyść, znika też ciepło, zainteresowanie i deklarowana „przyjaźń", „miłość" czy „oddanie".

Dotyczy to nie tylko przyjaźni, ale również związków partnerskich. W relacjach romantycznych osoba o silnych cechach dyssocjalnych lub makiawelicznych może traktować partnera nie jako autonomiczną osobę, lecz jako źródło korzyści: statusu, bezpieczeństwa, seksualności, opieki, pieniędzy, stabilizacji albo społecznego wizerunku. Uczucie bywa wówczas podporządkowane

funkcji. Partner staje się rolą do spełnienia, a nie człowiekiem do współtworzenia życia.

Taki związek może początkowo sprawiać wrażenie intensywnego, namiętnego, a nawet wyjątkowego. Często pojawia się idealizacja, silne zaangażowanie i szybkie budowanie pozorów głębokiej więzi. Jednak gdy relacja przestaje dostarczać oczekiwanych zasobów, pojawia się chłód, dewaluacja, manipulacja, zdrada albo emocjonalne wycofanie. Miłość przestaje być więzią — staje się kontraktem opartym na użyteczności.

Podobnie dzieje się w grupach zawodowych i towarzyskich. Człowiek o takich cechach potrafi być serdeczny wobec jednych, a chłodny wobec innych — zależnie od tego, kto wzmacnia jego pozycję. Uprzejmość przestaje być wyrazem charakteru, a staje się strategią. Lojalność przestaje być wartością, a staje się kontraktem obowiązującym wyłącznie tak długo, jak długo bilans zysków pozostaje dodatni.

Nie oznacza to, że każda więź takiej osoby jest całkowicie fałszywa od początku do końca. Oznacza raczej, że znacznie częściej niż u większości ludzi obecny jest ukryty rachunek. W zdrowej przyjaźni centrum stanowi druga osoba. W zdrowym związku centrum stanowi wzajemność. W relacji instrumentalnej centrum stanowi własna korzyść.

To właśnie tutaj ujawnia się szczególne niebezpieczeństwo takich jednostek. Potrafią budować sieci wpływu, zdobywać zaufanie, tworzyć pozory oddania, miłości lub lojalności, a następnie używać tych więzi jak narzędzi strategicznych. Relacje stają się walutą społeczną. Partnerzy, przyjaciele i współpracownicy stają się zasobami. Miłość, przyjaźń i lojalność stają się inwestycją.

W małej grupie prowadzi to do stopniowego rozkładu wspólnoty. W związkach prowadzi do emocjonalnego wyczerpania, destabilizacji i podporządkowania jednej strony potrzebom drugiej. Pojawiają się układy, selektywna lojalność, manipulacja dostępem i informacją. Jedni są faworyzowani, inni marginalizowani — nie według zasad moralnych, lecz według użyteczności. W rezultacie wspólnota przestaje funkcjonować jako przestrzeń wzajemności, a zaczyna przypominać rynek wpływów.

W dużych strukturach mechanizm ten staje się jeszcze groźniejszy. Człowiek zdolny do instrumentalnego traktowania relacji może skutecznie wspinać się po szczeblach organizacji, polityki czy instytucji, ponieważ doskonale rozumie wartość sieci kontaktów, zależności i zobowiązań. Nie buduje on systemu opartego na zdrowych

zasadach — buduje system oparty na kontroli dostępu, wzajemnych przysługach i podporządkowaniu.

Dlatego osoby o silnych cechach ciemnej triady bywają szczególnie niebezpieczne na stanowiskach decydujących o czyimś życiu. Nie dlatego, że zawsze są jawnie agresywne. Często są niebezpieczniejsze właśnie dlatego, że potrafią być eleganckie, uprzejme, atrakcyjne i strategiczne. Umieją posługiwać się więzią nie jako wartością, lecz jako środkiem do celu.

I właśnie w tym tkwi jedna z najbardziej destrukcyjnych cech patologicznej konstrukcji osobowościowej: zdolność przekształcania ludzkiej wspólnoty, miłości i zaufania w mechanizm użyteczności, gdzie człowiek przestaje być człowiekiem, a staje się funkcją.

Gdy taki model zaczyna dominować, wspólnota nie rozpada się wyłącznie od otwartej przemocy. Rozpada się od środka — przez powolną erozję zaufania, więzi i autentyczności.

A społeczeństwo, które traci zdolność do prawdziwego zaufania, zaczyna przegrywać nawet wtedy, gdy formalnie nadal istnieje.

JAK TO WYGLĄDA W DUŻEJ SKALI

Na wielkiej skali mechanizm jest dokładnie ten sam. Tylko bardziej elegancko ubrany, lepiej skrojony, w droższym garniturze.

Nie zaczyna się od czołgów. Czołgi to ostateczność dla niecierpliwych albo dla tych, którzy już nie muszą się ukrywać. Zaczyna się od języka. Od awansów właściwych ludzi na właściwe stanowiska. Od doboru lojalnych, a nie kompetentnych na kluczowe pozycje. Od drobnego, prawie niezauważalnego rozmycia kryteriów — kiedy „najlepszy kandydat" zaczyna znaczyć „najbardziej dyspozycyjny kandydat". Na początku nie zmienia się konstytucji. To byłoby za głośne, za czytelne. Zmienia się ton. Potem praktykę. Następnie listę ludzi dopuszczalnych do wpływu.

W systemie politycznym albo instytucjonalnym jednostka patologiczna nie działa samotnie — bo samotnie nie byłaby w stanie objąć całego organizmu. To nie jest możliwe fizycznie. Potrzebuje pośredników. Nie muszą być źli — wystarczy, że są wygodni. Takich, którym łatwiej jest się dostosować niż myśleć. Takich, którzy widzą i milczą. Takich, którzy mają hipotekę i właśnie teraz nie jest dobry moment. Razem — nieświadomie, bez żadnego spisku — tworzą

system. To nie musi być zorganizowaną konspiracją z hasłami, szyfrogramami i nocnymi spotkaniami w garażu. Znacznie częściej jest to po prostu zwykła, codzienna, szara akumulacja małych ustępstw. Każde z nich wydaje się rozsądne w momencie podejmowania. Każde ma uzasadnienie. Razem tworzą system.

Ktoś przymyka oko, bo nie ma pewności. Ktoś nie mówi wprost, bo to nie jest odpowiedni moment. Ktoś rezygnuje z pytania, bo pytanie może być odebrane jako brak lojalności. Ktoś myśli, że to nie jego sprawa, że od tego są inni. Ktoś uznaje, że dziś nie warto robić problemu, jutro będzie lepszy moment. Ktoś w końcu, po długim namyśle, dochodzi do wniosku, że lepiej się dostosować — bo i tak nic nie zmieni.

I tak układ się utrwala. Kamień po kamieniu. Milczenie po milczeniu.

Wtedy władza nie musi już niszczyć wszystkiego ręcznie. Wystarczy, że ustawi reguły tak, żeby inni niszczyli za nią. I robi to skutecznie — bo uczciwy człowiek gra według zasad, których druga strona nigdy nie uznawała. Tylko nie mówiła o tym wprost.

W jakich warunkach ten mechanizm działa najsprawniej — i jak do nich dochodzi — jest tematem rozdziału o plastycznym potworze.

CZYM TO WSZYSTKO JEST W ISTOCIE

To odchylenie — nazwijmy je destrukcyjnym — nie jest jednorazowym epizodem. Jest procesem. Zaczyna się od drobnego zaburzenia relacji, a kończy na przebudowie całej struktury społecznej. W skali małej niszczy zaufanie w grupie. W skali dużej deformuje państwo, instytucje i język publiczny. W obu przypadkach mechanizm jest podobny: jednostka dyssocjalna, działając zgodnie ze swoją budową, nie buduje wspólnoty — lecz system napięć, w którym z czasem wszystko obraca się przeciw tym, którzy jeszcze próbują zachować normalność.

Nie polega to wyłącznie na tym, że ktoś „jest zły". Chodzi o coś więcej: o taki sposób istnienia, który naturalnie wytwarza napięcie, fałsz, rozbicie i chorobę relacji. Człowiek normalny może popełnić błąd. Jednostka dyssocjalna częściej tworzy warunki, w których błąd staje się normą.

I to jest najważniejszy punkt. Jednostki dyssocjalne nie tylko szkodzą pojedynczym ludziom. Potrafią zmieniać reguły życia zbiorowego tak, by ich własna konstrukcja stawała się społecznie opłacalna. A skoro tak — normalność zaczyna być karana, a odchylenie nagradzane. Wtedy społeczeństwo wchodzi na drogę autodestrukcji, często nawet nie rozumiejąc, że samo przyspiesza własny rozpad.

Oziębłość, która nosi maskę. Która mówi językiem troski. Która podpisuje dokumenty spokojnym długopisem. I która śpi dobrze każdej nocy, bo sumienie nie jest jej problemem.

Rozdział 3

Plastyczny potwór

O tym, jak normalni ludzie stają się narzędziami zła

„Jesteśmy tym, co wielokrotnie czynimy.
Doskonałość nie jest czynem — jest nawykiem."
— Arystoteles, w ujęciu Willa Duranta
(The Story of Philosophy, 1926)

Jak powszechnie wiadomo, ludzki umysł jest elastyczny. Nie u wszystkich. Część ludzi rodzi się jako skrajności — albo głęboko zakorzenieni w wartościach, albo pozbawieni ich całkowicie — i żadne środowisko tego nie zmieni. Ale to mniejszość. Zdecydowana większość z nas jest czymś pomiędzy. Plastyczna. Podatna na kształtowanie. I to głównie środowisko — nie geny, nie los, nie charakter — decyduje, w którą stronę pójdziemy.

To nie jest filozofia. To biologia.

Rośliny, które reagują na glebę

Thomas Boyce i Bruce Ellis już w 2005 roku badali, dlaczego jedni ludzie rozwijają się świetnie w każdych warunkach, a inni są silnie zależni od tego, co ich otacza. Odkryli prostą rzecz: ludzie różnią się neurobiologicznym stopniem wrażliwości na środowisko. Podzielili nas na dwie grupy — i użyli do tego obrazowego porównania z ogrodu.
Pierwsza grupa to mniszki lekarskie. Mlecze. Rosną wszędzie — na zadbanym trawniku, w ciasnej szczelinie chodnika, na zanieczyszczonym wysypisku. Środowisko ich nie kształtuje w żaden szczególny sposób. Są genetycznie odporne i stabilne niezależnie od warunków. Ani idealne otoczenie nie wydobywa z nich spektakularnego, ukrytego potencjału, ani skrajnie złe nie niszczy ich wewnętrznej struktury. Po prostu trwają. Druga grupa to orchidee. Tu zaczyna się robić ciekawie. Orchidea w dobrych warunkach — z właściwą glebą, odpowiednim światłem i troskliwą pielęgnacją — rozkwita w sposób, jakiego odporny mlecz nigdy nie osiągnie. Ale ta sama orchidea w złych warunkach błyskawicznie więdnie. Jest ekstremalnie wrażliwa na bodźce zewnętrzne — w obie strony. To

ludzie, których układ nerwowy chłonie otoczenie jak gąbka, płacąc za to wysoką cenę w niesprzyjających realiach, ale oferując niezwykłe możliwości w środowisku wspierającym. Późniejsze badania pokazały jednak, że rzeczywistość jest bardziej złożona. W 2018 roku Francesca Lionetti, Arthur Aron, Elaine Aron, Michael Pluess i współpracownicy uzupełnili ten model o trzecią grupę — tulipany. To ludzie średnio wrażliwi: bardziej podatni na wpływ otoczenia niż mniszki, ale znacznie mniej kruche niż orchidee. W tym ujęciu tulipany stanowią około 40 procent populacji, orchidee około 31 procent, a mniszki około 29 procent. To nie jest drobiazg. To jest fundament całego rozumowania. Skoro ponad 70 procent społeczeństwa (tulipany połączone z orchideami) wykazuje wyraźną lub skrajną reaktywność na bodźce, to stan naszego otoczenia przestaje być sprawą drugorzędną. Teza o ludzkiej podatności nie może być oparta wyłącznie na wizji ludzi całkowicie odpornych. Większość z nas reaguje na środowisko plastycznie — pod jego wpływem albo rozwijamy skrzydła, albo drastycznie tracimy odporność psychiczną.

Dobrym przykładem jest nowoczesne biuro lub klasa szkolna typu open space — pełna hałasu, chaosu i ciągłej rywalizacji. Pracujący tam mniszek zachowa pełen spokój i po prostu wykona swoje zadania. Tulipan po powrocie do domu będzie odczuwał silne zmęczenie, a jego produktywność wyraźnie spadnie. Z kolei dla orchidei takie środowisko okaże się toksyczne — doprowadzi ją do lęków i całkowitego wypalenia. Jednak w cichym, wspierającym gabinecie ta sama orchidea wygeneruje genialne, nieszablonowe pomysły, którymi prześcignie resztę zespołu. I właśnie dlatego tak ogromne znaczenie mają instytucje, normy społeczne, kultura, wychowanie i presja grupy. Choć nie zmienią one genetycznych mniszków, to dla przeważającej większości populacji — tulipanów i orchidei — są kwestią fundamentalną. To od jakości tych struktur zależy, czy potencjał wrażliwych jednostek zostanie spalony przez permanentny stres, czy przekuty w empatię, innowacyjność i współpracę. Złe warunki nie tyle zmieniają nasz kompas moralny, ile niszczą dobrostan psychiczny jednostek reaktywnych, popychając je w stronę defensywnych strategii przetrwania: cynizmu i dominacji. To nie osłabia argumentu o roli społeczeństwa. To go porządkuje. Prawdziwa siła tej teorii leży w zrozumieniu, że różni ludzie potrzebują różnej gleby. Cywilizacja jest właśnie sztuką tworzenia takich warunków, które chronią kruchość orchidei i dają stabilność tulipanom, zanim stres środowiskowy zmusi ich do walki o przetrwanie. Nawet jeśli mniszki poradzą sobie same, o kondycji całego społeczeństwa decyduje to, jak zaopiekujemy się resztą ogrodu. To powinno być dla nas ostrzeżeniem i nadzieją jednocześnie.

Ostrzeżeniem, bo wadliwe środowisko potrafi bezpowrotnie zniszczyć i zadeptać to, co w ludziach najcenniejsze — ich unikalną, twórczą wrażliwość.

Nadzieją, bo właściwa gleba potrafi wydobyć z większości z nas potencjał i piękno, o które sami byśmy się nigdy nie podejrzewali.

Czym skorupka za młodu

Babcie miały rację. Nie całą, ale miały.

„Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci" — to nie jest ludowa poezja oderwana od rzeczywistości. To skrót prawdy o rozwoju człowieka. Mózg dziecka nie jest jeszcze zastygłym kamieniem. Jest jak mokry cement. Łatwo w nim zostawić ślad. Łatwo wyryć wzór. Łatwo zbudować fundament, ale równie łatwo ten fundament skrzywić.

W pierwszych latach życia kształtuje się nie tylko pamięć, lecz także sposób reagowania na świat. Zaufanie albo nieufność. Bezpieczeństwo albo czujność. Spokój albo ciągła gotowość do obrony. Empatia albo odruch zamknięcia. I nie są to wyłącznie „psychiczne odczucia". To są konkretne zmiany w działaniu mózgu, w jego organizacji, w sposobie, w jaki człowiek później odczytuje ludzi, zagrożenie, autorytet i własną wartość. Badania nad rozwojem po traumie i chronicznym stresie pokazują, że wczesne doświadczenia mogą realnie wpływać na sposób działania układów odpowiedzialnych za stres, emocje i regulację zachowania.

Dziecko wychowane w chaosie nie staje się po prostu smutniejsze. Ono uczy się świata jako miejsca niebezpiecznego. Dziecko wychowane w przemocy nie tylko pamięta przemoc. Ono zaczyna zakładać, że przemoc jest normalnym językiem relacji. Dziecko wychowane w obojętności nie tylko cierpi. Ono zaczyna rozumieć relacje jako chłodne, warunkowe i interesowne.

Dlatego wychowanie nie jest wyłącznie prywatną sprawą rodziny. To jest w pewnym stopniu sprawa publiczna. Sprawa cywilizacyjna. Państwo i kultura, które odwracają wzrok od wczesnego krzywienia duszy, później zbierają nie owoce, lecz odpadki własnego zaniedbania.

Ale tu trzeba dodać coś równie ważnego: ten cement nie twardnieje od razu do końca.

Człowiek nie kończy się w dzieciństwie

Arystoteles wiedział już dawno temu, że człowiek staje się tym, co powtarza. Cnota nie spada z nieba. Nie jest medalem przyznanym przy

porodzie. Jest nawykiem. Jest ćwiczeniem. Jest drogą. Człowiek uczy się być odważny przez odwagę, uczciwy przez uczciwość, przyzwoity przez przyzwoitość. Nie dlatego, że te cechy są łatwe. Właśnie dlatego, że są trudne, mają wartość.

Współczesna nauka potwierdza to, co filozofia wyczuwała intuicyjnie: mózg dorosłego człowieka pozostaje plastyczny przez całe życie. Zmienia się wolniej niż u dziecka, ale się zmienia. Tworzy nowe połączenia. Uczy się. Odrzuca stare wzorce. Buduje nowe. Nawyki mogą ratować człowieka. Mogą też go pogrążyć.

To oznacza, że na naprawę zawsze jest czas. Ale nie oznacza, że naprawa jest tania. Nie oznacza, że można bezkarnie latami hodować w sobie i wokół siebie brud, a potem jednym aktem dobrej woli wszystko odkręcić. Nie. Człowiek może się zmienić. Tylko że im później zaczyna, tym większy koszt ponosi.

Jest jeszcze jeden ważny proces: z wiekiem człowiek staje się coraz bardziej wewnątrzsterowny. Coraz mniej prowadzi go zewnętrzny hałas, a coraz bardziej jego własne utrwalone schematy. To bywa dobre, bo wzmacnia odporność na manipulację. Ale bywa też zdradliwe, bo jeśli ktoś przez lata żył w patologii, to właśnie ta wewnętrzna sztywność zaczyna bronić tego, co chore. Człowiek przestaje widzieć problem, ponieważ jego wnętrze uznało problem za normę.

I właśnie dlatego tak często nie potrzeba już zewnętrznego bata. Wystarczy, że człowiek sam zacznie pilnować własnego zniewolenia. Taki jest pełny sukces toksycznego środowiska: nie tylko ujarzmić człowieka, ale sprawić, by sam nazywał to dojrzałością.

I dlatego najważniejsze są pierwsze lata. Nie dlatego, że później nic nie można zrobić. Lecz dlatego, że wtedy buduje się konstrukcję nośną całego życia.

W każdym z nas siedzi coś, co czeka.

Istnieje w człowieku coś niewygodnego. Coś, czego większość ludzi nie chce w sobie oglądać. Zalążek egoizmu bez hamulców. Zalążek manipulacji. Zalążek obojętności wobec cierpienia innych, gdy tylko okoliczności przestają wymagać przyzwoitości.

Nie mówię, że człowiek jest z natury zły. To byłoby równie głupie jak twierdzenie, że z natury jest święty. Mówię coś trudniejszego: człowiek nosi w sobie możliwość zejścia niżej, jeśli środowisko da mu do tego zachętę, a sumienie przestanie być nagradzane.

Wracamy do ciemnej triady, bo warto to sobie utrwalić: narcyzm, makiawelizm, psychopatia. To nie są tylko etykiety kliniczne. To są

również ludzkie potencjały, które w odpowiednich warunkach mogą się uaktywnić nawet u osób, które nigdy nie trafiłyby do żadnej diagnozy. Badacz Kevin Dutton argumentuje, że te cechy przetrwały w procesie ewolucji właśnie dlatego, że bywały opłacalne — i wciąż czekają na warunki, w których znów będą. Ewolucja nie usuwa wszystkiego, co brutalne. Ewolucja zachowuje to, co bywało kiedyś skuteczne. A kiedyś skuteczne bywało także to, co dziś nazywamy bezwzględnością. W tym sensie zło nie spada z nieba. Ono korzysta z odwiecznych narzędzi przetrwania, jeśli tylko środowisko przestaje je hamować.

W świecie niedoboru zwyciężał nie zawsze najszlachetniejszy, ale często ten, kto potrafił wziąć więcej, nie oglądając się na innych. To nie jest powód do dumy. To jest powód do ostrożności. Bo jeśli ten mechanizm siedzi w nas głęboko, to w odpowiednich warunkach może się obudzić.

I właśnie o to chodzi w całej tej opowieści. Nie o to, że zło jest wszędzie takie samo. Tylko o to, że warunki potrafią wydobyć z człowieka to, czego sam po sobie by nie podejrzewał.

Kiedy autorytet staje się młotem

W 1961 roku Stanley Milgram przeprowadził jeden z najbardziej znanych eksperymentów w historii psychologii. Chciał sprawdzić, jak daleko zwykły człowiek może się posunąć, gdy rozkaz wydaje autorytet. Uczestnik miał zadawać wstrząsy „uczniowi" za błędne odpowiedzi. Ofiara protestowała, krzyczała, błagała o przerwanie. Eksperymentator zachowywał spokój. Mówił, by kontynuować. W eksperymencie aż 65 procent uczestników doszło do maksymalnego poziomu 450 woltów.

Wynik był szokujący. Większość uczestników poszła dalej, niż sama uznałaby za możliwe. Nie dlatego, że byli potworami. Właśnie dlatego, że nimi nie byli. Byli zwyczajni. I to jest najgorsza wiadomość dla człowieka: zło nie zawsze przychodzi w krzywych zębach i z pianą na ustach. Czasem przychodzi w krawacie, w fartuchu, w procedurze, w tonie urzędowego spokoju.

Dziesięć lat później Philip Zimbardo przeprowadził eksperyment więzienny w Stanford — w sierpniu 1971 roku. Przerwano go po sześciu dniach. Zwykli studenci, rozdzieleni losowo na strażników i więźniów, zaczęli zachowywać się w sposób coraz bardziej brutalny, upokarzający i odczłowieczający. W kilka dni system roli zaczął jeść człowieka od środka. Nie trzeba było żadnego demona. Wystarczyła konstrukcja instytucji. Zimbardo nazwał to efektem Lucyfera. Nie diabeł ich skusił. Skusił ich system. Warto dodać: eksperyment bywa dziś krytykowany — ujawnione archiwa pokazały, że strażnicy

otrzymywali wskazówki co do brutalności, co osłabia jego metodologiczną czystość. Nie unieważnia to jednak głównej obserwacji: rola i kontekst instytucjonalny potrafią prowadzić ludzi do zachowań, których by się po sobie nie spodziewali.

To jest jedna z najważniejszych lekcji nowoczesnej psychologii: człowiek nie działa w próżni. Człowiek działa w układzie sił. A układ sił potrafi z niego zrobić coś, czego sam nie rozpozna.

Milgram pokazał posłuszeństwo wobec autorytetu. Zimbardo pokazał, co robi z człowiekiem rola wpisana w system. Ponieważ eksperyment więzienny bywa dziś krytykowany metodologicznie (m.in. za instruowanie strażników), traktuję go jako ilustrację. Razem dają obraz brutalny i bardzo prosty: nie trzeba być sadystą, żeby czynić zło. Wystarczy wejść w układ, który zło nagradza, usprawiedliwia albo ukrywa pod warstwą procedur.

Konformizm, czyli miękka forma niewoli

Jest jeszcze coś. Nie tylko posłuszeństwo wobec autorytetu. Także zgodność z grupą. Człowiek bardzo często nie klęka przed rozkazem. On klęka przed spojrzeniem innych.

Tutaj wchodzi Solomon Asch i jego proste, a zarazem upokarzające dla ludzkiej dumy badania nad konformizmem. Wystarczyło, że grupa mówiła jedno, a człowiek zaczynał wątpić we własne oczy. Wystarczyło, że większość była pewna siebie, a jednostka rezygnowała z własnego osądu. Nie dlatego, że nie widziała prawdy. Dlatego, że bała się wyłamać. W klasycznej wersji eksperymentu około 75 procent uczestników uległo grupie przynajmniej raz, a w warunkach bez nacisku błędy zdarzały się bardzo rzadko.

Konformizm jest miękką formą niewoli. Nie zawsze przychodzi w mundurze czy w todze. Często przychodzi w uśmiechu. Mówi: „bądź jak my, a będziesz bezpieczny". I właśnie w tym tkwi jego siła. Większość ludzi nie chce walczyć. Większość ludzi chce przeżyć, zostać zaakceptowana, nie zostać zmiażdżona przez grupę. Dlatego tak łatwo dopasowują się do tonu otoczenia, do jego moralności, do jego fałszu, do jego obłudy.

Konformizm ma jeszcze jedną cechę: lubi ubierać się w język rozsądku. Nie mówi „sprzedaj swoje sumienie". Mówi: „nie przesadzaj", „takie są realia", „wszyscy tak robią", „lepiej się nie wychylaj". To właśnie dlatego jest tak skuteczny. Nie wali młotem. Działa sączącym się kwasem.

Ale konformizm nie tłumaczy wszystkiego. Bo obok niego istnieje coś równie ważnego: indywidualność.

Indywidualność nie jest kaprysem.

Bycie sobą nie oznacza bycia dziwakiem. Nie oznacza też automatycznej odwagi. Indywidualność to zdolność utrzymania własnej osi, gdy otoczenie próbuje ją wygiąć. To umiejętność powiedzenia „nie" wtedy, gdy tłum mówi „tak", ale to „tak" jest moralnie jałowe. To gotowość do samotności, gdy prawda nie ma jeszcze większości.

To właśnie indywidualność chroni człowieka przed rozpuszczeniem się w stadzie. Nie każda odmienność jest cnotą. Nie każdy bunt jest prawy. Ale bez wewnętrznego kręgosłupa człowiek staje się tylko odbiciem cudzych oczekiwań.

Indywidualność nie rodzi się z próżności. Rodzi się z dyscypliny. Z samopoznania. Z ćwiczenia sumienia. Z gotowości do poniesienia kosztu. Człowiek naprawdę wolny nie jest tym, kto robi, co mu się podoba. Jest tym, kto potrafi oprzeć się temu, co go rozmywa. W praktyce to oznacza nie demonstracyjny bunt, lecz wewnętrzną autonomię: zdolność do własnego sądu nawet wtedy, gdy jest on samotny.

Indywidualność jest więc nie egoizmem, lecz formą moralnej autonomii. Nie mówi: „jestem ponad innymi". Mówi: „nie oddam swojego osądu za spokój społeczny". To jest różnica zasadnicza. Pierwsze jest pychą. Drugie jest kręgosłupem.

I właśnie tu wchodzi najważniejszy podział: nie na dobrych i złych, lecz na ludzi, którzy potrafią zachować własny osąd, oraz na tych, którzy oddają go otoczeniu w zamian za spokój.

Jak sumienie zdejmuje z siebie odpowiedzialność

Ale co dokładnie znaczy „oddać osąd"? To nie jest jednorazowy akt kapitulacji, tak jak ukłon czy podniesienie ręki. To codzienna praca, którą umysł wykonuje na sobie samym, żeby oddanie osądu przestało boleć.

Milgram pokazał, że człowiek słucha rozkazu. Zimbardo pokazał, że człowiek wchodzi w rolę. Asch pokazał, że człowiek ugina się pod spojrzeniem grupy. Ale żadne z tych badań nie odpowiada na pytanie, które boli najbardziej: jak człowiek, który zrobił coś złego, potrafi tego samego wieczoru spokojnie zasnąć?

Odpowiedział na to Albert Bandura, psycholog, który przez pół wieku badał, jak ludzie się uczą — nie z książek, tylko z obserwacji innych. Odkrył coś, co nazwał moralnym odłączeniem. Nie chodzi o to, że człowiek traci sumienie. Chodzi o to, że uczy się je wyłączać, zostawiając je nietkniętym na później — na wtedy, gdy będzie wygodniej.

Mechanizm jest prosty i dlatego tak skuteczny. Człowiek nie mówi sobie: „robię coś złego". Mówi: „robię to, co konieczne". Krzywdę przemianowuje na obowiązek, przemoc na dyscyplinę, wyzysk na efektywność. To nie kłamstwo skierowane na zewnątrz. To kłamstwo skierowane do siebie — i dlatego działa lepiej niż każde inne.

Drugi trik jest jeszcze prostszy: porównanie. „Inni robili gorzej." „W innych firmach jest jeszcze brutalniej." Wystarczy znaleźć kogoś gorszego od siebie, a własny czyn natychmiast blednie.

Trzeci trik to rozmycie sprawstwa. W dużej organizacji nikt nie podejmuje decyzji sam. Decyzję podejmuje „zespół", „procedura", „polityka firmy". Kiedy winny jest każdy po trochu, winny nie jest nikt. Odpowiedzialność wyparowuje w korytarzach, zanim dotrze do sumienia.

I na końcu — najciemniejszy trik ze wszystkich: odczłowieczenie. Łatwiej skrzywdzić „przypadek", „jednostkę roszczeniową", „element do zwolnienia", niż skrzywdzić człowieka, który ma imię, twarz i dzieci czekające w domu. Język jest tu bronią pierwszą, nie ostatnią.

Na zewnątrz nic się nie zmienia. Ten sam człowiek, ten sam uśmiech, ta sama teczka pod pachą. Zmienia się tylko słownik, którym mówi sam do siebie — a to wystarczy, żeby sumienie przestało protestować. Właśnie dlatego jest to groźniejsze niż jawna zbrodnia. Człowiek moralnie odłączony nie czuje się przestępcą. Czuje się zawodowcem.

I tu zaczyna się prawdziwe pytanie tego rozdziału: co się dzieje, gdy takie odłączenie przestaje być incydentem jednej osoby, a staje się językiem całej instytucji?

Zaraza, której nie widać

Andrzej Łobaczewski opisał coś, co można nazwać społeczną infekcją. W tym, co nazwał patokracją, chodzi o sytuację, w której niewielka grupa ludzi bez empatii i bez hamulców potrafi ustawić normy tak, by reszta zaczęła współuczestniczyć w ich logice. W praktyce zdrowy człowiek, długo zanurzony w takim środowisku, zaczyna przejmować

jego język, odruchy i usprawiedliwienia — nie dlatego, że nagle kocha zło, tylko dlatego, że uczy się, co w tym systemie się opłaca.

Nazwał to charakteropatią wtórną. Brzmi akademicko, ale mechanizm jest prosty. Człowiek zaczyna robić to, za co otoczenie go nagradza. Jeśli nagradzana jest zimna kalkulacja, przejmuje zimną kalkulację. Jeśli nagradzana jest lojalność wobec patologii, przejmuje lojalność wobec patologii. Jeśli nagradzana jest obojętność, zaczyna być obojętny.

Wtedy właśnie zło działa najlepiej. Nie wtedy, gdy wszyscy krzyczą. Tylko wtedy, gdy wszyscy milczą i „rozumieją realia".

Najstraszniejsze jest to, że taka zmiana nie boli wprost. Człowiek nie budzi się pewnego dnia i nie mówi: od dziś będę gorszy. On po prostu robi małe ustępstwa. Jedno. Drugie. Trzecie. Tłumaczy je rozsądkiem, ostrożnością, dojrzałością, pragmatyzmem. A potem orientuje się, że dawno już przestał być sobą.

Tak rodzi się obce człowiekowi ja. Nie przez jedną wielką zdradę, lecz przez serię małych kapitulacji. Sumienie nie ginie od razu. Najpierw jest zagłuszane. Potem oswajane. Na końcu — legalizowane.

Dlaczego to rozkwita w dobrobycie

Kiedy społeczeństwo żyje w zagrożeniu, egoizm jest drogi. Trzeba współpracować, trzeba ufać, trzeba bronić wspólnoty. W takich warunkach bezwzględność szybciej wychodzi na jaw. Zostaje zauważona, oceniona, odrzucona.

Ale gdy zagrożenie słabnie, a zasoby wydają się bezpieczne, wszystko się rozluźnia. Normy miękną. Instytucje zmieniają kierunek działania. Prestiż przestaje zależeć od wkładu, a zaczyna zależeć od dominacji. Wtedy to, co patologiczne, przestaje być ukryte. Zaczyna awansować.

I tu nie chodzi o to, że dobrobyt sam w sobie psuje człowieka. To byłoby zbyt prymitywne. Chodzi o to, że dobrobyt bez instytucjonalnych hamulców daje patologii przestrzeń. A patologia, gdy ma przestrzeń, nie śpi. Ona szuka korzystnego układu.

Ekonomiści Daron Acemoglu i James Robinson zbadali dziesiątki państw i epok i doszli do prostego wniosku: bogactwo samo w sobie nie niszczy społeczeństwa. Niszczy je brak instytucji, które trzymają patologię w ryzach.

Instytucje są jak układ odpornościowy. Gdy działają, wyłapują patogeny społeczne, zanim te się rozmnożą. Gdy słabną, organizm społeczny

staje się bezbronny. I wtedy niewielka liczba ludzi bez zasad może zainfekować dużą część reszty.

Tu właśnie kończy się naiwność, a zaczyna polityka w sensie najgłębszym. Nie chodzi o partie. Chodzi o architekturę życia zbiorowego. O to, czy system premiuje sumienie, czy tylko cwaniactwo. Czy wynosi ludzi przyzwoitych, czy ludzi skutecznych moralnie do cna pustych.

Właściwe pytanie

Dlatego pytanie nie brzmi: „czy jestem wystarczająco dobry, by się oprzeć?". To pytanie jest źle postawione. Ono zrzuca całą odpowiedzialność na jednostkę i udaje, że środowisko nie istnieje. A środowisko istnieje. I działa. Bezlitośnie.

Właściwe pytanie brzmi: w jakim środowisku żyję, co ono ze mną robi i jakie zachowania nagradza?

A jeszcze ważniejsze pytanie brzmi: jak zbudować takie instytucje, taką kulturę i takie wychowanie, żeby nie produkowały ludzi odklejonych od sumienia, lecz ludzi zdolnych do odporności, przyzwoitości i wewnętrznej pionowości?

Bohater(ka) rozdziału o eichmannowskim konformizmie nie był potworem. Był urzędnikiem. Sprawnym, skrupulatnym, lojalnym wobec systemu. Arendt nazwała to banalnością zła. Zło nie potrzebuje potworów. Potrzebuje systemu, w którym normalni ludzie robią potworne rzeczy — i uważają, że tak po prostu wygląda praca.

Bo człowiek nie jest ani wyłącznie mleczem, ani wyłącznie orchideą. Jest istotą, która może wytrzymać bardzo dużo — ale może też rozkwitnąć albo zmarnieć w zależności od tego, gdzie ją posadzono. I właśnie dlatego odpowiedzialność za środowisko jest odpowiedzialnością za człowieka.

To jest temat o wiele większy niż psychologia. To jest temat o cywilizacji.

Rozdział 4

Faza dysymulatywna

jak wchodzi zło

„Największym sukcesem diabła jest przekonanie świata, że nie istnieje."
— Charles Baudelaire, Hojny gracz

WEJŚCIE ZŁA W ZDROWE ŚRODOWISKA

Faza dysymulatywna to etap, w którym jednostki o cechach patologicznych wchodzą w struktury społeczne i zdobywają w nich miejsce. Od innych etapów odróżnia ją niska sygnatura behawioralna: zamiast otwartej agresji pojawia się strategiczne dopasowanie do norm panujących w grupie. Zanim mechanizmy obronne środowiska zostaną uruchomione, jednostka dyssocjalna zdąży już zintegrować się z tkanką instytucjonalną i zbudować pozycję opartą na zaufaniu oraz pozornej kompetencji.

To, co psychiatria kliniczna opisuje jako subkliniczne cechy Ciemnej Triady — narcyzm, makiawelizm i psychopatię — szacuje się, że cechy te w różnym natężeniu występują u kilku procent populacji ogólnej, a ich nosiciele funkcjonują normalnie: pracują, zakładają rodziny, wchodzą w struktury społeczne. Nie ma na nich tabliczki ostrzegawczej. Ich wyróżnikiem nie jest spektakularna przemoc, lecz pewna szczególna zdolność: umiejętność wyczuwania, gdzie leży władza, i dążenia do niej metodycznie, bez hamulców empatii, bez wyrzutów sumienia, często z przekonującym urokiem osobistym, który dezorientuje otoczenie.

Ale tutaj zaczyna się coś istotnego, co łatwo przeoczyć: nie każdy, kto potrafi zdominować małą grupę, zdolny jest do zdominowania dużego systemu. I odwrotnie — jednostka zdolna do przejęcia instytucji państwowej mogłaby w lokalnym klubie sportowym zostać szybko rozpoznana i odrzucona. Skala zmienia nie tylko rozmiar szkód. Zmienia też wymagane narzędzia, kontekst społeczny i to, co nazywam wypornością psychiczną środowiska.

SKALA MIKRO: PUDEŁKO

Mała grupa ludzi spotykająca się z powodu wspólnego hobby przypomina zamknięte pudełko. Z pozoru to tylko przestrzeń do wymiany myśli, do rozmowy, do obecności. Kilka osób, ten sam rytm spotkań, ten sam teren, podobne zainteresowania. Ale właśnie w takim miejscu najłatwiej wejść bokiem, bez alarmu.

Wspólną cechą wszystkich grup i stowarzyszeń ponerogennych jest to, że ich członkowie nie posiadają zdolności postrzegania osobowości patologicznych jako takich lub tracą tę zdolność pod wpływem takiej grupy. Bez pewnego minimum krytycyzmu interpretują cechy takich jednostek w sposób nieco zafascynowany, melodramatyczny, przypisując im intelektualną wybitność lub heroizm. Poglądom, ideom i sądom osób z różnymi deficytami umysłowymi przypisuje się wartość co najmniej równą wartości jednostek bardziej wybitnych wśród ludzi normalnych. Utrata naturalnej krytyki cech psychopatologicznych otwiera drogę do ich ponerogennej roli, a jednocześnie stanowi kryterium uznania danego stowarzyszenia za ponerogenne. Nazwijmy to pierwszym kryterium ponerogenezy.

A. Łobaczewski

Jak dokładnie przebiega to wejście — testowanie gruntu, dawkowanie wpływu, rozbijanie zaufania — opisane jest w rozdziale o jednostkach dyssocjalnych. Tu interesuje nas coś innego: co decyduje o tym, czy grupa jest w stanie się obronić.

Tutaj pojawia się kluczowe pojęcie: wyporność psychiczna grupy. To zbiorowa zdolność środowiska do rozpoznawania patologicznych wzorców i przeciwstawiania się im, zanim wyrządzą trwałe szkody. Mała grupa ma wyporność wysoką wtedy, gdy jej członkowie mają nawyk bezpośredniej komunikacji, gdy istnieją nieformalne normy wzajemnej uczciwości, gdy nikt nie jest strukturalnie uzależniony od łaski jednej osoby. Gdy wyporność jest niska — ludzie są izolowani, niepewni swojej pozycji lub wychowani w kulturze unikania konfliktu — wejście patologicznej jednostki przebiega niemal bez tarcia.

Co ważne: po rozpadzie grupy taka jednostka nie znika. Ona zmienia teren. Zabiera swoich, lub jeżeli z jakiegoś powodu również swoich zniechęciła do uczestnictwa w życiu społecznym grupy, to przenosi się tam, gdzie można znów próbować ustawiać ludzi pod siebie. Jak pasożyt szukający nowego organizmu. Ale w skali mikro jej

wpływ pozostaje lokalny — opiera się głównie na relacjach interpersonalnych, emocjach i bezpośredniej manipulacji. Dopiero w większych strukturach podobne mechanizmy mogą zostać wsparte przez procedury, hierarchie i system zależności.

PRÓG SKALI: CO SIĘ ZMIENIA, A CO ZOSTAJE

Przejście od pudełka do parlamentu nie jest prostym powiększeniem. To zmiana ekosystemu.

W małej grupie dominacja opiera się na bezpośredniej obecności — na głosie, spojrzeniu, fizycznej bliskości, osobistym szantażu emocjonalnym. Jednostka z cechami narcystycznymi lub psychopatycznymi może tutaj działać samodzielnie, bez pośredników, bez ideologii, bez instytucji. Jej narzędziem jest ona sama.

W dużym systemie społecznym — instytucji, partii, aparacie państwowym — ta sama bezpośrednia taktyka rychło przestaje wystarczać. Zasięg jest zbyt duży, żeby ogarnąć go własnym wzrokiem i głosem. Potrzeba struktury pośrednictwa: lojalnych wykonawców na kolejnych szczeblach, narracji ideologicznej, która zastąpi osobisty urok zbiorową wiarą, oraz mechanizmów instytucjonalnych, które będą egzekwować posłuszeństwo bez osobistej interwencji centrum.

Dlatego jednostka, która z powodzeniem zdominowała klub szachowy lub grupę rekonstruktorów, niekoniecznie ma predyspozycje do przejęcia ministerstwa. Brakować może jej makiawelicznej cierpliwości, zdolności do budowania wielopoziomowych sieci zależności i — co być może najważniejsze — umiejętności posługiwania się językiem ideologicznym jako maską. Odwrotnie: gracz zdolny do opanowania złożonej struktury politycznej mógłby w małej grupie hobbystów zostać szybko przejrzany, bo jego styl działania — abstrakcyjny, narracyjny, pośredni — nie przekłada się na bezpośredniość relacji twarzą w twarz.

Łączy obie skale natomiast jeden rdzeń: ta sama logika fazy dysymulatywnej. Najpierw maska normalności. Potem powolne przesuwanie reguł gry. Następnie selekcja otoczenia według klucza lojalności. Na końcu eliminacja tych, którzy widzą zbyt dobrze. Mechanizm jest identyczny — różni się tylko ekwipunek, zasięg i rozmiar wyrządzonych szkód.

SKALA MAKRO: SYSTEM

W polityce i w dużych instytucjach ta sama logika zakłada po prostu większą maskę.

Tu nie mówi się od razu językiem przemocy. Mówi się językiem prawa, troski, odpowiedzialności i porządku. Na scenie stoją poważne twarze, za nimi flagi, hasła i oficjalne formuły. Wszystko wygląda na legalne, uporządkowane, państwowe. Ale pod tą warstwą pracuje ta sama zasada: podporządkować, wyselekcjonować, rozdzielić, przestraszyć — tylko instrumentarium jest inne.

Psychiatra i badacz Andrzej Łobaczewski opisał ten proces jako poneryzację: stopniowe przejmowanie struktur przez osoby o psychopatycznej organizacji osobowości, w którym normalne wartości zostają wypaczone w swoje przeciwieństwo, a język publiczny zaczyna funkcjonować w oderwaniu od rzeczywistości, którą rzekomo opisuje. Zło nie wchodzi z zewnątrz z tarczą i mieczem — wchodzi od środka, w garniturze, z legitymacją służbową.

Wczesnym symptomem poneryzacji systemu jest przesuwanie „okna Overtona" w zakresie dopuszczalnych zachowań instytucjonalnych. Proces ten polega na stopniowym oswajaniu otoczenia z praktykami wcześniej uznawanymi za nieakceptowalne. Zmiana ta nie następuje gwałtownie; jest to sukcesywna redefinicja norm, w której patologia zaczyna być przedstawiana jako konieczność dziejowa lub wyraz pragmatyzmu politycznego.

Gdy granice zostają poruszone, następuje drugi etap: selekcja negatywna. System zaczyna wybierać własnych strażników spośród tych, którzy powinni być kontrolowani. Nie najlepsi awansują — najbezpieczniejsi dla układu. Zjawisko to jest spójne z opisywanym w literaturze mechanizmem selekcji negatywnej w organizacjach zdominowanych przez cechy Ciemnej Triady (Paulhus i Williams) — środowiska takie aktywnie wypychają tych, którzy demonstrują niezależność etyczną.

Wyporność psychiczna społeczeństwa na tym poziomie ma inną naturę niż wyporność małej grupy. Nie chodzi tu o bezpośrednie rozpoznanie konkretnej osoby, lecz o zdolność systemu do samonaprawy: sprawność instytucji kontrolnych, kulturę mówienia prawdy w przestrzeni publicznej, obecność środowisk zawodowych zdolnych do niezależnej oceny rzeczywistości. Gdy te mechanizmy działają, poneryzacja napotyka opór strukturalny. Gdy słabną — droga stoi otworem.

Człowiek uczciwy nie znika nagle. Uczy się omijać ostre słowa. Uczy się, że prawda ma cenę. I w pewnym momencie przestaje ją płacić — nie dlatego, że stał się zły, lecz dlatego, że chce przetrwać. A kiedy przystosowanie do patologicznych reguł staje się warunkiem przeżycia, zdrowe społeczeństwo zaczyna pękać nie na ulicach, lecz w sumieniach.

Na końcu tej drogi nie ma już tylko zepsutych instytucji. Jest stan, w którym patologia przestaje być odstępstwem, a zaczyna być zasadą organizującą życie publiczne. Wszystko jeszcze wygląda znajomo — są urzędy, sądy, procedury, świąteczne przemówienia, konstytucyjne formuły. Ale pod tą powierzchnią nie ma już zdrowego organizmu. Jest mechanizm samopodtrzymującej się degeneracji, który broni własnej skazy jakby była cnotą i uczy słabszych milczeć zamiast ich chronić.

TOLERANCJA, DOBROBYT I ŚLEPOTA WSPÓLNOTY

Każda stabilna wspólnota, która osiąga względny dobrobyt i wysoki poziom tolerancji, zaczyna z czasem tracić ostrość widzenia. Nie dlatego że zagrożenia znikają. Dlatego że przestają być częścią codziennego doświadczenia. Mechanizmy czujności, które w warunkach niedoboru działają jak układ odpornościowy, w warunkach komfortu ulegają rozproszeniu. Wspólnota przestaje rozróżniać między autentyczną prospołecznością a jej symulacją.

Bogactwo samo w sobie nie niszczy społeczeństwa — niszczy je brak mechanizmów, które trzymają patologię z dala od władzy. Acemoglu i Robinson udokumentowali to na dziesiątkach państw i epok. Wniosek jest prosty i niezmiennie aktualny.

I w tej luce pojawia się ten typ człowieka. Nie jawnie agresywny. Rzadko impulsywny. Często wręcz wysoce funkcjonalny. Jego przewaga nie polega na sile — polega na zdolności do imitacji. To nie jest drapieżnik atakujący wprost. To organizm pasożytniczy, który najpierw uczy się biochemii swojego żywiciela, żeby potem w nią dyskretnie ingerować. Mówi językiem wartości cenionych przez wspólnotę, reprodukuje jej symbole, demonstruje zachowania, które na pierwszy rzut oka wyglądają na empatyczne i zaangażowane. Różnica ujawnia się dopiero na poziomie intencji i konsekwencji.

Taki człowiek nie buduje relacji. Buduje układy. Nie inwestuje w ludzi jako osoby — inwestuje w funkcje. Każdy kontakt zostaje poddany cichej kalkulacji: kto może być użyteczny, kto neutralny, kto stanowi przeszkodę. W małej społeczności wygląda to jak powolne zarastanie zdrowej tkanki przez obcą strukturę. Początkowo

niewidoczne. Z czasem zaczyna zmieniać przepływ zasobów: uwagi, zaufania, wpływu. Najpierw marginalizowani są ci, którzy działają według zasad. Potem wzmacniani są ci, którzy wykazują lojalność wobec osoby — nie wobec norm.

Kluczowy moment nie następuje przy wejściu. Następuje wtedy, gdy osiągnie próg bezpieczeństwa. Dopóki zależy mu na akceptacji, utrzymuje maskę — spójną narrację o sobie jako o kimś kompetentnym, zaangażowanym i moralnie wiarygodnym. Gdy sieć zależności jest już wystarczająco gęsta, a alternatywy zostały osłabione lub wyeliminowane — maska przestaje być potrzebna. Wtedy zmienia się nie tylko styl działania. Zmieniają się normy obowiązujące w całej wspólnocie. To, co było wyjątkiem, staje się regułą.

Ten mechanizm jest skalowalny. Dokładnie to samo, co widać w małej grupie — w firmie, organizacji, środowisku towarzyskim — można niemal bezpośrednio przenieść na poziom struktur państwowych. Różnica leży tylko w złożoności i czasie trwania procesu. Dlatego mikrospołeczności są najlepszym laboratorium diagnostycznym. Tam najszybciej widać, czy ktoś traktuje innych jako podmioty czy jako narzędzia. Tam najtrudniej przez dłuższy czas kontrolować wizerunek.

I tu ważna rzecz: nie daj się zwieść powierzchownym gestom. Uprzejmość wobec obsługi, poprawność językowa, deklaratywna wrażliwość społeczna — to sygnały o niskiej wartości diagnostycznej, bo są najłatwiejsze do zagrania. Znacznie więcej mówi zachowanie w warunkach braku nadzoru i braku bezpośredniej korzyści. Sposób traktowania słabszych. Reakcja na cudzy sukces. Stosunek do zobowiązań, których niewykonanie nie pociąga żadnych konsekwencji.

Człowiek nie zmienia swojej struktury moralnej wraz z awansem. Zmienia jedynie środowisko, w którym ta struktura operuje. Jeśli na niższym poziomie wykorzystuje ludzi instrumentalnie — na wyższym zrobi to samo, z większymi zasobami i szerszym zasięgiem. Jakość działania zostaje ta sama. Zmienia się tylko skala i rozmiar szkód.

Wspólnota, która chce zachować zdolność do samoobrony, musi utrzymywać aktywne mechanizmy rozpoznawania takich wzorców — szczególnie na wczesnym etapie. Nie przez podejrzliwość wobec wszystkich. Przez konsekwentne rozróżnianie między deklaracją a praktyką.

Kryzys systemu jest jedynie końcowym efektem długotrwałej „ślepoty poznawczej" wspólnoty. Zaniechanie weryfikacji działań liderów na etapie deklaratywnym otwiera drogę do nieodwracalnej degradacji struktur. Zdolność do rozpoznawania subtelnych zmian w

wektorze działania instytucji jest jedynym skutecznym mechanizmem wczesnego ostrzegania przed pełną poneryzacją życia publicznego.

ZAMKNIĘCIE

Zarówno pudełko, jak i parlament mogą zostać przejęte tą samą logiką. Oba środowiska różnią się skalą i rozmiarami szkód — nie naturą procesu. Różnica leży wyłącznie w wyporności — w tym, ile odporności zbiorowej zdążyło się wytworzyć, zanim drzwi zostały otwarte zbyt szeroko. I w tym, czy ktokolwiek nauczył się rozpoznawać cichą igłę poruszającą się na kompasie, zanim zacznie wskazywać w zupełnie inną stronę.

Rozdział 5

Poneryzacja języka

*czyli nie wiem, jak państwo, ale ja będę w*****ł!*

„Język polityki składa się w dużej mierze z eufemizmów, mylenia tropów i mglistej niejasności.”
George Orwell

Poneryzacja języka to patologia, w której słowa zostają wypaczone tak, że przestają służyć do opisu rzeczywistości. Język jest podstawowym medium, w którym powstaje rzeczywistość społeczna i w którym człowiek myśli, dlatego z perspektywy ponerologicznej kontrola nad aparatem pojęciowym jest warunkiem koniecznym do sprawowania władzy dyssocjalnej. Wypaczony język uniemożliwia precyzyjne nazwanie i zidentyfikowanie nadużyć, i to on, a nie akty przemocy fizycznej, otwiera drogę degradacji struktur państwowych i społecznych.

Dlatego jeśli chcesz nad kimś zapanować, nie musisz od razu mu odbierać wolności. Wystarczy, że odbierzesz mu słowa, którymi mógłby tę wolność opisać. Albo napełnisz je inną treścią. Lub chociaż sprawisz, że zacznie się bać ich używać.

Zło społeczne zawsze zaczyna od języka. Nie od przemocy. Nie od instytucji. Od słów. To nie jest metafora. To mechanizm.

Pierwsza rzecz, która umiera, to język. Historia pokazuje tę regularność bez wyjątku: zanim zmienią się instytucje, zmienia się mowa o instytucjach. Zanim rzeczywistość zostanie przejęta — zostaje przemianowana. Słowa kłamią, zanim ludzie zdążą zauważyć, że coś jest nie tak.

Prawda staje się podejrzana — zbyt twarda, zbyt niewygodna, zbyt droga emocjonalnie. Społeczność zaczyna się rozpadać nie od granic, lecz od znaczeń. Bo jeśli nie potrafimy już nazywać rzeczy po imieniu, nie potrafimy też ich obronić.

EUFEMIZM. CUKIER NA TRUCIZNĘ

Eufemizm to zamiana słowa prawdziwego na słowo lżejsze. Brzmi niewinnie. I często jest niewinny — bo człowiek z natury stara się mówić łagodnie, nie ranić, oszczędzać innych. To dobry odruch. Problem zaczyna się wtedy, gdy łagodne słowa wypierają prawdziwe całkowicie. Gdy nie ma już możliwości powiedzenia rzeczy po imieniu, bo języka po prostu brakuje.

Ktoś kłamie. Ale zamiast „skłamałeś” — mówi się: „twoja wersja jest inna niż moja”. Ktoś wyrządza krzywdę. Ale zamiast „skrzywdziłeś” — mówi się: „ta sytuacja była dla mnie trudna”. Ktoś manipuluje. Ale zamiast „manipulujesz” — mówi się: „masz inny styl komunikacji”.

Każde z tych przesunięć jest małe. Razem tworzą środowisko, w którym krzywda przestaje być krzywdą. W którym kłamstwo nie jest kłamstwem, tylko „inną wersją”. W którym manipulacja jest „stylem”. A człowiek, który doświadczył czegoś złego, zaczyna wątpić we własną ocenę sytuacji. Bo nie ma już słów, które by ją potwierdziły.

Eufemizm nie usuwa faktów. Usuwa zdolność ich nazwania. A jeśli nie możesz czegoś nazwać — trudniej jest też przed tym się bronić.

Przeciwieństwem eufemizmu jest dysfemizm — i on też bywa narzędziem, nie prawdą: w systemach patologicznych służy nakręcaniu nastrojów równie skutecznie, jak eufemizm je usypia. Osoba z odmiennym zdaniem staje się „konfliktowym typem”. Świadka niewygodnego dla śledztwa nazywa się „osobą utrudniającą postępowanie”. Protestujący zamieniają się w „awanturników” i „motłoch”.

PARAMORALIZATOR. WYROK BEZ SĄDU

Paramoralizator to zdanie, które brzmi jak ocena moralna, ale nią nie jest. Ma powagę. Używa słów etycznych. Sprawia wrażenie, że coś zostało powiedziane. Ale gdy człowiek próbuje się do niego odnieść — odkrywa, że nie ma czego chwytać. Jest forma. Nie ma treści.

„To jest po prostu nieakceptowalne.” „Każdy człowiek dobrej woli rozumie, co trzeba zrobić.” „Nie możemy na to patrzeć obojętnie.”

Żadne z tych zdań nic nie mówi. Nie ma w nich opisu sytuacji. Nie ma kryterium oceny. Nie ma argumentu. Są same wyroki — bez uzasadnienia, bez procesu, bez możliwości odpowiedzi.

Człowiek normalny — wychowany w przekonaniu, że słowa moralne coś znaczą — traktuje paramoralizator jak prawdziwy argument. Czuje się osądzony. Zaczyna się tłumaczyć. Szuka odpowiedzi na zarzut, którego właściwie nie ma. Przeprasza, choć nie wie, za co. I właśnie o to chodzi. Nie o rozmowę. O paraliż.

Paramoralizator działa szczególnie skutecznie w grupach. Gdy padnie przy stole, nikt nie chce być pierwszy, który zapyta: „ale co dokładnie zostało tu powiedziane?" — bo to wymaga odwagi i naraża na zarzut braku wrażliwości. I tak puste zdanie zaczyna żyć własnym życiem. Krąży, jest cytowane, staje się powodem decyzji. A nikt nie sprawdził, czy w środku jest cokolwiek poza brzmieniem.

PARALOGIZM. DOM Z KARTONU

Paralogizm to błąd w rozumowaniu, który wygląda jak rozumowanie. Ma wszystkie zewnętrzne cechy argumentu. Są przesłanki, jest wniosek, jedno wynika z drugiego. Ale to wynikanie jest pozorne. Ktoś zbudował dom z kartonu i pomalował go na kolor cegły. Z daleka robi wrażenie. Z bliska — nie wytrzyma pierwszego deszczu.

Kilka przykładów. „Zawsze tak było — więc tak musi być." Opis historii nie jest dowodem na konieczność. To, że coś trwało sto lat, nie znaczy, że musi trwać sto jeden.

„Wszyscy tak robią — więc to normalne." Powszechność nie jest normalnością w sensie moralnym. Jeśli wszyscy kłamią, to kłamstwo jest powszechne — ale nie staje się przez to wartością. Paralogizm podmienia tu słowo „normalne" ze statystycznego opisu na moralne przyzwolenie.

„Skoro nie masz nic do ukrycia, czego się boisz?" To zdanie przenosi ciężar dowodu z tego, kto żąda, na tego, kto odmawia. Ale prawo do prywatności nie wymaga uzasadnienia. Odmowa nie jest dowodem winy. Paralogizm tę różnicę usuwa.

„To zbyt skomplikowane, żeby oceniać jednoznacznie." Niekiedy prawdziwe. Często — ucieczka. Bo zdanie o „zbyt wielkiej złożoności" bywa odpowiedzią na pytania, które są proste. I wtedy jest nie opisem rzeczywistości, lecz zasłoną przed oceną.

Paralogizm działa jak chwast w ogrodzie myślenia. Rośnie cicho między zdaniami i sprawia, że człowiek po jakimś czasie nie wie, co wyrosło z ziarna, a co z chwastu.

DEZINFORMACJA PRZEZ PRAWDĘ. NAJGROŹNIEJSZY Z MECHANIZMÓW

Kłamstwo można złapać. Jest fałszem, więc da się je sprawdzić. Ale jest coś groźniejszego od kłamstwa. Coś, przed czym trudniej się bronić.

Prawda. Powiedziana w złym momencie. Powiedziana bez kontekstu. Prawda wybrana tak, żeby zaciemniała, choć każde jej słowo jest faktem.

Mechanizm jest prosty. Masz sto faktów. Wybierasz dziesięć — te, które prowadzą do wniosku, który chcesz osiągnąć. Resztę przemilczasz. I każde zdanie, które wypowiadasz, jest prawdziwe. Ale obraz, który budujesz, jest fałszywy.

Wyobraź sobie, że ktoś mówi o tobie: „Zdarzyło mu się nie dotrzymać obietnicy". To prawda. Ale jeśli nie powie, że ta jedna obietnica była złamana po raz pierwszy w życiu, pod wyjątkową presją, a ty przez dwadzieścia lat byłeś człowiekiem dotrzymującym słowa — to prawdziwe zdanie tworzy fałszywy portret.

W środowiskach zakażonych dezinformacja przez prawdę jest szczególnie ceniona. Bo nie można jej zarzucić kłamstwa. Wszystko się zgadza. Każde zdanie można sprawdzić. A mimo to człowiek, który jej słucha, wychodzi z mylnym obrazem rzeczywistości.

To jest najdoskonalsza broń języka. Nie fałszuje faktów. Fałszuje proporcje.

CELOWA WIELOZNACZNOŚĆ. SŁOWO, KTÓRE ZNACZY WSZYSTKO

Jest pewna kategoria słów, które można naciągnąć w każdym kierunku. Które brzmią konkretnie, ale nie są konkretne. Które dają poczucie porozumienia — a ono nie istnieje.

„Wartości" — jakie konkretnie? „Dobro wspólne" — czyje i według kogo? „Szacunek" — na czym polega w tej sytuacji? „Odpowiedzialność" — za co i wobec kogo?

Te słowa mogą znaczyć cokolwiek. I właśnie dlatego są używane przez tych, którzy chcą mówić, nie mówiąc nic. Brzmią poważnie. Brzmią jak zakotwiczone w czymś ważnym. Ale zakotwiczenia nie ma.

Celowa wieloznaczność pojawia się najczęściej wtedy, gdy ktoś chce, żebyś myślał, że się zgadzacie — a tak nie jest. Mówi: „musimy to

rozwiązać z odpowiedzialnością". Kiwasz głową. On kiwa głową. Ale każde z was rozumie przez to coś zupełnie innego. I dopiero gdy przychodzi czas działania — okazuje się, że to, co wyglądało jak porozumienie, było rozmową na dwie osobne planety.

Celowa wieloznaczność nie jest przypadkowym niedoprecyzowaniem. To technika. Pozwala twierdzić jedno, a robić drugie. Pozwala się nie zobowiązywać. Pozwala, gdy przyjdzie rozliczenie, powiedzieć: „ale ja miałem na myśli coś innego"

.

PSEUDOEKSPERCKOŚĆ. STRÓJ JAKO ARGUMENT

Jest jeden sposób na zakończenie rozmowy bez rozmowy. Wystarczy wyglądać wystarczająco poważnie.

Pseudoeksperckość to używanie języka specjalistycznego, tytułów i oprawy po to, żeby narzucić autorytet bez merytorycznego uzasadnienia. Nie chodzi o wiedzę. Chodzi o wrażenie wiedzy. O ton głosu. O odpowiednie słownictwo. O mówienie w sposób, który sprawia, że inni wstydzą się pytać, czy to ma sens.

„Z punktu widzenia systemowego podejścia do zarządzania zasobami niematerialnymi..." — i już większość ludzi zaczyna wątpić we własne rozumienie. Bo skoro ktoś używa takich słów, to chyba wie, o czym mówi.

Ale nie zawsze wie. Niekiedy bełkot jest właśnie po to, żeby zasłonić brak treści. Żeby sprawić, że pytanie o sens poczuje się jak głupota. Że ktoś, kto prosi o wyjaśnienie po ludzku, zostanie uznany za tego, który nie rozumie, a nie za tego, który ma rację.

Łobaczewski opisuje to zjawisko jako jeden z elementów zakażenia języka w grupach. Gdy pseudoekspert zaczyna dominować w rozmowie — gdy nikt nie pyta o sens, bo wszyscy boją się wyglądać na niewiedzących — wtedy realna analiza zostaje zastąpiona performansem wiedzy. I nikt nie wie, co naprawdę zdecydowało.

Prawdziwy ekspert potrafi wytłumaczyć skomplikowaną rzecz prosto. Pseudoekspert tłumaczy prostą rzecz skomplikowanie. I na tym polega różnica.

INFLACJA SŁÓW MORALNYCH. WALUTA BEZ POKRYCIA

Słowa moralne mają wagę o tyle, o ile są używane precyzyjnie i rzadko.

Gdy kogoś nazwiemy kłamcą — to musi coś znaczyć. Gdy powiemy, że coś jest niesprawiedliwe — to musi coś znaczyć. Słowo działa, gdy ma za sobą rzeczywistość.

Ale gdy te słowa są używane do wszystkiego — tracą znaczenie. Jak banknot, który drukuje się bez pokrycia.

„Trauma" — która kiedyś oznaczała głębokie zranienie psychiczne — zaczęło oznaczać każdą nieprzyjemną sytuację. „Przemoc" — która opisywała realne wyrządzanie krzywdy — zaczęła obejmować nieprzyjemne zdania, różnicę zdań, sam fakt nieakceptowania czyjejś postawy. „Krzywda" rozlała się na każde doznane rozczarowanie.

Inflacja niszczy walutę. Gdy słowo „trauma" oznacza wszystko — nie oznacza nic. Człowiek, który nosi w sobie ciężar realnego urazu, musi teraz walczyć o to, żeby jego ból nie był traktowany na równi z czyimś złym dniem w biurze.

To nie jest przypadkowy proces. W środowiskach, gdzie ważne słowa są systematycznie rozciągane — osoba, która rzeczywiście doświadczyła czegoś poważnego, traci narzędzie, którym mogłaby to opisać. Jej prawdziwy ból tonie w powodzi używanych na wyrost słów.

Kto na tym korzysta? Ten, kto ma interes w tym, żeby poważne rzeczy nie wyglądały poważnie.

NOWOMOWA. JĘZYK RÓWNOLEGŁY

Orwell opisał ją w Roku 1984 jako narzędzie totalne i jawne. Ale nowomowa w czystej postaci jest rzadka. Groźniejsza jest jej codzienna wersja — cichsza i przez to trudniejsza do złapania.

Polega na tym, że słowa zaczynają znaczyć coś innego niż znaczyły. Nie przez dekret. Przez nawyk. Przez powtarzanie w nowym kontekście, aż stare znaczenie wyblaknie i zostanie tylko nowe.

Słowo „dialog" zaczyna oznaczać sytuację, w której jedna strona mówi, a druga słucha. Słowo „reforma" zaczyna oznaczać każdą zmianę — w górę i w dół, bez różnicy. Słowo „ekspert" zaczyna oznaczać kogokolwiek, kto mówi wystarczająco pewnie.

Gdy znaczenia przesuwają się — człowiek traci punkt odniesienia. Nie dlatego, że jest głupi. Dlatego, że język, którym się posługuje, opisuje inną rzeczywistość niż ta, w której żyje. I ta rozbieżność go niszczy. Powoli, ale konsekwentnie.

Łobaczewski pisze, że w środowiskach zakażonych zmiana języka jest zawsze pierwsza. Zanim zmienią się instytucje — zmienia się mowa o instytucjach. Zanim zmieni się rzeczywistość — zmienia się jej nazwa.

ZYGMUNT BAUMAN I PŁYNNY JĘZYK

Jest pewien człowiek, o którym już było i do którego wracać jeszcze będziemy w tej książce.

Socjolog Zygmunt Bauman — jeden z najważniejszych myślicieli drugiej połowy XX wieku — nazwał naszą epokę „płynną nowoczesnością". Miał na myśli to, że wszystko, co kiedyś było stałe — wartości, instytucje, normy, znaczenia słów — zaczęło topnieć. Nie wszystko naraz. Cicho, równomiernie, litr po litrze.

Gdy znaczenia są płynne — nie ma punktu odniesienia. Nie ma pewności, czy to, co mówisz, jest rozumiane tak, jak mówisz. Nie ma gwarancji, że słowo użyte dzisiaj będzie jutro znaczyło to samo. A w tym środowisku niepewności — ten, kto panuje nad definicjami, panuje nad wszystkim.

Warto przy tym pamiętać, że sam Bauman przez osiem lat młodości był oficerem politycznym komunistycznego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ścigającego powojenne podziemie niepodległościowe — i nigdy w pełni się z tego epizodu nie rozliczył. Cenię go za wkład intelektualny w socjologię. Nie oznacza to jednak akceptacji tego, co robił w młodości. Niemniej doświadczenia nabyte w młodości czynią go nie tylko teoretykiem mechanizmów, które opisuję w tej książce, ale także ich uczestnikiem.

Baumana jeszcze będziemy przywoływać. Bo jego myśl o płynności jest kluczem do rozumienia wielu zjawisk, które opisujemy w tej książce.

ODCZŁOWIECZENIE PRZEZ JĘZYK. KONIEC DROGI

Najtwardszy z mechanizmów jest ten ostatni.

Każda poważna krzywda wyrządzona człowiekowi przez człowieka — w historii i współcześnie — była poprzedzona językowym odczłowieczeniem ofiary. Nie jako wyjątek. Jako reguła.

Zanim stało się to, co się stało — najpierw zmieniał się język. Ludzie przestawali być ludźmi w słowach — zanim przestali być ludźmi w faktach.

Mechanizm działa na każdej skali. W miejscu pracy — człowiek, który ma być zwolniony, staje się najpierw „zasobem nieefektywnym kosztowo". W rodzinie — dziecko, wobec którego stosuje się przemoc, jest najpierw opisywane jako „trudne" i „prowokujące". W grupie — człowiek przeznaczony do wykluczenia staje się najpierw „toksyczny" i „destrukcyjny dla wspólnoty".

Słowa poprzedzają czyny. I właśnie dlatego język jest pierwszą linią obrony. Nie symboliczną. Dosłowną.

DLACZEGO CZŁOWIEK NORMALNY NIE ZAUWAŻA

Przez cały ten rozdział pojawia się jedno pytanie: dlaczego to działa? Dlaczego ludzie tego nie widzą?

Odpowiedź jest prosta. Człowiek normalny — obdarzony empatią, zdolnością do poczucia winy, rozumiejący konsekwencje własnych słów — zakłada, że słowa znaczą to, co znaczą. Że gdy ktoś mówi „dialog", ma na myśli dialog. Że paramoralizator jest prawdziwą oceną moralną. Że ekspert wie, o czym mówi. Że zdanie ma treść, a nie tylko brzmienie.

To nie jest naiwność. To sprawnie działający układ poznawczy. W zdrowym środowisku — słuszny. Ludzie w zdrowych środowiskach mówią to, co mają na myśli.

Ale w środowisku zakażonym — ta sama cecha staje się słabością. Człowiek, który projektuje na innych swoje standardy językowe, jest zagubiony w terenie, którego mapy nie ma.

Człowiek zaburzony — który używa opisanych tu narzędzi — nie ma tego założenia. On wie, że muszla jest pusta. Dlatego widzi więcej. I dlatego ma przewagę.

To jest serce zagadnienia. Nie głupota normalnych ludzi. Ich uczciwość — obrócona przeciwko nim w środowisku, które jej nie podziela.

DEMAGOGIA. ROZUM NA KOLANACH

Demagogia jest stara jak nasz gatunek. Nie jest jej wypadkiem przy pracy. Jest jej cieniem — obecnym od początku, wszędzie tam, gdzie ludzie muszą kogoś przekonać, a argument im nie wystarcza.

Arystoteles opisał retorykę jako sztukę neutralną. Narzędzie. Można nią służyć prawdzie, można nią ją zakopać. Rozróżnił trzy drogi przekonywania: logos — argument, ethos — wiarygodność mówiącego, pathos — emocje słuchacza. Dobre przemawianie używa wszystkich trzech. Demagogia używa jednej. Wyłącznie pathos. I robi to nie z lenistwa, lecz z precyzji.

Bo emocja jest szybsza od myśli. Strach pojawia się zanim zdążysz ocenić zagrożenie. Gniew — zanim zdążysz sprawdzić, czy masz rację. Pogarda — zanim zdążysz zapytać, czy zasłużona. Demagog to wie. I nie idzie na skróty przez niewiedzę. Idzie przez nią celowo.

Cyceron żył w epoce, gdy demagogia przestała być teorią i stała się metodą rządzenia. Sam był mistrzem retoryki — ale uczciwy. Patrzył na Klodiusza i Katylinę z przerażeniem człowieka, który rozumie mechanizm od środka. Widział, co się dzieje z tłumem, gdy ktoś umie go rozgrzać do właściwej temperatury. Wiedział, że racja nie wystarczy. I mimo to jej bronił. Zapłacił za to głową — dosłownie. Ucięto mu ją i wystawiono na Forum Romanum. Jakby chciano powiedzieć: mówienie prawdy ma swoją cenę.

Dwa tysiące lat później Gustave Le Bon opisał ten sam mechanizm, tylko od strony tłumu. Tłum — pisał — myśli inaczej niż jednostka. Regresuje. Traci zdolność oceny krytycznej, zyskuje natomiast wrażliwość na obrazy, symbole, powtórzenia. Nie przekonują go dowody. Przekonują go hasła. Nie zmienia go argument. Zmienia go zarażenie emocją. Im prościej, tym skuteczniej. Im głośniej, tym prawdziwiej. Warto jednak pamiętać, że sam Le Bon patrzył na tłum z góry — z elitarną pogardą, która sama nie była wolna od uproszczeń, jakie opisywał. Mechanizm zauważył trafnie. Siebie z niego nie wyłączył.

To nie jest opis patologii. To jest opis mechanizmu, który działa w każdym z nas — gdy jesteśmy dość zmęczeni, dość przestraszeni, dość otoczeni przez tłum myślący tak samo. Człowiek w tłumie myśli inaczej, niż będąc sam. Ale właśnie dlatego demagogia jest tak cennym narzędziem dla tych, którzy rozumieją ten mechanizm i używają go celowo. Wrażliwość tłumu nie jest winą tłumu. Jest zaproszeniem, które demagog przyjmuje.

Demagogia jest więc czymś więcej niż tylko fałszywym argumentem. Ona obchodzi argument. Nie atakuje rozumu — ona go unieruchamia. Wpuszcza emocję tak silną, że myślenie staje się niedostępne. I wtedy, gdy rozum stoi z opuszczonymi rękoma, wchodzi teza. Dowolna. Bo nikt jej już nie sprawdza.

Systemy poneryczne wybierają demagogię, bo nie mogą sobie pozwolić na logos. Wybierają ją, bo działa szybciej, głębiej i trwalej niż zdrowe rozumowanie. Rozum wymaga wysiłku. Wymaga czasu. Wymaga gotowości do zmiany zdania — a to boli. Strach, gniew i pogarda są natychmiastowe. Są za darmo. I zostają na długo po tym, jak demagog już wyszedł ze sceny.

Paramoralizator, dezinformacja przez prawdę, celowa wieloznaczność — wszystko to są cegiełki. Demagogia jest murem, który się z nich buduje. Nie opisuje świata. Buduje w słuchaczu taką wersję świata, w której pytanie o dowód przestaje się pojawiać.

WULGARYZACJA A PONERYZACJA JĘZYKA. DWIE RÓŻNE FORMY PRZEKAZU

Wulgaryzacja języka i jego poneryzacja nie są tym samym zjawiskiem. Wulgaryzm jest zwykle widoczny od razu. Uderza wprost. Jest chropowaty, brutalny, czasem śmieszny, czasem ordynarny, ale zazwyczaj nie ukrywa własnej natury. Mówi coś przede wszystkim o nadawcy: o jego napięciu, kulturze wypowiedzi, stanie emocjonalnym, a nieraz po prostu o ubóstwie warsztatu. Może obniżać poziom mowy, lecz nie musi jeszcze niszczyć jej sensu. Jest ciosem zadanym otwarcie.

Poneryzacja działa inaczej. Nie wali cepem. Wchodzi w język jak rdza w metal — powoli, po cichu, od środka. Nie obniża tylko stylu. Ona rozbija strukturę znaczeń. Zamiast słowa prawdziwego daje słowo miękkie. Zamiast oceny daje pozór oceny. Zamiast treści daje ton, oprawę i sugestię. Wtedy nie ma już „kłamstwa", tylko „inna wersja"; nie ma „manipulacji", tylko „inny styl komunikacji"; nie ma „krzywdy", tylko „trudna sytuacja". To nie jest brud na języku. To jest rozpuszczanie fundamentu.

Wulgaryzm bywa prymitywny, ale jego mechanizm jest przejrzysty. Poneryzacja jest elegancka, a przez to groźniejsza. Tam, gdzie wulgaryzm obnaża napięcie, poneryzacja ukrywa intencję. Tam, gdzie wulgaryzm pokazuje rozpad kultury mówienia, poneryzacja niszczy zdolność rozróżniania prawdy od pozoru. I właśnie dlatego ten drugi proces jest bardziej niebezpieczny: nie tylko zubaża język, ale jeszcze odbiera człowiekowi narzędzia obrony. Człowiek może zignorować bluzg. Znacznie trudniej zignorować zdanie, które brzmi poprawnie, a jest zrobione z pustki.

W tym sensie wulgaryzacja jest hałasem, a poneryzacja — sabotażem. Jedna niszczy estetykę wypowiedzi. Druga niszczy jej szkielet. Jedna rzuca błotem. Druga podmienia drogowskazy. I dlatego nie wulgaryzm sam w sobie jest największym zagrożeniem dla języka, lecz język, który pozoruje sens, a w rzeczywistości go rozbraja.

Rozdział 6

Karykaturyzacja

szyld bez sklepu

„Jeśli nazwy nie są poprawne,
mowa nie jest zgodna z prawdą rzeczy.
Jeśli mowa nie jest zgodna z prawdą rzeczy,
spraw nie da się doprowadzić do końca.”
— Konfucjusz

Ruinę widać z daleka. Ktoś wali młotem w ściany, pali archiwa, rozsypuje mury na pył, a efekt można pokazać w wiadomościach wieczornych. Ruina przynajmniej mówi prawdę. Tutaj coś zostało zburzone. Tu nie ma już domu, tylko gruz. Tu nie ma już mostu, tylko przepaść. Karykaturyzacja jest od niej groźniejsza, bo nie ma w sobie nic z takiego widowiska.

Karykatura działa inaczej. Zostawia fasadę. Zostawia szyld, mundur, pieczęć, tytuł, dekorację. Zostawia wszystko, co ma uspokajać oko. Tylko że w środku nie ma już sensu. Nie ma treści, która usprawiedliwiałaby formę. Zostaje powłoka, skorupa, kostium. Z daleka wygląda znajomo. Z bliska okazuje się pustką z dobrym oświetleniem.

Instytucja nadal istnieje — lecz nie wykonuje swojej funkcji. Słowo nadal brzmi poważnie — lecz nie niesie znaczenia. Autorytet nadal siedzi przy stole — lecz nie ma nic do powiedzenia. Moralność nadal jest wypowiadana — lecz służy już nie do odróżniania dobra od zła, tylko do przykrywania interesu. Forma trwa jak trup elegancko ubrany do fotografii. Treść wyszła tylnymi drzwiami.

Łobaczewski opisywał podobne zjawiska jako jeden z najważniejszych mechanizmów ponerogenezy — procesu, w którym struktury społeczne zostają powoli opanowane przez patologię. I słusznie. Zło społeczne rzadko zaczyna się od jawnego ataku. Częściej wchodzi bocznymi drzwiami, o czym już wiemy. Nie mówi: jestem

złem. Mówi raczej: proszę się nie niepokoić, wszystko jest zgodne z procedurą. I właśnie wtedy trzeba uważać najbardziej.

GDZIE TO WIDAĆ. CZYLI WSZĘDZIE.

Zanim przejdziemy do wielkich struktur, warto zacząć od małego. Od codzienności, którą zna każdy.

Idź do urzędu. Jest okienko, formularz, pieczątka, numer sprawy, regulamin, kolejka. Wszystko jest. Tyle że decyzja, która ma z tego wyniknąć, już dawno zapadła gdzie indziej. Cała ceremonialna otoczka służy jedynie temu, by człowiek wyszedł z poczuciem, że uczestniczył w czymś poważnym. W rzeczywistości uczestniczył w teatrze. W przedstawieniu, którego scenariusz napisano bez niego.

Idź do lekarza. Na ścianie dyplomy, na biurku sprzęt, na ustach specjalistyczne słowa. Po pięciu minutach masz poczucie, że zostałeś nie zbadany, lecz odprawiony. Jakby diagnoza była gotowa przed twoim wejściem do gabinetu. Jakby badanie nie było drogą do prawdy, tylko rytuałem, który ma potwierdzić coś ustalonego wcześniej. Forma medycyny pozostaje. Medycyna jako służba prawdzie zostaje wyjęta jak mechanizm z zepsutego zegara.

Idź na uczelnię. Słyszysz o dialogu, rozwoju, krytycznym myśleniu, otwartości. Potem widzisz, że najważniejsze jest zaliczenie, odpowiednia odpowiedź, właściwy ton, podporządkowanie się atmosferze. Nie chodzi już o szukanie prawdy — chodzi o przetrwanie w systemie znaków. Student ma odtworzyć język, nie rozumienie.

Szyld zostaje. Sklep znika.

Teraz skala większa. Wrzesień 2015. Komisja Europejska ogłasza obowiązkowy system relokacji uchodźców między krajami członkowskimi. Głosowanie, uchwała, mechanizm, procedura, raport z postępu. Wszystko jest. Forma jest nieskazitelna. Wynik: do 2017 roku z zakładanych 160 tysięcy osób przesiedlono niespełna 30 tysięcy — czyli niecałe 19 procent. Komisja sporządziła dziesiątki raportów. Kraje raportowały postępy. Nikt nie dał rady pokazać, gdzie zniknęła reszta. Instytucja działała. Skutek nie nastąpił. Szyld wisiał. Sklepu nie było.

Albo Rosja i Ukraina. Przez osiem lat przed 2022 rokiem trwały rozmowy: Format Normandzki, Mińsk I, Mińsk II. Spotkania, protokoły, rozejmy, mapy drogowe, komunikaty końcowe — całe archiwum procedur. A tymczasem w Donbasie wciąż ginęli ludzie, przez cały ten okres. Dyplomacja wyglądała jak dyplomacja. Tyle że była w dużej mierze nieskuteczna — a część stron traktowała ją bardziej

jako narzędzie potrzebne do odwlekania i dające czas na przygotowanie ataku, niż realną próbę rozwiązania konfliktu.

To jest karykatura na poziomie geopolityki. Taka sama jak w gabinecie lekarskim — tylko z mapami i martwymi żołnierzami.

ZAUFANIE JAKO PIERWSZA OFIARA

Zanim karykaturyzacja dotknie instytucji, dotyka zaufania. Bo zaufanie jest fundamentem, na którym stoi wszystko inne.

Człowiek ufa, że lekarz chce go wyleczyć. Że nauczyciel chce czegoś nauczyć. Że umowa coś znaczy. Że gdy ktoś mówi „daję słowo" — daje coś realnego. To nie jest naiwność. To jest podstawa, bez której żadne wspólne życie nie jest możliwe. Socjologowie mają na to termin — kapitał społeczny. Robert Putnam mierzył go przez dekady we Włoszech i Stanach Zjednoczonych. Wyniki były brutalne: tam, gdzie zaufanie jest niskie, wszystko kosztuje więcej — dosłownie. Każda transakcja, każda umowa, każda relacja wymaga dodatkowego zabezpieczenia, weryfikacji, notariusza, prawnika. Brak zaufania to podatek, który płaci całe społeczeństwo, nawet jeśli nikt go nie ogłosił.

W środowisku zakażonym karykaturą zaufanie zostaje podminowane cicho, metodycznie, krok po kroku. Nie przez wielką zdradę — przez serię małych zaniedbań.

Człowiek normalny długo tego nie zauważa. Bo każdy pojedynczy przypadek można wytłumaczyć. Wyjątek. Pech. Niezrozumienie. Trudna sytuacja. Ale gdy wyjątków jest za dużo — gdy człowiek orientuje się, że przestał ufać bez wyraźnej przyczyny, że zaczął automatycznie sprawdzać każde słowo — wtedy widać, co się stało.

Zaufanie zostało wyjęte. Forma relacji pozostała.

Najbardziej precyzyjnie opisał to Erving Goffman, który przez całe życie przyglądał się temu, jak ludzie odgrywają role w życiu społecznym. Jego teza była prosta: gdy przestajemy wierzyć, że ktoś jest lekarzem — zaczynamy analizować, czy dobrze gra lekarza. To diametralna zmiana optyki. Z zaufania przechodzimy w tryb oceniania spektaklu. I w tym trybie człowiek jest wyczerpany. Bo spektakle są wszędzie i każdy wymaga weryfikacji.

AUTORYTET BEZ TREŚCI

Prawdziwy autorytet nie musi się nadmuchiwać.

Człowiek, który wie, co mówi, nie krzyczy. Nie używa trudnych słów dla samego efektu. Nie ukrywa błędów — bo błędy są częścią każdego myślenia. Jego siła płynie z wewnętrznej spójności: mówi to, co rozumie, i bierze za to odpowiedzialność. Potrafi powiedzieć „nie wiem" bez utraty twarzy.

Karykatura autorytetu działa odwrotnie. Żywi się tytułem, tonem głosu, kostiumem, funkcją, pieczątką, miejscem za stołem. Jest jak paw, który rozłożył ogon tam, gdzie powinien stać sęp. Liczy się wrażenie, nie ciężar myśli. Ważne, żeby brzmiało pewnie. Żeby padały „mądre" słowa. Żeby głos był odpowiednio twardy. Żeby nikt nie zauważył, że pod całą tą aparaturą nie ma ani wiedzy, ani odwagi, ani odpowiedzialności.

W takim świecie ludzie zaczynają klaskać nie mądrości, lecz występom. Szacunek dostaje nie ten, kto rozumie — ale ten, kto potrafi wyglądać na ważnego. Człowiek skromny, rzeczowy, precyzyjny, niezainteresowany samym sobą — bywa podejrzany. Bo nie ma dekoracji. A dekoracja w świecie karykatur jest walutą.

Pomyśl o telewizyjnych debatach politycznych. Człowiek, który mówi „to jest skomplikowane, dlatego chciałbym odnieść się do konkretnych danych" — przegrywa medialnie z tym, który wstaje, uderza pięścią w stół i mówi: „to oczywiste, że tak jest, bo to zawsze tak było". Pierwsza odpowiedź jest intelektualnie uczciwa. Druga jest teatrem. A widownia woli teatr.

To nie jest przypadłość naszych czasów. Cyceron pisał o tym w pierwszym wieku przed naszą erą — że demagog potrafi pokonać filozofa nie dlatego, że ma rację, ale dlatego, że lepiej gra dla tłumu. Dwa tysiące lat i ani kroku do przodu.

EFEKT DUNNINGA-KRUGERA: SAMOZACHWYT NIEKOMPETENCJI

Jest jeszcze jeden powód, dla którego teatr wygrywa z rzeczową odpowiedzią — i nie jest to wyłącznie kwestia gustu widowni. Częściowo wynika to ze sposobu, w jaki człowiek poznaje własne ograniczenia.

W 1999 roku David Dunning i Justin Kruger opisali zjawisko, które chyba każdy kiedyś poczuł na własnej skórze — tylko zwykle po niewłaściwej stronie. Osoby o niskich kompetencjach w danej dziedzinie mogą mieć trudność nie tylko z rozwiązaniem problemu, ale także z rozpoznaniem własnych błędów. Niekompetencja nie jest więc wyłącznie brakiem wiedzy. Może oznaczać również brak narzędzi, dzięki którym można tę wiedzę ocenić.

Człowiek, który się nie zna, nie tylko myli się częściej — może także nie mieć z czego wyciągnąć wniosku, że się myli. Jego pewność może rosnąć dokładnie tam, gdzie powinna maleć, ponieważ brakujący kawałek mapy jest tym samym kawałkiem, który pokazałby mu, że mapy brakuje.

Po drugiej stronie tej samej sceny siedzi ktoś, kto naprawdę się zna — i właśnie dlatego częściej potrafi dostrzec granice własnej wiedzy. Widzi więcej wyjątków, więcej zależności, więcej sytuacji, w których jednoznaczna odpowiedź byłaby zbyt dużym uproszczeniem. Mówi „to zależy", bo naprawdę zależy. Potrafi powiedzieć „nie wiem", bo rozpoznaje, gdzie jego wiedza się kończy.

I tutaj pojawia się paradoks świata opartego na karykaturze. Skromność eksperta może zostać odebrana jako słabość, a pewność siebie amatora jako oznaka kompetencji. W telewizyjnej debacie człowiek, który mówi „to jest bardziej skomplikowane, dlatego chciałbym odnieść się do konkretnych danych", może przegrać medialnie z tym, który odpowiada natychmiast i bez najmniejszego wahania: „to oczywiste, że tak jest".

Pierwszy pokazuje granice swojej wiedzy. Drugi pokazuje przede wszystkim pewność.

A widownia nie zawsze potrafi odróżnić jedno od drugiego.

(Uczciwie trzeba jednak dodać zastrzeżenie, tak jak przy Stanfordzie: popularna wersja efektu Dunninga-Krugera stała się z czasem uproszczonym hasłem — „głupi ludzie myślą, że są mądrzy". Późniejsze analizy wskazywały, że część charakterystycznego obrazu efektu może wynikać również z regresji do średniej, zależności między poszczególnymi miarami oraz sposobu konstruowania i analizowania wyników. Nie przekreśla to problemu trafnej oceny własnych kompetencji, ale każe ostrożniej traktować klasyczny wykres i jego popularne interpretacje.)

A kiedy społeczeństwo zaczyna mylić pewność z kompetencją, teatr zyskuje przewagę nad prawdą. Bo prawda często mówi: „to zależy", „sprawdźmy", „nie wiem". Teatr mówi: „to oczywiste".

I właśnie dlatego szyld może wygrać ze sklepem — nawet wtedy, gdy sklep jest pełen towaru.

EFEKT VAN DORENA: KOMPETENCJA JAKO ALIBI

Jesień 1956, Nowy Jork. W izolowanej kabinie telewizyjnego studia stoi Charles Van Doren — wykładowca literatury na Columbii, syn poety laureata Pulitzera. Naprzeciwko, w drugiej kabinie, Herbert Stempel — chłopak z Queens, oczytany, ale mało telegeniczny. Producenci programu Twenty-One mieli problem: widzowie znudzili się mistrzem, który nie pasował do ekranu. Stemplowi kazano przegrać. Van Dorenowi zaczęto dostarczać odpowiedzi przed każdym nagraniem.

Do lutego 1957 roku wygrał czternaście razy z rzędu i zainkasował 128 tysięcy dolarów — dziś to ponad milion. Kontrakt z NBC, okładka Time'a, poranny program. Cała Ameryka oglądała geniusza w akcji.

Geniusz miał ściągawkę.

I tu zaczyna się właściwa historia. Nie chodzi o to, że kompetencja pozwala dostrzec każdą granicę — bo nie pozwala, nikomu. Chodzi o to, że kiedy granica już zostanie dostrzeżona, kompetencja zwiększa zdolność do jej racjonalnego obejścia. Van Doren doskonale wiedział, że oszukuje. Wiedział to od pierwszego dnia. Tylko że miał zaplecze intelektualne, żeby zbudować sobie coś eleganckiego zamiast prostego kłamstwa: przekonanie, że jego udział w farsie działa na korzyść narodowego stosunku do nauki i edukacji. Przyznał się dopiero wtedy, gdy nie miał już innego wyjścia.

Nazywam to tu roboczo efektem Van Dorena. To sytuacja, w której wysoki poziom wiedzy i prestiżu intelektualnego nie chroni człowieka przed uczestnictwem w nierzetelnym działaniu, lecz przeciwnie — dostarcza mu narzędzi do bardziej wyrafinowanego uzasadnienia własnego odstępstwa od zasad. Kompetencja poznawcza pozbawiona wystarczającej kontroli etycznej zostaje przejęta przez mechanizm racjonalizacji i pracuje odtąd nie na rzecz prawdy, tylko na rzecz alibi.

To nie jest nowy klocek w próżni. To domknięcie układanki, którą psychologia już dawno zaczęła składać, tylko każdy kawałek osobno:

Dunning–Kruger: „Nie wiem, że nie wiem." Motywowane rozumowanie: „Znajdę argument, który pozwoli mi dojść do wniosku, jaki chcę uznać." Racjonalizacja moralna: „Znajdę moralne uzasadnienie dla tego, co już zrobiłem." Moralne odłączenie: „Odłączę działanie od jego moralnych konsekwencji." Ograniczona etyczność: „Mogę działać nieetycznie i nadal uważać się za człowieka etycznego." Normalizacja dewiacji: „Instytucja sprawi, że odstępstwo zacznie wyglądać jak normalność."

Efekt Van Dorena nie zastępuje żadnego z tych mechanizmów — spina je w jedno zdanie, dokładnie tam, gdzie działa wysoka inteligencja: „Wiem, że przekraczam granicę — i właśnie dlatego potrafię to sobie i innym uzasadnić lepiej niż ktokolwiek inny."

Druga warstwa efektu jest instytucjonalna, i to ona daje mu ciężar. Fiksowanie teleturniejów samo w sobie nie było wówczas przestępstwem — dopiero w 1960 roku Kongres znowelizował Communications Act, zakazując ustawiania wyników telewizyjnych konkursów. Van Dorena skazano za krzywoprzysięstwo, czyli za kłamstwo złożone podczas śledztwa, nie za sam udział w oszustwie.

I tu jest kapitalna ironia: system najpierw stworzył środowisko, w którym oszustwo było możliwe i opłacalne, następnie nagrodził człowieka za udział w nim — kontraktem, okładką, sławą — a później, gdy skandal wybuchł, rozliczał przede wszystkim jego osobiste kłamstwo. Nie mechanizm, który to kłamstwo uczynił racjonalnym w jego rozumieniu wyborem. Producenci nie poszli siedzieć. Zarząd NBC nie poszedł siedzieć.

Na poziomie jednostki: inteligencja nie służy do wykrycia przekroczenia normy, tylko do jej wyrafinowanego uzasadnienia. Na poziomie instytucji: system tworzy zachętę do przekroczenia normy, a rozlicza wyłącznie jednostkę — jakby nikt inny nie maczał w tym palców.

To nie jest historia zamknięta w czarno-białym telewizorze z lat pięćdziesiątych. Dziś podobną funkcję, jaką pełniły wtedy amerykańskie teleturnieje, pełnią media społecznościowe. Algorytm nie sprawdza, czy ktoś ma rację — sprawdza, czy trzyma uwagę. Płaci zasięgiem nie za kompetencję, tylko za performatywną pewność: kto mówi „to oczywiste", wygrywa; kto mówi „to zależy", ginie w przewijaniu. Twórca, ekspert, komentator — człowiek wykształcony, świadomy, inteligentny — doskonale wie, kiedy upraszcza fakty dla

kliknięcia. I potrafi sobie to uzasadnić dokładnie tak jak Van Doren: „edukuję ludzi", „buduję świadomość", „gdybym tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś gorszy". Platforma nie musi nikogo zmuszać do kłamstwa. Wystarczy, że płaci lepiej za teatr niż za prawdę — resztę dopowie sobie inteligencja, i zrobi to przekonująco.

MORALNOŚĆ JAKO BROŃ

Moralność miała być kompasem. Pomagać człowiekowi odróżniać dobro od zła — nie po to, żeby oceniać innych, lecz żeby pilnować siebie. W środowisku zakażonym ten kompas zaczyna wariować. Hasła moralne brzmią tak samo. Słowa są te same: uczciwość, odpowiedzialność, szacunek, prawda, wartość, godność. Ale funkcja się zmienia. Moralność przestaje być narzędziem samokontroli. Staje się narzędziem kontroli innych.

Ktoś głośno mówi o przyzwoitości, a sam żyje z nadużyć. Ktoś grzmi o etyce, po czym wykorzystuje innych bez najmniejszego skrupułu. Ktoś nosi maskę obrońcy wartości, a naprawdę pilnuje własnej pozycji.

To jest stary numer z rękawicą — malować spróchniałą deskę na biało i nazywać ją marmurem.

Karykatura moralności jest szczególnie groźna, bo człowiek normalny reaguje na słowa etyczne jak na treści etyczne. Reaguje na apel o dobro jak na prawdziwy apel o dobro. I zanim zorientuje się, że słowa były tylko dekoracją — już posłużył cudzym celom, które z dobrem miały niewiele wspólnego.

BANAN ZA SZEŚĆ MILIONÓW I CO NAM TO MÓWI

W 2019 roku na targach sztuki Art Basel w Miami ktoś przykleił banana do białej ściany taśmą malarską. Banan kosztował trzydzieści centów. Certyfikat, który dawał prawo do przyklejenia nowego banana w jego miejsce, sprzedano za 120 tysięcy dolarów. Pięć lat później — za ponad sześć milionów.

Można się śmiać. Ale zanim to zrobimy, warto zapytać: jak doszło do sytuacji, w której banana przyklejonego taśmą do ściany galeria wycenia wyżej niż dekadę pracy malarza z prawdziwym warsztatem?

Forma jest — galeria, certyfikat, aukcja, opinia krytyków, miliony dolarów. Wszystkie zewnętrzne atrybuty dzieła sztuki są

obecne. Ale treści nie ma. Nie ma rzemiosła. Nie ma myśli wcielonej w materiał. Nie ma języka obrazów, który coś mówi o człowieku lub świecie. Jest gest. I opowieść o geście. I cena opowieści o geście.

Nie chodzi tu o negowanie całej sztuki konceptualnej, lecz o moment, w którym instytucjonalna oprawa zaczyna całkowicie zastępować wartość samego dzieła.

Sztuka istniała po to, żeby człowiek mógł zobaczyć świat inaczej niż na co dzień. Żeby po wyjściu z galerii był choćby trochę innym człowiekiem niż przed wejściem. Banan tego nie robi. I wszyscy to wiedzą. Ale nikt głośno nie mówi — bo rama jest wystarczająco złota.

Zygmunt Bauman, który przez całe życie przyglądał się temu, co dzieje się z ludźmi we współczesnym świecie, nazwał naszą epokę, jak już wiemy, płynną nowoczesnością. Wszystko, co kiedyś było stałe — wartości, zasady, znaczenia, formy — zaczęło się topić. Nie z hukiem. Cicho, równomiernie, bez ogłoszenia. Również kultura w epoce płynności traci zdolność do tworzenia rzeczy trwałych. Wszystko jest wymienne. Piosenka żyje trzy dni. Film musi być serialem, żeby przetrwać tydzień. Treść musi wywołać reakcję natychmiast, inaczej znika.

W tym środowisku kultura nie buduje. Produkuje bodźce. I właśnie to jest karykatura kultury — gdy forma produkcji kulturowej zostaje zachowana, ale funkcja znika. Kultura przestaje być narzędziem rozumienia świata. Staje się narzędziem jego zaciemnienia przez nadmiar.

Upadek kultury i prymitywizacja sztuki zawsze historycznie szły w parze z politycznym kierunkiem dekadencji instytucjonalnej. Dlatego właśnie, patrząc na poziom sztuki, mając przy tym odpowiednią wiedzę, można poznać okolice, w których historycznie się aktualnie znajdujemy. Ale o tych zależnościach więcej będzie w rozdziale o emocjocentryzmie.

PONEROKULTURA. OD ESTETYKI DO POLITYKI.

Ponad dwa tysiące lat temu Platon powiedział coś, co współczesnemu człowiekowi może wydawać się absurdalne: zmiana muzyki może poprzedzać zmianę państwa. Nie dlatego, że bał się melodii. Dlatego, że rozumiał człowieka.

Słuch należy do pierwszych zmysłów rozwijających się przed narodzinami i często pozostaje aktywny do ostatnich chwil życia. Dźwięk dociera tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden argument. Człowiek najpierw uczy się czuć, później myśleć, a na końcu uzasadniać to, co już

wcześniej poczuł. Muzyka trafia właśnie tam — do warstwy głębszej od argumentu. Rytm synchronizuje. Powtórzenie utrwala. Melodia oswaja. Nie jest przypadkiem, że armie przez wieki maszerowały przy bębnie, a nie przy flecie. Nie jest przypadkiem, że hymny narodowe mają określone tempo. Rytm wojskowy synchronizuje ciała i wyłącza indywidualne wątpliwości. To nie metafora — to zastosowanie mechanizmu.

Banan przyklejony taśmą i utwór zbudowany na kilku słowach powtarzanych bez końca nie są dwoma różnymi zjawiskami. To ten sam proces. Prowokacja zastępuje kunszt. Reakcja zastępuje refleksję. Bodziec zastępuje znaczenie. Organizm przyzwyczaja się do stymulacji — wczorajszy bodziec staje się dzisiejszą normą, dzisiejsza norma jutrzejszą nudą, a nuda domaga się kolejnej dawki. Silniejszej. Szybszej. Głośniejszej. W efekcie człowiek stopniowo traci zdolność obcowania z tym, co wymaga cierpliwości — z książką, z ciszą, z myśleniem, z argumentem, z prawdą.

I tu zaczyna się rzecz poważniejsza niż estetyka. Muzyka wpływa na emocje. Emocje wpływają na wartości. Wartości wpływają na zachowania. Zachowania tworzą normy. Normy tworzą instytucje. Tak kultura zamienia się w politykę — nie przez wybory, przez pokolenia.

Człowiek wychowany na bodźcu nie rozpoznaje manipulacji. Bo manipulacja również jest bodźcem. Tylko celowym. Dla zdrowego społeczeństwa jest to problem kulturowy. Dla człowieka patologicznego — okazja. Hitler rozumiał to doskonale. Norymberskie wiece nie były przemówieniami politycznymi — były spektaklami dźwięku, światła i rytmu. Treść była drugorzędna. Ważne było, co ludzie czuli w ciele, zanim zdążyli pomyśleć. Im bardziej uwaga obywatela zależy od emocjonalnego impulsu, tym łatwiej przejąć ją bez konieczności przedstawiania argumentów. Nie wygrywa ten, kto rozumuje. Wygrywa ten, kto pobudza. I właśnie tutaj karykaturyzacja kultury spotyka się z karykaturyzacją polityki. Obie opierają się na tym samym mechanizmie. Forma zaczyna pożerać treść.

Najpierw zmienia się wrażliwość kulturowa. Potem język. Później wyobraźnia. Następnie normy społeczne. Za nimi instytucje. Na końcu prawo. Wtedy większość ludzi jest przekonana, że wszystko wydarzyło się nagle. Ale nic nie wydarzyło się nagle. Państwo było tylko ostatnim elementem domina. Pierwszy przewrócił się znacznie wcześniej — w kulturze.

JAK KARYKATURA SIĘ ROZLEWA. MECHANIZM ZAKAŻENIA.

Karykaturyzacja nie zaczyna się od instytucji. Zaczyna się od ludzi. Od małych codziennych decyzji.

Od chwili, gdy ktoś mówi coś, w co nie wierzy — i nic się nie dzieje. Od momentu, gdy procedura jest przestrzegana po to, żeby powiedzieć, że była przestrzegana, a nie po to, żeby coś z niej wyniknęło. Od sytuacji, gdy spotkanie odbywa się po to, żeby odbyło się spotkanie — nie po to, żeby cokolwiek zostało postanowione.

Każda z tych chwil jest mała. Każda wydaje się możliwa do wytłumaczenia. Trudna sytuacja. Wyjątkowe okoliczności. Następnym razem będzie inaczej.

Ale następnym razem — jest tak samo.

To odwrócenie znaków drogowych. Kierunek niby jest — ale prowadzi w pole.

JAK SOBIE Z TYM RADZIĆ. PRZEWODNIK DLA NORMALNEGO CZŁOWIEKA.

Karykatura jest możliwa tylko dopóty, dopóki nikt jej nie nazywa. Gdy człowiek potrafi powiedzieć głośno — choćby tylko przed samym sobą — „to jest forma bez treści", karykatura traci połowę siły. Bo widoczność zmienia pozycję. Człowiek, który widzi, że coś jest karykaturą, nie musi już wierzyć, że coś z nim nie tak, bo nie może tej karykatury zaakceptować.

To nie jest cynizm. To jest higiena umysłu — o której Łobaczewski mówił wprost, że jest konieczna, jeśli człowiek chce w ogóle zorientować się, w jakim środowisku żyje.

Ale nazwanie to dopiero pierwszy ruch. Drugi — to nauczyć się odróżniać sygnał od szumu.

W świecie karykatur człowiek jest zalewany sygnałami, które wyglądają jak treść, ale nią nie są. Ton głosu, który sugeruje pewność — nie jest dowodem wiedzy. Tytuł, który sugeruje kompetencję — nie jest gwarancją rozumienia. Cena, która sugeruje wartość — nie jest dowodem jakości.

Praktyczna reguła: pytaj o zawartość, nie o opakowanie. Nie kto to mówi — ale co konkretnie zostało powiedziane. Nie jak pewnie brzmi — ale na czym opiera się ta pewność. Nie ile kosztuje — ale co

mi to daje. To są pytania, które karykatura znosi bardzo źle. Karykatura żyje z braku pytań. Pierwsze pytanie jest jak zapalenie światła w ciemnym pokoju — nie zmienia mebli, ale pozwala zobaczyć, gdzie stoją.

To subtelna, ale ważna różnica. Człowiek żyjący w środowisku przesiąkniętym karykaturą musi się w nim poruszać — iść do urzędu, wypełnić formularz, zachować twarz na zebraniu, gdzie wszyscy wiedzą, że to teatr. To jest przystosowanie i nie ma w nim niczego złego. Problem pojawia się, gdy przystosowanie przeradza się w akceptację — gdy człowiek przestaje rozróżniać między „gram w tę grę, bo muszę" a „ta gra jest normalna".

Dysydenci w ZSRR rozumieli tę różnicę doskonale. Andriej Siniawski, pisarz skazany na łagier za publikowanie za granicą, powiedział coś bardzo trafnego: można żyć w kłamstwie, jeśli wiesz, że to kłamstwo. Problem zaczyna się, gdy zapomnisz. Pamiętać jest aktem oporu. Nie heroicznym. Cichym. Ale skutecznym.

Pamięć jest lekarstwem prywatnym. Karykaturyzacja bez naszej zgody niszczy tylko przestrzeń wspólną.

Jedną z najgroźniejszych konsekwencji karykaturyzacji jest izolacja poznawcza — człowiek zaczyna wątpić we własny osąd. Myśli: może przesadzam, może źle rozumiem, może inni widzą to lepiej. I właśnie na to karykatura liczy. Nie musi zniszczyć człowieka frontalnie. Wystarczy, że rozbije jego pewność co do tego, co widzi.

Lekarstwem jest rozmowa. Nie z kimkolwiek — ale z ludźmi, którzy mają podobną odwagę nazywania rzeczy po imieniu. To nie musi być ruch polityczny ani organizacja. Może to być jedno spotkanie przy stole, na którym ktoś powie na głos: „wiesz, mam poczucie, że coś tu jest nie tak". I drugi człowiek odpowie: „ja też". To już jest grunt pod coś prawdziwego.

Stopniowe karykaturyzowanie życia społecznego prowadzi do totalitaryzmu, a totalitaryzm niszczy przede wszystkim zdolność do myślenia razem. Dlatego tak ważne było dla reżimów zniszczenie przestrzeni prywatnej rozmowy. Nie tylko wolności prasy — ale samej możliwości powiedzenia przyjacielowi: „to jest absurd". Tam, gdzie ta rozmowa przetrwała — coś z człowieczeństwa się ostało.

I wreszcie najważniejsze narzędzie — pytanie o funkcję, nie o formę.

Szpital, który nie leczy, jest budynkiem z krzyżem. Sąd, który nie wymierza sprawiedliwości, jest salą z młotkiem. Partia, która nie

reprezentuje obywateli, jest grupą ludzi z logo. Forma zachowuje nazwę. Funkcja ją uzasadnia.

Komisja, która od lat obraduje w sprawie jakiejkolwiek reformy — i przez te lata nic się nie zmieniło — nie jest narzędziem reformy. Jest dekoracją odroczenia. Można ją rozpoznać tylko wtedy, gdy pytamy o funkcję, nie o formę.

Ale jest jeszcze jedno miejsce, gdzie karykatura działa — i to najtrudniejsze do zobaczenia. Nie na zewnątrz. W środku.

Karykatura nie jest tylko na zewnątrz. Jest też wewnątrz. Człowiek, który przez lata żyje w środowisku przesiąkniętym pustą formą, zaczyna sam ją produkować. Mówi rzeczy, w które nie wierzy — bo tak jest łatwiej. Deklaruje wartości, których nie praktykuje — bo wszyscy tak robią. Uczestniczy w rytuałach, które dawno straciły sens — bo pytanie o sens jest kłopotliwe.

To jest moment, w którym karykatura zostaje zinternalizowana. Już nie jest na zewnątrz — jest wewnątrz człowieka. I to jest stan, z którego najtrudniej wyjść.

Najprostsza, najbardziej brutalna forma profilaktyki: mów to, w co wierzysz, albo nie mów nic. Dotrzymuj tego, co obiecujesz, albo nie obiecuj. Oceniaj idee po tym, co z nich wynika — nie po tym, kto je głosi i jak drogo je opakował. Brzmi banalnie. Jest wyjątkowo trudne w środowisku, które nagradza grę pozorów i karze szczerość. Ale jest możliwe. I jest zaraźliwe — w dobrym sensie.

ZAKOŃCZENIE. PYTANIE JAKO PIERWSZY RUCH.

Pytanie jest pierwszym ruchem przeciwko kłamstwu. Tam, gdzie zaczyna się pytanie, karykatura traci komfort. Zostaje oświetlona. A nic nie znosi światła tak bardzo jak pustka przebrana za treść.

Dlatego podstawową obroną nie jest walka. Jest rozpoznanie. Nazwać rzeczy po imieniu. Oddzielić formę od treści. Nie mylić szyldu ze sklepem.

Bo świat, w którym wszystko wygląda poprawnie, a nic nie działa jak powinno, nie jest światem uporządkowanym. Jest światem dobrze urządzonych pozorów.

Rozdział 7

Ponerologia w praktyce

jak rośnie zło — od małej grupy do systemu

Zdolność człowieka do sprawiedliwości czyni demokrację możliwą,
ale skłonności do niesprawiedliwości czynią ją konieczną.
Reinhold Niebuhr

Znam pewnego człowieka — Darka, bo tak ma na imię — który przez siedemnaście lat pracował w tym samym miejscu. Dobrze. Solidnie. Bez fajerwerków, ale i bez wpadek. Wiedział, co robi. Inni też wiedzieli, że wie. Aż pewnego dnia przyszedł nowy kierownik. Młodszy od Darka o dobre dziesięć lat, z miłym uśmiechem, dobrą marynarką i jedną filozofią zarządzania: liczy się tylko wynik. Reszta — ludzie, historia, lojalność — to zmienne do optymalizacji. Przez pierwsze trzy miesiące Darek myślał, że to dobry człowiek. Przez następne trzy myślał, że może coś źle interpretuje. Po roku był na zwolnieniu lekarskim z diagnozą: zaburzenia lękowo-depresyjne. Stanowisko miał ktoś inny. Ktoś znacznie mniej kompetentny, za to bardzo dyspozycyjny.

Żaden sąd nie orzekł winy. Żaden protokół niczego nie odnotował. Nie było jednego aktu przemocy, który można by wskazać palcem. Była tylko seria drobiazgów. Przemilczeń. Przestawionych priorytetów. Drobnych przesunięć w tym, kto dostaje pochwałę, a kto dostaje dodatkowe zadania na piątkowe popołudnie. Był proces. Nie epizod.

Zanim zaczniesz szukać patokracji w wielkich stolicach i historycznych archiwach — zatrzymaj się na chwilę. Spójrz bliżej. Na swoje biuro. Na swój wydział. Na zarząd stowarzyszenia, do którego należysz od lat. Na radę rodziców w szkole dziecka. Na redakcję. Na mały zespół, który z pozoru ma tylko robić swoje.

Tam też to bywa.

Zło, jak już wiemy, nigdy nie ogłasza swojego przybycia. Nie ma sztandaru ani manifestu. Jego najskuteczniejszą właściwością jest to, że

na początku wygląda dokładnie jak normalność. A normalność nie wyzwala czujności. Normalność usypia.

I w tym jest sedno. Patologia działa jak osad na dnie naczynia, które codziennie uzupełniasz świeżą wodą. Najpierw cienka warstwa. Potem druga. Następnie trzecia i kolejne. Nikt nie zauważa momentu przełomu, bo nie ma jednego momentu. Jest seria drobnych przesunięć — każde z nich niegroźne z osobna, każde możliwe do wytłumaczenia, każde dające się obronić w rozmowie przy kawie. Dopiero po czasie okazuje się, że z tych drobnych przesunięć powstał nowy porządek. Tyle że już chory.

To nie jest opowieść o demonach. Demony to wygodna bajka — bo jeśli zło ma rogi i kopyta, to przynajmniej wiadomo, czego szukać. To jest opowieść o mechanizmie. A mechanizmy są nudne, powtarzalne i precyzyjne. I właśnie dlatego są tak groźne.

PUNKT WEJŚCIA

Każdy proces poneryzacyjny zaczyna się od warunków sprzyjających. Nie od wielkiego spisku zawiązanego w tylnej sali przy świecach. Najpierw musi istnieć środowisko, które pozwala patologii wejść bez natychmiastowego oporu — tak jak grzyb nie rośnie w suchym miejscu, ale świetnie sobie radzi tam, gdzie jest ciepło, ciemno i wilgotno.

Takie warunki są bardzo konkretne i nie ma tu żadnej mistyki: brak przejrzystości w podejmowaniu decyzji, słaba lub żadna kontrola zewnętrzna, zależność pracownika od widzimisię przełożonego zamiast od jasnych kryteriów, kultura milczenia — w której każdy wie, że pewnych rzeczy się głośno nie mówi — rozmyta odpowiedzialność, gdzie nie wiadomo, kto za co odpowiada, więc w praktyce nikt za nic nie odpowiada, lęk przed konfliktem nawet wtedy, gdy konflikt byłby zdrowy i potrzebny, i wreszcie — przyzwolenie na drobne kłamstwo w imię świętego spokoju. Każdy z tych elementów jest zły sam w sobie. Razem tworzą idealne środowisko hodowlane.

Tam, gdzie takich warunków nie ma, jednostka destrukcyjna zwykle się szybko odsłania. Bo nie ma gdzie się schować. Transparentność działa jak światło — a większość pasożytów nie lubi światła. Tam, gdzie warunki są — może zacząć działać. I zaczyna.

W małej grupie wystarcza czasem jedna osoba z silną potrzebą dominacji, niską empatią i dużą zdolnością do czytania słabości innych. To ostatnie jest kluczowe i warto się przy nim zatrzymać. Taka osoba

nie jest głupia. Często jest inteligentna — tylko ta inteligencja jest ukierunkowana inaczej niż u większości z nas. Gdzie przeciętny człowiek pyta „jak możemy razem osiągnąć cel?", ona pyta „kto tu jest słaby i w jaki sposób mogę to wykorzystać?". To jest fundamentalna różnica w orientacji. I właśnie dlatego jest tak trudna do wychwycenia na wczesnym etapie.

Nie trzeba jej wiele do rozpoczęcia. Wystarczy cierpliwość — a cierpliwości jej nie brakuje. Wystarczy wyczucie — a wyczucie jest jej narzędziem pracy. Wystarczy umiejętność ukrywania intencji — a ukrywanie intencji to dla niej coś tak naturalnego jak oddychanie.

Na początku nie atakuje. Na początku obserwuje. Siada, słucha, zadaje pytania sprawiające wrażenie troski. Sprawdza, kto jest niepewny siebie i potrzebuje zewnętrznej afirmacji, żeby funkcjonować. Kto potrzebuje uznania tak bardzo, że zrobi wiele, żeby je dostać. Kto boi się wykluczenia z grupy bardziej niż własnego sumienia. Kto będzie milczał dla świętego spokoju, kiedy powinien mówić. Kto ma coś do ukrycia — małżeństwo w kryzysie, problem finansowy, historię, której nie chce nagłaśniać.

To jest pierwszy test. Nie moralny. Taktyczny. I od tego momentu zaczyna się właściwa gra.

SKALA MIKRO: JAK CHORUJE MAŁA GRUPA

Mała grupa przypomina zamknięte pudełko. Kilka osób, wspólny cel, powtarzalny rytm, ograniczona liczba relacji. Z pozoru to środowisko bezpieczne — bo przecież wszyscy się znają, prawda? Bo przecież wszystko jest na wierzchu. W praktyce właśnie tam patologia może działać najskuteczniej, bo mało kto widzi cały układ naraz. Każdy widzi swój wycinek. I każdy interpretuje ten wycinek przez pryzmat własnych doświadczeń, własnych potrzeb, własnego lęku.

Najpierw pojawia się asymetria. To jest sygnał numer jeden i warto go zapamiętać. Jeden człowiek dostaje więcej uwagi niż wynika z jego wkładu. Jeden człowiek nigdy nie jest krytykowany, nawet kiedy ewidentnie się myli. Jeden człowiek może sobie pozwolić na rzeczy — spóźnienia, niewywiązywanie się z zobowiązań, traktowanie innych z wyższością — za które inni zostaliby natychmiast rozliczeni. Z zewnątrz wygląda to jak przypadek albo jak niezrozumiała sympatia przełożonego. W środku, dla tych, którzy patrzą uważnie, zaczyna wyglądać jak porządek. Jak celowe i konsekwentne kształtowanie układu.

To jest ważny moment, bo zdrowy człowiek zwykle zakłada dobrą wolę innych. I słusznie — w zdrowym środowisku to założenie jest nie tylko potrzebne, ale i konieczne. Bez założenia dobrej woli nie ma współpracy. Nie ma zaufania. Nie ma niczego, co pozwala ludziom działać razem. Ale w chorym środowisku to samo założenie staje się bronią wymierzoną właśnie w tego, kto je żywi. Zaczyna wątpić we własną ocenę. Myśli: może przesadzam. Może źle interpretuję. Może nie rozumiem jakiegoś kontekstu, którego nie znam. Może to ja jestem problemem. Tymczasem właśnie ten moment wahania, ten moment, w którym człowiek zaczyna podważać własne trzeźwe postrzeganie rzeczywistości — jest celem całego procesu.

Jak ten mechanizm przebiega krok po kroku — od testowania gruntu po zmianę reguł pod zachowaną deklaracją — opisują wcześniejsze rozdziały. Tu interesuje nas jego efekt końcowy.

Uczciwe osoby w takim środowisku zaczynają być niewygodne. Nie dlatego, że są złe. Nie dlatego, że się nie nadają. Dlatego właśnie, że się nadają — i to jest problem. Są czytelne. Mówią to, co myślą. Działają zgodnie z deklarowanymi wartościami. A czytelność jest śmiertelnym zagrożeniem dla układu, który żyje dzięki niejednoznaczności, mgle i wieloznaczności.

Wtedy grupa zaczyna produkować własny rozkład — jak owoc, którego nikt nie zbierze i nie zje. Nie potrzebuje już zewnętrznego ciosu. Sama zaczyna się od środka psuć. Pojawia się ostrożność w rozmowach. Potem podejrzliwość. Następnie milczenie na tematy, które kiedyś były oczywiste. W końcu zostaje struktura, ale znika wspólnota. Wszystko jeszcze działa — są zebrania, są projekty, są raporty. Tyle że nie dla wszystkich i nie w tym samym sensie, co na początku.

To jest ten moment, w którym choroba przestaje być wyjątkiem od reguły. Staje się samą regułą.

SKALA MAKRO: PAŃSTWO, INSTYTUCJA, SYSTEM

Na dużej skali zasada jest ta sama. Zmienia się tylko rozmach — i koszt błędu.

Nikt nie burzy konstytucji pierwszego dnia. Najpierw zmienia się ton. Potem praktykę. Następnie kryterium doboru ludzi na stanowiska — aż „najlepszy kandydat" zaczyna oznaczać „najbardziej konformistyczny kandydat". Przemoc fizyczna to ostateczność dla tych, którzy już nie muszą się ukrywać.

Nikt nie robi tego sam. Potrzebuje sieci. Nie spisku — sieci. Ludzi, którym wygodniej jest milczeć niż mówić. Ludzi, którzy widzą i rozumieją, ale mają kredyt i rodzinę i właśnie teraz nie jest dobry moment. Ludzi bez przekonań — tylko z pozycjami, które można ustawić w dowolnym kierunku. Razem tworzą system nie z wyboru, lecz z akumulacji małych kapitulacji.

Mechanizm tej akumulacji — kamień po kamieniu, milczenie po milczeniu — opisany jest w rozdziale o jednostkach dyssocjalnych. Tu skupiamy się na tym, co dzieje się, gdy układ jest już utrwalony.

Wtedy władza nie musi już brutalnie niszczyć wszystkiego ręcznie. Wystarczy, że ustawi reguły tak, aby inni niszczyli za nią. Uczciwy człowiek zaczyna przegrywać nie dlatego, że jest słabszy, nie dlatego, że jest gorszy. Przegrywa dlatego, że gra według reguł, których druga strona po prostu nie uznaje — i nigdy nie uznawała, tylko nie mówiła, bo zdradziłoby to jej intencje.

CO SIĘ PSUJE NAJPIERW

Język pada pierwszy — opisywałem to dokładniej w rozdziale o poneryzacji języka. Tu warto tylko zaznaczyć, co przychodzi zaraz po nim: poczucie proporcji.

Poczucie proporcji umożliwia rozróżnienie między tym, co jest, a tym, czym nie jest. Pozwala nazwać zło, zanim urośnie do rozmiarów, w których nie da się już go odwrócić.

Łobaczewski pisał o tym wprost: poneryzacja języka zawsze wyprzedza poneryzację instytucji. Zanim krzywda zostanie wyrządzona — przestaje mieć nazwę. Mechanizm eufemizmu działa jak znieczulenie: nie usuwa faktu, usuwa zdolność jego nazwania.

Tak powstaje środowisko, w którym krzywda przestaje być krzywdą — bo nie ma już słowa, które by ją zatrzymało, nazwało, uczyniło widzialną i dającą się opisać.

Potem psuje się poczucie proporcji — i to jest już drugi etap, głębszy i trudniejszy do odwrócenia. To, co jeszcze wczoraj było skandalem wywołującym oburzenie, dziś staje się tematem debaty — i samo to przejście jest już zwycięstwem patologii. To, co było haniebne, staje się „kontrowersyjne" — a kontrowersyjność to przyzwolenie na dwie strony tam, gdzie nie powinno ich być.

Społeczeństwo przyzwyczaja się. Nie od razu. Stopniowo, tak jak przyzwyczajamy się do nieprzyjemnego zapachu w pomieszczeniu

— po dziesięciu minutach przestajemy go czuć. Zdolność do oburzenia słabnie. Wrażliwość pęka nie od razu, tylko po trochu. I właśnie to jest najgroźniejsze ze wszystkiego. Bo człowiek nie zauważa momentu, w którym ktoś nauczył go tolerować to, czego wcześniej by nie zaakceptował.

DLACZEGO ZDROWI PRZEGRYWAJĄ

To jest pytanie podstawowe. Pytanie, które większość z nas zadaje sobie w pewnym momencie życia, najczęściej po tym, jak już zobaczyła pewne rzeczy na własne oczy i nie może udawać, że tego nie widzi.

Dlaczego ludzie uczciwi, racjonalni, odpowiedzialni — tacy jak Darek z początku tego rozdziału — nie zatrzymują tego wcześniej?

Asymetria w konfrontacji jednostek prospołecznych z dyssocjalnymi wynika z różnicy w „paradygmacie współpracy". Osoby o zdrowej strukturze osobowości operują w oparciu o domniemanie dobrej woli i wzajemności, co w środowisku patologicznym staje się ich słabością strukturalną. Przegrana jednostek etycznych nie następuje w wyniku braku kompetencji, lecz w efekcie „erozji przez zmęczenie" — długotrwałego procesu podważania ich poczucia rzeczywistości i izolacji społecznej.

Uczciwość działa inaczej niż bezwzględność. To jest fundament odpowiedzi i trzeba to zrozumieć bez sentymentalizmu. Człowiek zdrowy zakłada — i musi zakładać, żeby w ogóle móc funkcjonować społecznie — że inni grają mniej więcej według tych samych reguł. Zakłada, że słowo znaczy słowo, a nie tylko słowo-na-tę-chwilę. Że deklaracja coś zobowiązuje, a nie jest tylko dźwiękiem wypełniającym powietrze. Że jawna nieuczciwość zostanie zauważona i spotka się z konsekwencjami. To założenie jest potrzebne, żeby wspólnota w ogóle mogła istnieć. Bez niego nie ma zaufania. Bez zaufania nie ma kooperacji. Bez kooperacji nie ma nic.

Ale gdy środowisko zostaje zakażone, to samo założenie — tak potrzebne, tak fundamentalne — staje się obciążeniem. Staje się ślepą plamką. Człowiek zdrowy długo próbuje tłumaczyć, wyjaśniać, ratować relację, zostawiać otwarte drzwi, rozumieć kontekst i szukać dobrej woli tam, gdzie jej nie ma i nigdy nie było. Człowiek patologiczny rozumie to jako słabość do wykorzystania.

I właśnie dlatego zdrowy człowiek często przegrywa nie w pierwszym, ostrym starciu — bo w ostrym starciu jest jeszcze jasność,

jest możliwość reakcji, jest adrenalina i mobilizacja. Przegrywa w długim zmęczeniu. W tygodniach i miesiącach powolnego osaczania, podważania, izolowania. Przegrywa, bo ma sumienie, które nie pozwala mu działać tak, jak działa druga strona. Przegrywa, bo liczy, że inni też je mają — i czeka na solidarność, która nie przychodzi.

To nie jest naiwność w potocznym, lekceważącym sensie tego słowa. To jest normalność. Zdrowa, funkcjonalna normalność. Ale w chorym środowisku normalność bywa karana. I to jest jedna z najgłębszych niesprawiedliwości, z jakimi mamy do czynienia — że właśnie to, co czyni człowieka zdolnym do budowania czegoś razem z innymi, czyni go też podatnym na tych, którzy budować nie zamierzają.

KIEDY PROCES STAJE SIĘ SYSTEMEM

Najbardziej niebezpieczny moment w całym tym procesie nadchodzi wtedy, gdy patologia przestaje być wyjątkiem od normy, anomalią, którą się dostrzega i odrzuca — a zaczyna być zasadą organizacyjną. Kiedy choroba staje się definicją zdrowia.

W małej grupie to oznacza, że uczciwość staje się ryzykowna, a fałsz staje się bezpieczny — i ludzie o tym wiedzą i odpowiednio się zachowują. W państwie oznacza to, że instytucje przestają chronić obywatela przed władzą, a zaczynają chronić władzę przed obywatelem — i to jest odwrócenie sensu samego ich istnienia.

Wtedy system stabilizuje się w chorobie. To jest ważne sformułowanie — stabilizuje się, bo choroba staje się równowagą. Nadal ma nazwy — te same, co wcześniej. Nadal ma rytuały. Nadal ma procedury. Nadal ma uroczyste deklaracje o wartościach, transparentności i dobru wspólnym. Ale pod spodem jest już tylko jeden mechanizm: obrona własnego zepsucia przed każdym, kto mógłby je zobaczyć, nazwać i rozliczyć.

I to jest najcięższa forma degeneracji z możliwych: nie ta, która krzyczy i macha pięścią i daje się przynajmniej zobaczyć z daleka. Lecz ta, która mówi spokojnie, rozsądnie i z troską w głosie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Że nie ma się czym martwić. Że kto widzi problem, ten nie rozumie złożoności sytuacji.

JAK ROZPOZNAĆ POCZĄTEK

Są sygnały. I to jest dobra wiadomość — bo sygnały to coś, czego można się nauczyć.

Jeśli w małej grupie jedni są zawsze nagradzani niezależnie od wyników, a inni zawsze pomijani niezależnie od zasług — to jest sygnał. Jeśli pytanie o przejrzystość, o uzasadnienie decyzji, o kryteria oceny jest traktowane nie jako normalna część zarządzania, ale jako atak na lojalność i podważanie autorytetu — to jest sygnał. Jeśli człowiek zaczyna czuć, że musi grać rolę, żeby przetrwać — to jest sygnał. Jeśli prawda zaczyna kosztować zbyt wiele, a kłamstwo lub milczenie staje się opłacalne i nagradzane — to jest sygnał głębokiej patologii w toku.

Na poziomie państwa i instytucji jest dokładnie podobnie. Jeśli język prawa i język rzeczywistości rozjeżdżają się coraz bardziej — jeśli przepisy mówią jedno, a praktyka jest systemowo inna i wszyscy o tym wiedzą — to jest sygnał. Jeśli instytucje kontrolne przestają działać jako kontrola władzy, a zaczynają działać jako jej osłona i narzędzie — to jest sygnał. Jeśli człowiek mówiący prawdę staje się problemem do rozwiązania, a człowiek sprawnie kłamiący staje się cennym zasobem do awansowania — to jest sygnał.

Nie trzeba więc szukać zła w wielkich symbolach i historycznych pomnikach. Wystarczy patrzeć na jedną prostą rzecz: czy system nagradza prawdę. Jeśli tak — jest nadzieja. Jeśli nie — choroba weszła już głęboko i wymaga poważnej interwencji, nie delikatnych korekt.

ZAMKNIĘCIE

Ponerologia nie jest teorią spisku dla tych, którzy we wszystkim widzą spisek. Jest opisem procesu — chłodnym, klinicznym, opartym na obserwacji. I jak każdy opis procesu, daje coś cennego: możliwość rozumienia, zanim nastąpią skutki, które trudno odwrócić.

Procesy mają etapy. Etapy mają warunki wejścia. Warunki wejścia mają swoje sygnały. A sygnały — i to jest sedno całego rozdziału — można rozpoznawać, zanim będzie za późno. Nie zawsze da się zatrzymać całą degenerację — czasem jest już za daleko, za głęboko, za mocno zakorzeniona. Ale zawsze można ją spowolnić. Zawsze można ją nazwać. Zawsze można odmówić udziału. Zawsze można przestać udawać, że wszystko jest w porządku, kiedy ewidentnie nie jest — nawet jeśli udawanie jest wygodniejsze, spokojniejsze i społecznie bezpieczniejsze.

Bo zło rzadko wygrywa tam, gdzie jest głośne. Wygrywa tam, gdzie ludzie przestają nazywać je po imieniu. Gdzie uczą się nie widzieć. Gdzie uznają, że skoro inni milczą, to i oni powinni. Gdzie dochodzą do wniosku, że to nie ich sprawa — i nie dostrzegają, że za jakiś czas

stanie się ich sprawą, tyle że w momencie, kiedy będzie trudniej cokolwiek zrobić.

I właśnie od tego zaczyna się obrona. Nie od wielkich haseł i plakatów. Nie od rewolucji i manifestów. Od trzeźwego widzenia tego, co jest. Od prostych słów, które opisują rzeczywistość bez owijania w bawełnę. Od odmowy uczestnictwa w kłamstwie — nawet jeśli kłamstwo jest eleganckie, powszechnie akceptowane i nikt inny głośno go nie kwestionuje.

Darek ze wstępu tego rozdziału do dziś nie wie, jak to się naprawdę stało. Ma swoje przeczucia, ale nie ma nazw. Ta książka jest między innymi dla niego.

CZĘŚĆ III

INSTYTUCJE ZAKAŻONE

Rozdział 8

Urzędnik krzywdziciel zmienia biurko

czyli wycieczka po przedszkolu imienia Mariusza Trynkiewicza

„Prawda, co się chce utwierdzić przemocą,
natychmiast prawdą być przestaje."
Leszek Kołakowski

(W trakcie pisania tego rozdziału otrzymałem z adresu .gov mail zawierający wyłącznie hasło „komisariat3". W tym samym okresie trafiały do mnie także inne dziwne wiadomości, m.in. o charakterze seksualnym i dotyczące zapchanej chmury. Zostawiam ten fragment bez wygładzania, bo dobrze oddaje stan niepewności i napięcia, w jakim powstawał ten tekst)

Każdy z nas spotyka się czasem z taką chwilą, kiedy wchodzi do urzędu, sądu albo innej publicznej twierdzy i ma wrażenie, że z głośnika, zza biurka, zza szyby, zza pieczątki dobiega jedno i to samo zdanie: „Nie pytaj mnie, wiem tyle co i ty!"

I wtedy człowiek rozumie, że nie wszedł do miejsca, które ma mu pomóc. Wszedł do labiryntu, w którym każdy korytarz kończy się tym samym: „to nie do mnie", „to nie moja decyzja", „ja tylko przekazuję", „proszę złożyć wniosek", „proszę czekać", „proszę wrócić później", „proszę napisać do ministerstwa" itd.

W odpowiedzi chciałoby się zaśpiewać: „Śmiertelny mur skutecznie dzieli nas…"

Bo właśnie tak to wygląda. Między człowiekiem a instytucją wyrasta mur z papieru, procedur, pieczątek, regulaminów i cudzej obojętności. Mur niby miękki, niby urzędowy, niby uporządkowany. Ale w praktyce twardszy niż beton. Nie przebija go logika, nie przebija go prawda, nie przebija go ból. Przebija go jedynie cierpliwość systemu do samego siebie.

To jest rozmycie odpowiedzialności. Nie krzyk, nie jeden cios, nie jedna twarz zła. Raczej kropla po kropli, etap po etapie, aż z winy zostaje mgła. Każdy robi tylko swój kawałek. Jeden przyjmuje pismo.

Drugi odkłada. Trzeci odsyła. Czwarty podpisuje. Piąty zatwierdza. Szósty nie widzi podstaw. Siódmy nie ma kompetencji. Ósmy nie może się wypowiedzieć. Dziewiąty w ogóle już nie pamięta sprawy. I tak człowiek błądzi po systemie jak po cmentarzu przepisów, gdzie każdy nagrobek mówi to samo: „nie ja".

Zygmunt Bauman opisywał coś bardzo podobnego, gdy pisał o biurokracji wyłączającej działanie spod oceny moralnej. To jest właśnie ten moment, kiedy instytucja zaczyna zachowywać się jak maszyna, a człowiek w środku tej maszyny przestaje być sumieniem, a staje się funkcją. Nie osobą. Nie twarzą. Nie kimś, kto cierpi. Tylko elementem obiegu. A gdy człowiek zostaje zamieniony w element obiegu, wtedy łatwo go zgubić, łatwo go zignorować, łatwo go zmęczyć. I właśnie na tym polega siła takiego systemu: nie musi być brutalny w każdym ruchu. Wystarczy, że jest bezdusznie spokojny.

Urzędy potrafią działać jak wielkie młyny, które mielą cierpliwość obywatela na pył. Człowiek przychodzi z konkretnym problemem, a wychodzi z kartką, na której jest jeszcze więcej pytań niż wcześniej. Zamiast rozwiązania dostaje procedurę. Zamiast decyzji dostaje termin. Zamiast odpowiedzialności dostaje numer sprawy. I nagle okazuje się, że państwo, które powinno być tarczą, staje się ścianą. Szorstką, zimną, obojętną.

W sądach ten mechanizm boli jeszcze bardziej, bo sąd powinien być miejscem, gdzie człowiek liczy na prawdę, a nie na teatr. Tymczasem bardzo często widzi tylko rytuał. Akt po akcie, pismo po piśmie, uzasadnienie po uzasadnieniu. I coraz częściej czuje, że nie stoi przed żywym wymiarem sprawiedliwości, tylko przed konstrukcją, która nauczyła się mówić językiem prawa, ale zapomniała, po co prawo w ogóle istnieje. Bo prawo bez sprawiedliwości jest jak instrument bez muzyki. Wygląda poważnie, brzmi urzędowo, ale nie niesie życia.

W takich miejscach odpowiedzialność nie ginie nagle. Ona rozpływa się jak atrament wrzucony do wody. Na początku widać jeszcze ślad. Potem barwa robi się coraz bledsza, aż w końcu zostaje tylko przezroczysta ciecz i cudze wzruszenie ramion. Sędzia mówi o przepisach. Prokurator mówi o materiałach. Policjant mówi o czynnościach. Biegły mówi o opinii. Każdy ma swoje małe terytorium. Nikt nie chce brać odpowiedzialności za całość. Nikt nie chce powiedzieć: to moje, ja za to odpowiadam.

Łobaczewski i Arendt opisali ten mechanizm z różnych stron i doszli do tego samego miejsca: ogromne zło nie potrzebuje ogromnych ludzi. Wystarczą mali ludzie z dużą obojętnością i sprawnym aparatem, który zwalnia ich z pytania o sens. Instytucja robi resztę sama.

W służbie zdrowia ta sama logika ma inną twarz, ale ten sam rdzeń. Pacjent staje się przypadkiem. Przypadek staje się numerem. A człowiek, który przyszedł po pomoc, zaczyna czuć się jak zakłócenie w harmonogramie — kłopot, którego nikt nie chce wziąć na swoje barki.

Instytucje zaczynają przypominać siebie same jako karykaturę. Nie są już poważne. Są dziecinne. Infantylne. Udają dorosłość, ale zachowują się jak rozwydrzone dziecko, które nie chce przyznać się do winy, chowa ręce za plecami i mówi: „to nie ja". Tylko że to nie jest zwykła niedojrzałość. To jest infantylizacja na poziomie tak skrajnym, że zaczyna przypominać przedstawienie w teatrze absurdu: dużo ruchu, dużo hałasu, dużo formalnych min, a w środku chaos, bezradność i brak odpowiedzialnego centrum.

I wtedy dochodzi do czegoś jeszcze gorszego. System przestaje udawać, że szuka prawdy — zaczyna udawać tylko tyle, ile musi, żeby nikt go za to nie pociągnął do odpowiedzialności. Forma zostaje. Sens wychodzi tylnymi drzwiami. I robi to tak sprawnie, że człowiek przez długi czas myśli, że to on czegoś nie rozumie.

Wymiany stanowisk, przenosiny, awanse, kolejne stołki i kolejni „tymczasowo pełniący obowiązki" tworzą wrażenie, że system nie tyle rozwiązuje problem, co go przesuwa. Krzywdziciel nie znika. On jedzie dalej. Zmienia urząd, komendę, wydział, biurko. Jakby wystarczyło przestawić krzesło, żeby zło straciło ostrość. Jakby samo oddalenie od źródła krzywdy wystarczyło, by przestała istnieć krzywda. To jest logika chorobliwa, ale właśnie dlatego tak dobrze pasuje do świata ponerycznego: problem nie jest usuwany, tylko relokowany.

Tu już nie chodzi o pojedynczy przypadek. Tu chodzi o klimat. O kulturę bezkarności. O strukturę, w której człowiek uczciwy jest zmęczony, a człowiek krzywdzący potrafi ślizgać się dalej, bo system woli chronić siebie niż prawdę. I wtedy obywatel zaczyna rozumieć, że nie walczy z jednym błędem, ale z całym stylem działania. Z machiną, która ma tysiąc rąk, ale żadnej twarzy. Z instytucją, która potrafi mówić o dobru publicznym, a jednocześnie po cichu miażdżyć konkretnych ludzi.

Moja sprawa o rzekome przeklinanie ciągnęła się miesiącami. Obok niej istniała druga odnoga — ta, którą prokurator zamknął znacznie szybciej, bo pokazałaby nadużycia władzy. W sprawie o sto złotych trzeba było przy stanie jeden do jednego udowadniać własną niewinność. Domniemanie niewinności nie zadziałało u mnie i nie działa w Polsce wobec ludzi spoza zamkniętego układu instytucjonalnego w ogóle. Mechanizm ten nie jest osobliwością jednej sprawy — jest wzorcem. Ktoś mądry kiedyś powiedział: jeżeli komuś

nie można ufać w małych sprawach, w wielkich również nie można — więc jak zwykły człowiek może zaufać sądom, które nie przestrzegają fundamentu prawa? Całe sądownictwo wymaga systemowej korekty. Czymże różni się konsekwencja błędu w pracy ratownika medycznego czy instruktora nurkowania od konsekwencji błędu sędziego czy prokuratora? Nawet jeśli w mojej sprawie była to tylko pomyłka prokuratora, trudno nie myśleć z niepokojem o innych osobach, których życie i los mogły zależeć od jego decyzji.

Zwykły człowiek niemający pojęcia o paragrafach jest nimi konfrontowany z każdej strony, a osoby zawodowo sprawujące funkcje publiczne mają za błędy nad sobą jedynie sumienie, o zróżnicowanej sile oddziaływania. Ewentualnie środowiskowe postępowania dyscyplinarne, w których odnotowano przypadki, gdy zwykłe złodziejstwo popełnione przez osobę pełniącą funkcję publiczną zostało uznane za roztargnienie i warunkowo umorzone, bez wyciągnięcia jakichkolwiek konsekwencji. Żeby sędzia został osądzony w trybie karnym, muszą być dowody na poziomie porównywalnym jak przy zbrodni, natomiast żeby przeciętnego człowieka wsadzić za kratki lub ciągać miesiącami po sądach, wystarczy zwykłe pomówienie.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielu niewinnych ludzi może przebywać w polskich więzieniach, bo ktoś coś powiedział — a jeszcze jeśli powiedział to policjant, czy człowiek, na zeznaniach którego prokurator jest w stanie zrobić wynik, lub co gorsze dla społeczeństwa — dostać awans — straty po stronie tych ludzi i ich rodzin są po prostu nieodwracalne. Dane liczbowe dotyczące tej praktyki przytoczyłem wcześniej — tu wystarczy przypomnienie: skala jest wystarczająca, żeby mówić o zjawisku, nie o wyjątku. W logice instytucjonalnej kariery ludzkie życie bywa bez decydującego znaczenia — liczy się wynik postępowania i wyimaginowany prestiż. Skutki społeczne są trudne do oszacowania z pozycji człowieka przyzwoitego, gdy ktoś bez wyroku siedzi do zakończenia sprawy, a sprawa o 100 zł przy stanie 1 vs 1 potrafi trwać ponad rok. W skali wielu takich spraw są to rozbite rodziny, płaczące dzieci, zamknięte firmy, stracone miejsca pracy, niedokończone projekty. Z punktu widzenia państwa są to wymierne wpływy do budżetu z tytułu podatków, których ci ludzie nie są w stanie płacić, a jednocześnie trzeba płacić na ich utrzymanie, mimo iż wyroku nie ma. Trzeba również wypłacać później odszkodowania za niesłuszne areszty. A sądy — jak pokazuje ten i wiele podobnych przypadków — to na wniosek munduru czy właściciela innego koloru żabota patrzą bezkrytycznie i to jest głęboko zakorzenione w kulturze funkcjonowania aparatu władzy.

Domniemanie niewinności było zawieszane przez systemy prawne, w których było ono systematycznie naruszane w praktyce — historia zna takich przypadków wiele, od systemów totalitarnych po okresy, gdy prawo służyło jako narzędzie władzy, nie ochrony. Jak pokazuje mój i wiele innych przypadków, również Polska w trzeciej dekadzie XXI wieku postanowiła — w zgodzie z instytucjonalnym nawykiem — spuścić domniemanie niewinności w szalecie historii i pozwoliła mu się utopić w odmętach paragrafowej paranoi. Te dwa obrazy — szalet historii i odmęty paragrafowej paranoi — nie są retoryką. Są opisem procesu, który ma swoją dokumentację, swoje rezolucje i swoje nazwiska ofiar. Każdy zdrowy system traktuje domniemanie niewinności od czasów rzymskich jako fundament niekrzywdzenia innych — tych, którzy nie posiadają prawniczego monopolu wiedzy z zakresu prawa lub nie posiadają na tyle zdolności oracyjnych, aby przekonać sąd o zakłamanym i bezprawnym ataku na swoją osobę.

Patrząc przez pryzmat własnych doświadczeń, można stwierdzić jedno — domniemanie niewinności dzisiaj w Polsce nie jest stosowane zgodnie z jego konstytucyjną treścią. Na papierze wszystko może wyglądać racjonalnie. Papier, zwłaszcza sądowy czy prokuratorski, wszystko przyjmie, o ile jest to z korzyścią dla układu. Dla człowieka, obywatela, podatnika już niekoniecznie. Bo jeśli na filmach widać jedno, a w uzasadnieniu umorzenia śledztwa pojawia się inny, wypaczony obraz rzeczywistości; jeśli materiał dowodowy mówi swoje, a system robi swoje; jeśli obywatel nie ma realnej szansy przebić się przez gęstą zasłonę instytucjonalnej samoobrony — to wtedy prawo przestaje być tarczą. Jeśli policjant przed sądem może mówić, że nic nie pamięta, a miesiąc później w prokuraturze składa obszerne zeznania dotyczące tego samego zdarzenia — system staje się labiryntem niezrozumiałych dla ludzi z zewnątrz procedur. Jeżeli państwo nie ściga przestępstw przeciwko sobie, jakim jest krzywoprzysięstwo, tylko dlatego, że ktoś nosi mundur, a zwykły człowiek musi udowadniać swoją niewinność przez rok, uczestnicząc w rozprawach — to ten konkretny wymiar cofnął się do jaskini.

I to jest moment, w którym rodzi się poczucie niewoli. Nie niewoli kajdan, tylko niewoli paragrafów. Człowiek nie czuje się już chroniony przez państwo. Czuje się przez nie prowadzony za gardło. Nie dlatego, że każda instytucja jest zła. Tylko dlatego, że system zbyt często działa tak, jakby jego głównym zadaniem było nie szukać prawdy, lecz zabezpieczać własny spokój. A gdy instytucja bardziej boi się własnej odpowiedzialności niż cudzej krzywdy, wtedy zaczyna się poneryzacja życia publicznego.

To nie był jedyny w życiu kontakt z tą samą machiną. Jednak ta sytuacja przyspieszyła napisanie tej książki, dzięki pozyskanemu jaskrawemu obrazowi ponerogennych zachowań instytucjonalnych od ulicy przez komendę, szpital, prokuraturę aż po salę sądową. System obnażył się za 100 złotych.

Kapitalizm bez hamulców — selekcja bez skrupułów

Każda trwała struktura społeczna zaczyna się od wąskiej grupy ludzi, którzy nadają jej kierunek. To oni tworzą język, reguły i sens. Wokół nich szybko formuje się większość wykonawcza — osoby, które nie projektują systemu, lecz funkcjonują w jego ramach. Pomiędzy nimi pojawia się trzecia warstwa: gracze adaptacyjni, którzy nie są przywiązani do idei, lecz do skuteczności poruszania się w systemie.

W stabilnych instytucjach ta trzecia grupa jest kontrolowana przez normy, prawo, kulturę organizacyjną i realną odpowiedzialność. Problem zaczyna się wtedy, gdy mechanizmy kontroli słabną, a jedynym kryterium oceny staje się wynik.

W takich warunkach system przestaje premiować spójność wewnętrzną, a zaczyna premiować zdolność do optymalizacji własnej pozycji. Ludzie o wysokiej elastyczności moralnej, niskiej lojalności instytucjonalnej i dużej zdolności adaptacyjnej uzyskują przewagę. Nie dlatego, że są „lepsi" w sensie etycznym, lecz dlatego, że lepiej wykorzystują brak kontroli i ograniczeń.

Psychologia osobowości opisuje pewne zestawy cech, które w środowiskach silnie konkurencyjnych mogą zwiększać skuteczność działania. W warunkach silnych norm społecznych i prawnych cechy te są neutralizowane. W warunkach słabej kontroli stają się zasobem. W warunkach całkowitego braku hamulców mogą stać się przewagą systemową. O tym, jak to wygląda w praktyce, są rozdziały 2 i 3.

Nie oznacza to, że większość uczestników społeczeństwa czy gospodarki należy do tej kategorii. Oznacza to jedynie, że w określonym środowisku selekcyjnym pewne zachowania są nagradzane częściej niż inne. System zaczyna preferować tych, którzy nie wahają się przekroczyć granic, które dla innych pozostają istotne.

W konsekwencji organizacje mogą stopniowo tracić pierwotny kręgosłup normatywny. Na poziomie deklaracji wartości pozostają stabilne, jednak na poziomie decyzyjnym przesuwają się w stronę logiki czystej skuteczności. To przesunięcie jest zwykle powolne i trudne do zauważenia z wewnątrz. Każdy kolejny krok wydaje się racjonalny w izolacji, ale całość prowadzi do zmiany charakteru instytucji.

Kapitalizm jako system nie jest jednolity. W swojej wersji instytucjonalnie ograniczonej zawiera mechanizmy korekcyjne: prawo pracy, antymonopol, nadzór właścicielski, odpowiedzialność cywilną i karną, a także presję reputacyjną. Jednostki z ciemnej triady nie mają problemów z reputacją, dla nich liczy się wynik, nie człowiek. W tej formie jest systemem silnej konkurencji, ale ograniczonej etycznie.

Gdy te mechanizmy słabną, konkurencja przestaje dotyczyć jakości produktu lub efektywności organizacyjnej, a zaczyna obejmować zdolność do przechwytywania zasobów, omijania kontroli i przerzucania kosztów na otoczenie. Wtedy pojawia się ryzyko koncentracji władzy, również ekonomicznej, w rękach wąskich grup, co w praktyce prowadzi do oligarchizacji. Następnie do dekadencji i finalnie do resetu.

Nie jest to jednak specyfika wyłącznie jednego ustroju gospodarczego. Każdy system, który traci zdolność samokorekcji, ulega stopniowej ekspansji tych zachowań, które są najbardziej efektywne w danym środowisku — niezależnie od ich kosztu społecznego.

W tym sensie problemem nie jest sam kapitalizm jako idea wymiany i konkurencji, lecz brak skutecznych ograniczeń, które stabilizują relację między efektywnością a odpowiedzialnością. Bez tego równoważenia system zaczyna przypominać proces selekcji, w którym przewagę uzyskują niekoniecznie najbardziej kompetentni, lecz najbardziej odporni na normy.

To nie jest ani moralny wyrok, ani diagnoza jednostkowa. To opis mechanizmu, w którym środowisko decyduje, jakie typy zachowań będą się reprodukować w czasie.

W dłuższej perspektywie każdy system ekonomiczny i polityczny podlega tej samej logice dryfu instytucjonalnego. Jeżeli mechanizmy kontroli kapitału są zbyt słabe, a koncentracja zasobów nie napotyka realnych ograniczeń, system stopniowo przesuwa się w stronę oligarchizacji. Władza ekonomiczna zaczyna kumulować się w rękach wąskich grup, które z czasem uzyskują również wpływ na procesy polityczne i regulacyjne. Formalnie utrzymuje się konkurencja, lecz jej warunki są coraz silniej kształtowane przez tych, którzy już wcześniej zdobyli przewagę.

Z drugiej strony, systemy o rozbudowanej redystrybucji i silnej ingerencji państwa, jeśli tracą mechanizmy kontroli instytucjonalnej i pluralizmu decyzyjnego, mogą zmierzać w przeciwnym kierunku: koncentracji władzy politycznej. W takich warunkach rozbudowany aparat administracyjny i fiskalny przestaje pełnić funkcję korekcyjną, a zaczyna dominować nad życiem społecznym i gospodarczym. W

skrajnym przypadku prowadzi to do systemów, w których centralizacja decyzji wypiera autonomię jednostek i instytucji pośrednich.

Nie są to jednak nieuchronne losy konkretnych ideologii, lecz dwa różne typy ryzyka wynikające z tej samej zasady: brak skutecznych ograniczeń dla władzy — niezależnie od tego, czy jest ona ekonomiczna, czy polityczna — prowadzi do jej koncentracji.

W tym sensie zarówno kapitalizm bez hamulców, jak i redystrybucja bez kontroli, nie są stabilnymi punktami równowagi. Są raczej kierunkami dryfu, które w długim czasie deformują strukturę społeczną w stronę odpowiednio: oligarchii lub autorytaryzmu.

Żelazne prawo na poziomie ulicy

Kupiłem z siostrą działkę w Sosnowcu, chyba w 2016 roku. Nieduży kawałek ziemi, konkretny plan, realna perspektywa. Niedaleko była oczyszczalnia ścieków. To był problem — tak przynajmniej mówiono mi przez kolejne lata. Że zdrowie. Że troska. Że nie ten moment. Że proszę poczekać.

Poczekałem. W 2023 roku oczyszczalnię zamknięto. Myślałem, że coś się ruszy.

Wtedy pojawił się plan na drogę. Droga nieopodal — nowa przeszkoda, nowy horyzont oczekiwania. Drogi ostatecznie też nie zbudowano. Czyli wygrałem dwukrotnie: żadna oczyszczalnia, żadna droga. I nadal stoję w miejscu.

Podczas ostatniej wizyty w urzędzie rozmawiałem z Panią Alicją. Kiedy skończyły jej się argumenty — a skończyły się całkowicie — powiedziała: taki jest świat. Tak funkcjonuje kościół, mafia i Sosnowiec.

Przez chwilę myślałem, że to cynizm. Potem zdałem sobie sprawę, że to była analiza.

Pani Alicja miała rację — ale tylko po części. Owszem, wszystkie trzy systemy są hierarchiczne. Ale hierarchia sama w sobie nie jest patologią. Kościół opiera się na monarchicznej strukturze, która ma swoją wewnętrzną logikę i spójność. Mafia i — jak to ujęła — Sosnowiec działają inaczej: władza skupia się w jednym środowisku, krąży w zamkniętym obiegu, a dostęp do niej nie jest kwestią prawa ani kompetencji. Tylko przynależności. To właśnie jest znamię patologii społecznej.

Różnica nie leży w pionowości struktury, tylko w tym, komu ta struktura służy.

Grawitacja władzy

Robert Michels opisał ten mechanizm już na początku XX wieku i nazwał go żelaznym prawem oligarchii. Jego teza była prosta i okrutna zarazem: każda organizacja — nawet ta, która zaczyna z demokratycznym impulsem, z ideałami otwartości i równości — z czasem oddaje realną władzę wąskiej grupie. Dlaczego? Bo profesjonalizacja wymaga specjalizacji, specjalizacja wymaga hierarchii, hierarchia wymaga przywódców, a przywódcy zaczynają żyć własnym interesem. Nie ze złej woli. Z grawitacji systemu. Władza ma własną fizykę: przyciąga informacje, zależności, lojalności i ludzi gotowych jej bronić. Z czasem zaczyna zakrzywiać całą organizację wokół własnego przetrwania.

Wenecja przez wieki była republiką. Formalnie — otwartym systemem, rządzonym prawem. Potem zamknięto listę uprawnionych rodzin. Kto był w środku, zostawał w środku. Kto był na zewnątrz, pozostawał tam na zawsze. Republika przetrwała jako nazwa. Oligarchia — jako rzeczywistość. To nie był przewrót. Nie było dnia, w którym ktoś ogłosił koniec demokracji. Był ciąg małych decyzji, które narastały w jedno.

Durant pisał o tym w skali cywilizacyjnej. Koło obraca się w każdej skali. W Sosnowcu też się obraca — tylko że zamiast legionów i senatu mamy okienko, dossier i techniczny problem z oczyszczalnią.

Struktura finansowania Sosnowca — oparta w znacznej mierze na transferach zewnętrznych — zmniejsza presję rozliczalności, która w innych warunkach wymuszałaby korektę. I dlatego jest w stanie się długo utrzymywać jako układ oligarchiczny. Dobrym obrazem kondycji instytucjonalnej Sosnowca jest kondycja klubu sportowego Zagłębie Sosnowiec, finansowanego przez miasto i przypominającego mechanizmem działania coś na wzór Orwellowskiego folwarku zwierzęcego. Jeden z największych budżetów ligowych i jedna z najniższych pozycji w tabeli, skutkująca spadkiem do czwartej klasy rozgrywkowej — rok po roku równia pochyła na samo dno zdaje się być coraz stroma i bliższa celu. Pieniądze wpływają, prezesi się zmieniają, trenerzy odchodzą, a klub idzie na dno z precyzją, która już dawno przestała wyglądać jak przypadek. Zwierzęta pracują. Owce słuchają, a Napoleon w urzędzie miasta zdaje się być ukontentowany aktualnym stanem rzeczy.

Technika wyczerpywania

W praktyce machina przeciągania wygląda zawsze banalnie.

Proszę czekać. To dla pana zdrowia. To wymaga dodatkowej analizy. To nie ten moment. To się nie da.

Z zewnątrz brzmi jak procedura. Od środka jest to technika wyczerpywania: obywatel znuży się, poniesie straty, zrezygnuje. A układ zostaje.

Literatura politologiczna nad klientelizmem (Kitschelt i Wilkinson, red., 2007; Trounstine, 2008) pokazuje ten wzorzec konsekwentnie: im dłuższy czas sprawowania władzy bez wymuszonej rotacji, tym głębsze zakorzenianie się sieci klientelistycznych. Dostęp do zasobów publicznych staje się walutą wymiany, a formalne procedury zaczynają służyć nie obywatelowi, tylko sieci powiązań. Nie jest to wyjątek od reguły. To jest reguła, gdy nie ma bezpiecznika.

Układ odpornościowy demokracji

Zdrowa demokracja potrzebuje bezpiecznika. Nie jako ideologicznego fetyszu, tylko jako mechanizmu odpornościowego.

Dwukadencyjność nie jest karą dla polityków. Jest ochroną systemu przed tym, by władza nie zdążyła skleić się z lokalnym układem na tyle mocno, że rozdzielenie obu rzeczy staje się wręcz chirurgicznie niemożliwe. Tak jak organizm potrzebuje układu immunologicznego nie dlatego, że zakłada zakażenie, ale dlatego, że wie, że środowisko nie jest jałowe. Każde ciało polityczne wystawione jest na te same naciski. Różnica leży wyłącznie w tym, czy ma mechanizmy obronne, czy nie.

Pełna przejrzystość finansowania, rotacja kadr, obowiązkowe ujawnianie konfliktów interesów — to nie są postulaty naiwnych idealistów. To są narzędzia higieniczne, które zdrowe systemy stosują z prozaiczną regularnością, bez wzniosłych deklaracji. Bo wzniosłe deklaracje bez narzędzi są jak plakat z napisem „zakaz zakażenia" powieszony w szpitalu zamiast procedur sterylizacji.

Mój problem w Sosnowcu nadal stoi w miejscu. Mógłbym to zgłosić do sądu administracyjnego. Wiem jednak, że nie ma sensu — nie z bezsilności, ale z doświadczenia. Znam ten poziom. Jeżeli zwykła sprawa jeden na jeden o 100 zł potrafi ciągnąć się ponad rok, to trudno oczekiwać, że sąd administracyjny, zasilany tym samym ludzkim materiałem i tą samą mentalnością, cokolwiek zmieni. To ten sam ekosystem. Te same nawyki. Ta sama definicja pilności. Ten sam

poziom empatii i zrozumienia. Do tego potrzeba przede wszystkim zmian na szczytach władzy.

Do zmiany lokalnego układu na pewno nic nie ruszy. To nie jest moje przypuszczenie. To jest wiedza — zbudowana na latach obserwacji jednego mechanizmu, z perspektywy człowieka, który stał po drugiej stronie okienka wystarczająco długo, żeby go rozpoznać.

Pani Alicja powiedziała: taki jest świat.

Tak. Ale świat można zmieniać, a na pewno nie można dać się podporządkować patologii.

Bauman widział to jako moralną ślepotę nowoczesności. Ponerologia pokazuje to ostrzej: jako mechanizm, w którym zło nie tylko bywa ukrywane, ale bywa też normalizowane, rozsmarowane po procedurach, rozpuszczone w hierarchii, przybite pieczątką i opatrzone językiem neutralności. Zło nie musi być spektakularne. Czasem wystarczy, że jest regularne. Czasem wystarczy, że jest administracyjnie poprawne.

Dlatego po takim doświadczeniu człowiek naprawdę bywa już tylko zmęczony. Nie wzniosłym buntem. Nie wielką deklaracją. Tylko tym ciężkim, ołowianym zmęczeniem. Bo kiedy państwo, sąd, urząd i służba zdrowia uczą człowieka bezsilności, to nawet gniew zaczyna mówić szeptem: już czas, już czas myć zęby i iść spać.

Rozdział 9

Patokracja i religia

kiedy świątynia staje się dźwignią, czyli między sacrum a manipulacją

„Ślepa wiara w autorytet jest największym wrogiem prawdy.”
— Albert Einstein

Instytucje religijne nie są z natury odporne na zniekształcenie. Ich siła nie wynika z samego istnienia, lecz z jakości ludzi, którzy je tworzą i prowadzą. Przez długi czas dominowało przekonanie, że człowiek wchodzący w przestrzeń religijną ulega stopniowej przemianie — że kontakt z formacją, rytuałem i wspólnotą prowadzi do uporządkowania jego wnętrza.

Założenie to było częściowo słuszne, ale nie uwzględniało jednego faktu: nie każdy człowiek podlega temu samemu mechanizmowi przemiany.

Religia pozostaje przypadkiem szczególnym nie dlatego, że rodzi więcej patologii niż inne ludzkie struktury, lecz dlatego, że potrafi otoczyć władzę aurą świętości. Tam, gdzie urząd, słowo lub hierarchia zostają związane z absolutem, krytyka przestaje być odbierana wyłącznie jako spór z człowiekiem. Zaczyna być odczuwana jako naruszenie porządku moralnego, wspólnoty, a czasem nawet samego sacrum.

W praktyce oznaczało to, że do struktur religijnych mogli wchodzić ludzie, których środowisko nie przemieniało — lecz którzy środowisko uczyli się czytać. Uczyli się, które gesty budzą zaufanie, które słowa otwierają drzwi, które rytuały dają dostęp do władzy. Z czasem zdobywali wpływ i stanowiska. Instytucja religijna stała się dla nich nie miejscem przemiany, lecz mapą terenu. Instytucja, która nie rozróżniała wystarczająco między deklaracją a rzeczywistym charakterem, zaczynała oddawać decyzje osobom, które działały według zupełnie innej logiki niż ta, którą oficjalnie reprezentowały.

To prowadzi do procesu stopniowej deformacji. Nie następuje on gwałtownie. Na początku zmienia się sposób podejmowania decyzji, potem relacje między ludźmi, a na końcu sens samych działań. Słowa pozostają te same, ale ich znaczenie przesuwa się w stronę użyteczności

i kontroli. Religia przestaje być punktem odniesienia dla sumienia, a zaczyna pełnić funkcję narzędzia — organizującego ludzi, dyscyplinującego ich i utrzymującego określony porządek.

KIEDY SAKRAMENT SŁUŻY TYRANII

Żeby zrozumieć mechanizm, warto przestać myśleć abstrakcyjnie i spojrzeć na konkretnych ludzi — na tych, którzy wchodzili w przestrzeń religijną nie po to, by służyć, lecz po to, by panować. Historia nie jest tu skąpa. Przypadki są zbyt liczne, zbyt regularne i zbyt podobne do siebie, by można je było traktować jako wyjątki.

Nie chodzi o to, żeby osądzać wiarę. Chodzi o to, żeby zobaczyć mechanizm. Ten sam mechanizm, który opisuje Łobaczewski, działał w katedrach i meczetach, w klasztorach buddyjskich i synagogach. Religia nie czyniła z niego wyjątku — bo nie miała narzędzi, żeby go rozpoznać.

Chrześcijaństwo: pornokracja i papieże

Historyk Liutprand z Cremony, piszący w X wieku, zostawił nam portret, który trudno zbagatelizować. Jan XII, papież w latach 955–964, obejmował tron kościelny w wieku siedemnastu lat. Był wnukiem Marozji — kobiety, która przez dekady faktycznie rządziła papiestwem, m.in. jako kochanka papieża Sergiusza III — i synem możnego Alberyka II — papiestwo było rodzinnym majątkiem, dziedziczonym jak lenna.

Synod zwołany przez cesarza Ottona I w 963 roku zebrał listę zarzutów wobec Jana XII: stosunki seksualne w Pałacu Laterańskim, oślepianie i kastrowanie przeciwników, pijaństwo podczas mszy, ordynowanie duchownych w stajni. Gdy wysłannicy cesarscy dostarczyli mu te zarzuty na piśmie, Jan XII miał odpowiedzieć, że Judasz, Szymon i Piotr też grzeszyli — więc on nie musi być gorszy.

Najjaskrawszym przypadkiem pozostaje jednak Aleksander VI — Rodrigo Borgia, papież w latach 1492–1503. Borgia kupił konklawe. Miał co najmniej czworo dzieci z różnymi kobietami — i otwarcie ich protegował, rozdając synowi Cezaremu armie, a córce Lukrecji kolejnych mężów politycznych. Zawarł sojusz z Turcją przeciwko chrześcijańskim władcom. A w każdym z tych działań posługiwał się językiem religii z maestrią — błogosławił, grzeszył i ponownie błogosławił, nie tracąc rytmu.

To, co łączy Jana XII i Aleksandra VI, to nie prostota zepsucia — to jego funkcjonalność. Każdy z nich rozumiał instytucję jako dźwignię, a nie jako misję. Historyczny Kościół przez wieki stosował weryfikację opartą wyłącznie na wiedzy teologicznej i zewnętrznym zachowaniu. Charakter nie podlegał ocenie. A charakter jest w zasadzie podstawą.

Islam: szaleństwo boskości i administracja terroru

Al-Hakim bi-Amr Allah, fatymidzki kalif w Kairze rządzący w latach 996–1021, jest jednym z najbardziej zagadkowych władców islamskiej historii. Objął władzę w wieku jedenastu lat. Gdy przejął pełnię władzy — nakazał zniszczenie Kościoła Bożego Grobu w Jerozolimie. Nakazał prześladowania chrześcijan i Żydów, wymuszając konwersję lub emigrację. Jednocześnie prześladował muzułmanów sunnickich. Wprowadzał i cofał zarządzenia z nieprzewidywalną regularnością. A potem ogłosił się Bogiem.

Część jego poddanych w to uwierzyła. Druzyjska wspólnota religijna powstała właśnie wtedy. W 1021 roku kalif wyszedł nocą w góry i nigdy nie powrócił. Ciała nie odnaleziono. Historycy spierają się do dziś: czy był człowiekiem z zaburzeniem psychicznym, czy geniuszem politycznym? Prawdopodobnie jedno i drugie. Jego grandioza, nieprzewidywalność, przemoc — i zdolność do używania religijnego języka jako instrumentu kontroli — to cechy, które dziś rozpoznalibyśmy bez trudu. W XI wieku nie było na to nazwy, a co za tym idzie — żadnego mechanizmu zatrzymania.

Buddyzm: mnisi z mieczami

W Japonii między XI a XVI wiekiem istniały sōhei — wojownicy-mnisi, których klasztory stały się potęgami militarnymi. Wielkie kompleksy świątynne, jak Enryaku-ji na górze Hiei, utrzymywały armie bojowników, którzy najeżdżali rywalizujące klasztory, plądrując i paląc. Napadali na stolicę, zmuszając cesarski dwór do ustępstw.

Buddyzm nie był tu dekoracją. Był ramą instytucjonalną, która dawała tym ludziom władzę, ziemię, dochód i immunitety. Zewnętrzna forma była nienaruszona — rytuały, stupy, medytacja, sutry. Wewnątrz struktura działała jak feudalne księstwo z siłą zbrojną.

Oda Nobunaga, który w 1571 roku spalił Enryaku-ji, powiedział podobno: „jeśli nie zniszczę ich teraz, staną się władcami

buddyzmu." Jego ocena była operacyjnie trafna, nawet jeśli metoda brutalna. Klasztor od dekad zachowywał formę religijną — i całkowicie stracił jej treść.

Judaizm: mesjasz i jego upadek

Sabbataj Cwi (1626–1676) był postacią, która zdołała przekonać znaczną część żydowskiej populacji Europy i Bliskiego Wschodu, że jest oczekiwanym mesjaszem. Urodzony w Izmirze syn kupca — inteligentny, charyzmatyczny, ale cierpiący na to, co współcześni psychiatrzy z dużą pewnością opisaliby jako zaburzenie afektywne dwubiegunowe — Sabbataj Cwi przeszedł przez życie w cyklach: okresy ekstazy, grandiozy i przekonania o własnej wyjątkowości przeplatały się z okresami głębokiej depresji i wycofania.

Jego popularność była oszałamiająca. Tysiące rodzin sprzedawało dobytek, oczekując rychłego powrotu do Ziemi Świętej. Gdy w 1666 roku władze osmańskie postawiły go przed wyborem między egzekucją a konwersją na islam — Sabbataj Cwi wybrał islam i dożył jako faworyzowany przez sułtana konwertyta. Sabbataj Cwi nie był prostym oszustem. Był człowiekiem, który być może sam wierzył w swoje powołanie — przynajmniej w fazach grandiozy. Ale mechanizm był ten sam: wspólnota nie miała narzędzi, żeby oddzielić mistyków od chorych psychicznie i manipulatorów.

Hinduizm: sakrament jako narzędzie kontroli

W systemie świątynnym Indii przez wieki funkcjonowała praktyka dewadasi — kobiet „oddanych" bogom, które żyły przy świątyniach jako tancerki, muzyczki i — w wielu przypadkach — jako seksualna własność kapłanów i zamożnych dobrodziejów. Formalnie dewadasi były mężatkami bogów. Rytuał inicjacji był uroczysty, religijny, usankcjonowany tradycją. Dla rodzin z niższych kast bywał postrzegany jako szansa na podniesienie statusu córki.

Mechanizm jest tu szczególnie wyrazisty: instytucja religijna tworzyła formalny system, który dawał osobom sprawującym władzę rytualną nieograniczony dostęp do ciał i pracy konkretnych ludzi — z pełną sankcją sakralną.

CELIBAT, ŚLEPA PLAMA INSTYTUCJI I RYZYKO UKRYTE POD FORMĄ

W praktyce każda instytucja oparta na silnej dyscyplinie ma swój punkt ślepoty. W przypadku Kościoła katolickiego jednym z takich punktów jest obowiązkowy celibat. Nie dlatego, że sam w sobie „wytwarza" nadużycia — na to nie ma prostego dowodu — lecz dlatego, że przesuwa ciężar oceny z realnego życia człowieka na jego deklarację. Instytucja widzi wtedy przede wszystkim posłuszeństwo wobec normy, a znacznie słabiej widzi napięcia emocjonalne, samotność, podwójne życie, niestabilność relacyjną czy ukrywane potrzeby seksualne.

Problem rodzi się wtedy, gdy obowiązkowa norma łączy się z dostępem do osób zależnych, kulturą milczenia, hierarchicznym układem sił i brakiem realnej odpowiedzialności. Innymi słowy: celibat nie jest jedyną przyczyną patologii, ale w określonych warunkach może wzmacniać mechanizmy ukrywania i zaprzeczania.

Dziś dyskusja o obowiązkowym celibacie nie jest już wyłącznie sporem o tradycję. Jest sporem o to, czy instytucja religijna ma prawo ignorować wiedzę o człowieku, którą dostarczyła psychologia, psychiatria i nauki o przemocy. Im bardziej struktura wymaga od człowieka życia w napięciu z naturalnymi potrzebami, tym większa szansa, że napięcie nie zniknie, tylko zostanie schowane. A to, co schowane, nie znika. To tylko czeka na właściwy moment, by wrócić jako hipokryzja, kompensacja albo nadużycie.

WSPÓLNY MIANOWNIK: BRAK NARZĘDZI

Kiedy zestawia się te przypadki — papieski Rzym X wieku, fatymidzki Kair XI wieku, japońskie klasztory XII–XVI wieku, żydowskie gminy XVII wieku, hinduistyczne świątynie niemal w każdej epoce — widać jeden wspólny mianownik.

Instytucje religijne dysponowały narzędziami oceny wiedzy i zachowania zewnętrznego. Nie dysponowały narzędziami oceny charakteru, struktury wewnętrznej, zdolności do empatii i rzeczywistej odpowiedzialności za powierzonych sobie ludzi.

Człowiek zaburzony — grandiozyjny, pozbawiony empatii, zdolny do masek — mógł opanować zewnętrzną formę religijnego życia i wspinać się po jej strukturach. Nie dlatego, że struktury te były złe w zamyśle. Dlatego, że nie miały mechanizmu, który pozwalałby oddzielić formę od treści w człowieku.

Łobaczewski napisał to wprost: nosiciele zaburzeń osobowości uczą się naśladować normy środowiska, w którym żyją. W środowisku religijnym — uczą się języka pobożności, gestów pokory, rytmów modlitwy. Ale język nie zmienia charakteru. Gest nie zmienia motywu. Rytm modlitwy nie przekształca człowieka, który modli się po to, żeby wyglądać na modlącego się.

Wniosek jest prosty. Religia nie chroni przed patologią sama z siebie. Chroni tylko wtedy, gdy łączy się z realnym rozumieniem natury ludzkiej i z mechanizmami, które ograniczają dostęp do władzy osobom działającym destrukcyjnie. I właśnie to jest argument za tym, że wiedza psychologiczna nie jest wrogiem wiary — lecz jej ochroną.

Rozdział 10

Płeć w służbie patokracji

Kiedy oświecenie zgasiło własne światło

„Dopóki cnoty obu płci nie będą oparte na rozumie,
cnota nie zapanuje w społeczeństwie.”
— Mary Wollstonecraft, A Vindication of the Rights of Woman (1792)

Sakralizacja władzy, o której mówił rozdział poprzedni, nie jest jedynym sposobem na wyłączenie instytucji spod zewnętrznej kontroli. Drugim jest płeć. Feminizacja i patriarchalizm społeczeństwa nie są same w sobie zagrożeniem. Zagrożenie zaczyna się dopiero wtedy, gdy przestają być równowagą, a stają się dominacją. Każda skrajność działa jak ogień podłożony pod fundament: jedna wypala konstrukcję w skrajnym konserwatyzmie, druga rozmiękcza ją w bezwładzie. Skutek jest ten sam. Społeczeństwo nie wali się od razu: traci najpierw napięcie wewnętrzne, potem kręgosłup, a dopiero na końcu zauważa, że od dawna stoi już tylko z przyzwyczajenia.

To właśnie jest moment niebezpieczny. Nie dramatyczny, nie oczywisty — właśnie dlatego tak skuteczny. Emocjocentryzm, który rozwiniemy w następnym rozdziale, jak każda inna patologia nie ogłasza swojego przybycia. On po prostu stopniowo zmienia klimat: to, co było pytaniem, staje się agresją. To, co było analizą, staje się brakiem empatii. I zanim ktokolwiek zdąży powiedzieć „chwila, coś tu nie gra” — reguły gry są już inne.

Właśnie tutaj zaczyna się obszar ponerologii.

KIEDY ROZUM BYŁ JESZCZE KOMPASEM

Żeby zrozumieć, gdzie jesteśmy, trzeba wiedzieć, skąd wychodziliśmy. Był moment w historii Zachodu, gdy coś zadziałało. Gdy maszyna myśląca pracowała na właściwym paliwie. Tym paliwem był rozum.

Wiek osiemnasty — Oświecenie — to epoka, której nie rozumie się przez daty, lecz przez temperament. To był czas, kiedy europejski intelekt postanowił dorosnąć. W 1784 roku pojawiło się pytanie, czym jest Oświecenie? We wrześniu tego roku Kant odpowiedział bez owijania w bawełnę: Sapere aude. Odważ się myśleć. Odważ się używać własnego rozumu, bez cudzej opieki, bez strachu przed konsekwencjami, bez pozwolenia władzy kościelnej ani świeckiej. To był manifest emancypacji — nie jednej grupy, lecz całego gatunku. Nie emancypacji z obowiązków, lecz emancypacji ku odpowiedzialności.

I właśnie w tym klimacie pojawiła się Mary Wollstonecraft. Angielka. Pisarka. Filozofka. Urodzona w 1759 roku w rodzinie, która straciła majątek, gdy ojciec okazał się pijakiem i hazardzistą. Zaczynała od pracy jako guwernantka, bo innych możliwości dla kobiet z jej klasy prawie nie było. I właśnie z tej pozycji napisała w 1792 roku A Vindication of the Rights of Woman. Traktat, który do dziś pozostaje jednym z najbardziej trzeźwych dokumentów w historii myśli politycznej.

Wollstonecraft nie pisała z nienawiści do mężczyzn. Pisała z nienawiści do głupoty. Widziała, że kobiety jej epoki są wychowywane do słabości: uczy się je być miłymi, ładnymi, uległymi, dekoracyjnymi. Uczy się je podobać, a nie myśleć. I twierdziła — z lodowatą precyzją — że to nie natura kobiety, lecz to, co z kobietą robi edukacja i kultura.

Wollstonecraft twierdziła, że skoro rozum jest tym, co odróżnia człowieka od zwierzęcia, to nie ma powodu, dla którego kobiety miałyby być z niego wykluczone. Konsekwencja tej myśli była brutalnie prosta: kobieta bez wykształcenia to nie tylko pokrzywdzona jednostka. To defekt w całym organizmie społecznym. Bo matka, która sama nie myśli, wychowa dzieci, które też nie będą myśleć.

To był feminizm z kręgosłupem. Feminizm, który nie prosił o wyjątki — domagał się zasad. Który nie mówił: dajcie nam więcej, bo nas boli — lecz: dajcie nam dostęp do narzędzi, którymi sami się rozliczymy. Feminizm zakorzeniony dokładnie w tej samej glebie, co Kantowskie Sapere aude. I właśnie dlatego tamten feminizm był wartościowy. Bo nie walczył z mężczyznami. Walczył z systemem, który głupocie kobiet służył tak samo, jak służył pysze mężczyzn. Bo jego narzędziem był argument, a miarą była prawda.

GDZIE SIĘ ZGUBIŁA TA MAPA

Potem minęło dwieście lat. I gdzieś po drodze coś się wywróciło.

Feminizm — ruch, który w swojej najzdrowszej formie był projektem emancypacji ku rozumowi i odpowiedzialności — zaczął migrować. Z obszaru zasad w obszar emocji. Z języka praw w język krzywd. Z logiki wspólnego mianownika w logikę wybiórczych roszczeń.

Pojawił się silny trend, który nazywam emocjocentryzmem — nie jest to termin kliniczny, lecz opisowy: stan, w którym emocja wyprzedza analizę i zastępuje argument. To sposób myślenia, w którym subiektywne odczucia zaczynają dominować nad faktami. Emocjocentryzm, jak go rozumiem, nie jest synonimem życia emocjonalnego ani wrażliwości — emocje są niezbędną częścią człowieczeństwa. Emocjocentryczny jest system, który emocję traktuje jako ostateczny argument, zamykający dyskusję zamiast ją otwierać. W którym doświadczenie jednostki bywa traktowane jako ważniejsze niż jego obiektywna weryfikacja. W efekcie dyskusja często przesuwa się z poziomu „co się wydarzyło" na poziom „jak to zostało odebrane". W takim układzie argumenty tracą część swojej siły, bo nie zawsze odnoszą się do wspólnego punktu odniesienia.

Ten sam wzorzec — szlachetna idea, która z czasem przechodzi z języka zasad w język emocji — widać dziś w wielu ruchach społecznych, zawodowych i instytucjonalnych, niezależnie od tego, po której stronie sceny się znajdują. Weźmy kulturę korporacyjnych postępowań wyjaśniających: samo zgłoszenie zaczyna funkcjonować jako dowód, a pytanie „co się naprawdę wydarzyło?" ustępuje pytaniu „jak to zostało odebrane?". Mechanizm jest identyczny, niezależnie od tego, gdzie się pojawia: prawa tak — ale tylko dla zgłaszającego. Weryfikacja tak — ale tylko wtedy, gdy nie podważa odczucia. Rozum tak — ale tylko gdy prowadzi do jedynego akceptowalnego wniosku.

To jest dokładnie ten mechanizm, przed którym Wollstonecraft ostrzegała — tyle że odwrócony, i to niezależnie od tego, w jakim ruchu społecznym się dziś pojawia. Ona walczyła z systemem, który traktował kobiety jak wieczne dzieci, niezdolne do rozumu i odpowiedzialności. Ten sam wzorzec, gdziekolwiek się dziś odtwarza, ma inny podmiot w centrum, ale tę samą strukturę: zamiast wyzwolenia ku odpowiedzialności — żądanie ochrony przed odpowiedzialnością. Zamiast traktowania ludzi jak dorosłych — traktowania ich jak wieczne ofiary.

Kant by tego nie podpisał. Wollstonecraft by tego nie podpisała. I nikt, kto naprawdę rozumie, o co chodziło Oświeceniu, nie może tego podpisać.

MIĘKKIE POLE DLA TWARDYCH GRACZY

A teraz wróćmy do ponerologii. Bo to jest właśnie ten moment, gdzie filozofia staje się diagnozą kliniczną.

Tam, gdzie znika zdrowa twardość, a empatia odrywa się od prawdy i odpowiedzialności, powstaje miękkie pole dla manipulacji. Teren niebroniony. Łąka, po której można przejść bez oporu, jeśli tylko ma się dość cierpliwości i dość bezwstydu.

I tu właśnie emocjocentryzm robi społeczeństwu największą krzywdę. Nie przez to, co głosi. Przez to, co wyklucza. Wyklucza mianowicie pytania. A pytania — twarde, nieuprzejme, weryfikowalne pytania — są jedyną ochroną przed wejściem na scenę ludzi, którzy na niej być nie powinni.

Człowiek zaburzony nie boi się emocji. Emocje są jego żywiołem — produkuje je na żądanie, w odpowiedniej intensywności, dla odpowiedniej widowni. W systemie, który ocenia przez pryzmat uczuć, taki człowiek jest mistrzem. Bo uczucia można zagrać. Rozum — dużo trudniej. I właśnie dlatego emocjocentryzm nie jest tylko problemem kulturowym. Jest problemem bezpieczeństwa.

Społeczeństwo, które zrezygnowało z twardych mechanizmów oceny, samo oddaje pole tym, którzy nie powinni zbliżać się do żadnej odpowiedzialnej pozycji.

PROPORCJA JAKO ODPORNOŚĆ

Społeczeństwo potrzebuje dwóch sił. Potrzebuje ładu i potrzebuje łagodności. Potrzebuje granic i potrzebuje ciepła. Gdy jedno zaczyna pożerać drugie, organizm społeczny traci zdolność samoregulacji. Nadmiar patriarchalnej twardości zamienia życie publiczne w kamienny mur: trwały, ale zimny, bezlitosny. Nadmiar feminizującej miękkości zmienia ten sam organizm w ciało bez napięcia, bez odporności, bez wewnętrznej sprężyny. Jedno kaleczy przez nacisk. Drugie przez rozpuszczenie granic.

Arystoteles wiedział, że cnota nie mieszka w skrajności. Mieszka pomiędzy. W złotym środku, który nie jest nijakością, lecz dojrzałością. Wollstonecraft — choć pisała w innym języku i w innej epoce —

dotknęła tego samego miejsca. Twierdziła, że kobieta nie jest z natury słaba. Jest słaba, bo ją do słabości wychowano. I że ta wychowana słabość niszczy nie tylko ją — niszczy cały projekt cywilizacyjny.

Zdrowe społeczeństwo nie wybiera między twardością a łagodnością. Ono utrzymuje je w napięciu. Jedno pilnuje granic. Drugie pilnuje, by granice nie zamieniły się w mur bez okien. Jedno chroni przed chaosem. Drugie chroni przed okrucieństwem. Dopiero razem tworzą konstrukcję, która nie tylko trwa, ale jeszcze ma sens.

Bo cywilizacja nie ginie dlatego, że ma za dużo siły. Ginie wtedy, gdy siła staje się ślepa. Nie ginie dlatego, że ma za dużo empatii. Ginie wtedy, gdy empatia odrywa się od prawdy. Nie ginie od jednego ciosu. Ginie od długiego rozkładu. Od miękkiej rezygnacji. Od powolnego przyzwyczajenia się do tego, że nie trzeba już rozumieć — wystarczy czuć.

A wtedy zło nie musi nawet walczyć o wejście. Wystarczy, że poczeka, aż drzwi otworzą mu sami ludzie.

O innych metodach otwierania złu drzwi będzie rozdział kolejny.

Rozdział 11

Cykl emocjocentryczny

bankiet na dachu płonącego domu

„W społeczeństwie konsumpcyjnym wszystko jest kwestią wyboru oprócz przymusu dokonywania wyboru — przymusu, który przeradza się w nałóg i dlatego nie jest uznawany za przymus."
— Zygmunt Bauman, Płynna nowoczesność

Współczesna kondycja ludzka w dobie późnego kapitalizmu charakteryzuje się prymatem ekspozycji nad egzystencją. Jednostka zostaje poddana presji autoprezentacji, gdzie wartość osobowa jest utożsamiana z widzialnością w przestrzeni cyfrowej. Proces ten prowadzi do przesunięcia akcentów z autentycznego rozwoju (dojrzewania) ku kreowaniu wizerunku (spektaklu), co stanowi fundament nowoczesnych mechanizmów kontroli społecznej.

To nie jest metafora. To jest opis mechanizmu, który działa od dekad i który z każdym kolejnym wynalazkiem dostaje nową maszynownię. Żeby go zrozumieć, trzeba zacząć od końca XIX wieku — od Thorsteina Veblena i jednej obserwacji, która okazała się proroczą.

Emocje są naturalnym elementem ludzkiego funkcjonowania. Pełnią rolę sygnałów ostrzegawczych, społecznych i adaptacyjnych. Pozwalają odczuwać radość, smutek, strach czy współczucie, a tym samym nadają doświadczeniu ludzki wymiar. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy emocje przestają być narzędziem orientacji, a stają się głównym mechanizmem sterującym decyzjami długofalowymi.

Transformacja społeczeństw w stronę paradygmatu emocjocentrycznego skutkuje erozją mechanizmów racjonalnej analizy ryzyka. Dominacja afektu nad namysłem prowadzi do osłabienia zbiorowej czujności wobec zagrożeń systemowych. W takim układzie stabilność instytucjonalna jest postrzegana jako dana raz na zawsze, co maskuje procesy degeneracyjne i ułatwia infiltrację struktur przez

jednostki o profilu dyssocjalnym. Ludzie zaczynają zakładać, że stabilność jest stanem permanentnym, przez co przestają dostrzegać procesy degeneracyjne zachodzące pod powierzchnią.

W takich warunkach szczególne pole manewru zyskują jednostki chłodne, dyssocjalne, psychopatyczne albo skrajnie oportunistyczne. Społeczeństwo kierujące się emocjonalną reakcją zamiast racjonalną oceną staje się łatwiejsze do prowadzenia, bardziej podatne na manipulację, populizm, fałszywe narracje i pozorną charyzmę. Zaburzone jednostki nie muszą tworzyć chaosu. Wystarczy, że nauczą się nim zarządzać. W środowisku obniżonej zbiorowej czujności łatwiej przenikają do struktur decyzyjnych, wykorzystując społeczne rozbrojenie poznawcze.

Historia wielokrotnie pokazuje, że upadek systemów rzadko zaczyna się od nagłego ataku zewnętrznego. Znacznie częściej rozpoczyna się od wewnętrznego osłabienia zdolności społeczeństwa do samokontroli, krytycznego myślenia i rozpoznawania patologii. Emocje same w sobie nie są zagrożeniem. Zagrożeniem staje się ich długotrwała dominacja nad rozumem.

Dlatego zdrowe społeczeństwo nie polega na tłumieniu emocji, lecz na ich integrowaniu z rozumem, etyką i odpowiedzialnością. Tam, gdzie emocje całkowicie podporządkowują sobie proces decyzyjny, otwiera się przestrzeń dla tych, którzy potrafią wykorzystywać ludzką impulsywność jako narzędzie przejęcia wpływu. W tym sensie emocjocentryzm może stać się nie tylko kryzysem kulturowym, lecz także mechanizmem umożliwiającym rozwój patologii społecznej.

I. VEBLEN WIDZIAŁ TO PIERWSZY

W 1899 roku Veblen opublikował Teorię klasy próżniaczej i opisał w niej mechanizm, który nazwał ostentacyjną konsumpcją. Człowiek — argumentował — nie kupuje rzeczy wyłącznie dlatego, że są użyteczne. Kupuje je dlatego, że są widzialne. Że sygnalizują pozycję, przynależność, reputację. Towar przestaje być narzędziem, a zaczyna być znakiem. Każdy przedmiot ma dwie twarze: jedną praktyczną i jedną, nazwijmy ją spektaklową — i właśnie ta druga coraz częściej wygrywa.

Veblen nie mógł wiedzieć, że opisuje proto-mechanizm, który sto dwadzieścia lat później trafia pod palec każdego człowieka z telefonem w kieszeni. Ale intuicja była nieomylna: wartość przestaje płynąć z treści i zaczyna płynąć z efektu. Wtedy życie zaczyna przypominać sklepową witrynę po godzinach — wszystko ustawione pod spojrzenie przechodnia. Niby stoi, niby działa, ale już nie dla siebie. Dla widza.

Sto lat po Veblenie Zygmunt Bauman uzupełnił tę obserwację o wymiar, którego tamten nie mógł przewidzieć. W płynnej nowoczesności zmienia się nie tylko to, co się kupuje na pokaz — zmienia się sama tożsamość człowieka. Przestaje być czymś danym raz na zawsze. Staje się projektem, który trzeba nieustannie budować, rewidować i wystawiać na widok. W Płynnej nowoczesności (2000) Bauman pokazuje, że stałe struktury, które dawały ludziom zakotwiczenie — klasa, zawód, wspólnota, tradycja — rozpuściły się w ciągu kilku dekad. Człowiek nowoczesny nie dziedziczy tożsamości. On ją sobie wybiera. I co najważniejsze: wybiera ją przez konsumpcję. Kim jesteś? Spójrz, co nosisz, czym jeździsz, gdzie podróżujesz, co lajkujesz. Tożsamość stała się zestawem sygnałów zakupowych.

II. DEBORD I DYNAMIT

Sześćdziesiąt osiem lat po Veblenie, w 1967 roku, Guy Debord opublikował Społeczeństwo spektaklu i dołożył do tej diagnozy ładunek wybuchowy.

„Spektakl nie jest zbiorem obrazów,
lecz stosunkiem społecznym między ludźmi zapośredniczonym przez obrazy."
— Guy Debord, Społeczeństwo spektaklu

Debord opisał rzeczywistość, w której bezpośrednie doświadczenie zostaje systematycznie zastępowane przez obrazy, reprezentacje i pośrednie formy uczestnictwa. Człowiek nie tyle żyje w świecie, ile ogląda jego wersję. Nie tyle bierze udział w relacji, ile uczestniczy w jej przedstawieniu. Spektakl — pisał Debord — nie jest tylko zbiorem obrazów. Jest stosunkiem społecznym pośredniczonym przez obrazy.

W takim świecie nie liczy się przede wszystkim to, co prawdziwe, lecz to, co widzialne. Nie to, co głębokie, lecz to, co działa na uwagę. Nie to, co trwałe, lecz to, co się niesie. Debord pisał to w epoce telewizji i reklamy. Gdyby żył dziś, miałby znacznie więcej

materiału, niemniej nie musiał długo czekać na potwierdzenie swojej diagnozy: w maju 1968 roku Paryż stanął w ogniu. Studenci i robotnicy wyszli na ulice nie z jednym postulatem, lecz z buntem przeciwko całemu spektaklowi — konsumpcji, hierarchii, pustej reprezentacji. Na murach pojawiły się hasła, które brzmiały jak cytaty z jego książki, choć większość piszących jej nie czytała. Debord zobaczył za życia, że trafił w nerw. I zobaczył też, że nerw — po kilku tygodniach — wrócił do normalności. Spektakl pochłonął bunt i sprzedał go jako plakat. Bo mechanizm, który opisał, dostał własną infrastrukturę i został włączony do spektaklu.

III. FABRYKA POBUDZENIA

Media społecznościowe dały temu mechanizmowi własną maszynownię. I nie jest to spekulacja — to udokumentowana architektura biznesowa.

Mechanizm podatności społeczeństwa emocjonalnego na manipulację — dlaczego środowisko oceniające przez odczucie jest łatwiejsze do prowadzenia niż środowisko oceniające przez argument — opisany jest w rozdziałach wcześniejszych. Tu interesuje nas konkretna infrastruktura, która tę podatność przemysłowo skaluje.

Meta wprost informuje, że personalizuje newsfeed za pomocą systemów uczenia maszynowego, dobierając treści na podstawie historii interakcji użytkownika. YouTube wyjaśnia, że jego rekomendacje opierają się na historii oglądania, wyszukiwaniu, subskrypcjach, polubieniach i sygnałach aktywności. Żadna z tych platform nie ukrywa, że jej celem jest maksymalizacja czasu spędzonego przez użytkownika na platformie.

Architektura algorytmów rekomendacyjnych jest zorientowana na maksymalizację zaangażowania, co w praktyce oznacza priorytetyzację treści o wysokim ładunku emocjonalnym. Systemy te promują polaryzację i afektywne wzbudzenie (gniew, lęk), gdyż są to stany generujące najdłuższy czas interakcji. W efekcie następuje proces „algorytmicznej selekcji treści", w którym autonomiczna wola użytkownika zostaje zastąpiona przez zautomatyzowany proces sterowania uwagą.

Algorytmy projektują ludzie — ludzie, którzy mogą traktować innych jako środek do celu albo jako cel sam w sobie. Jednak ostateczny efekt nie zależy wyłącznie od ich intencji, lecz od tego, jakie cele system optymalizuje i jakie zachowania nagradza.

To tworzy zamkniętą pętlę: bodziec, reakcja, wzmocnienie, kolejny bodziec — mocniejszy. Człowiek widzi coś, reaguje emocją, system to zapisuje i podaje mu następną treść skalibrowaną na jego czułe punkty. Badania nad emocjonalnym zarażaniem w sieciach społecznościowych wskazują, że ekspozycja na emocjonalny przekaz wiąże się z późniejszym podobnym sposobem wyrażania się przez użytkowników — emocje dosłownie rozlewają się przez sieć kontaktów. W praktyce oznacza to coś nieoczywistego: social media nie tylko odbijają nastroje społeczne. One je aktywnie kształtują, filtrują i przyspieszają.

IV. EKRAN BEZ KOLORU, CZYLI JEST DOSTĘPNA BROŃ

Tyle o architekturze systemu. Teraz pytanie praktyczne: co może z tym zrobić zwykły człowiek, skoro systemu nikt nie reguluje?

Bo nie reguluje. W przeciwieństwie do mediów tradycyjnych, platformy społecznościowe działają bez czegoś, co można by nazwać kartą praw społecznych użytkownika świata cyfrowego. Nie istnieje żaden wiążący zestaw norm prawnych, który nakazywałby ujawnianie logiki algorytmów rekomendacyjnych, zakazywał optymalizowania ich pod emocjonalne pobudzenie albo chronił użytkownika przed architekturą zaprojektowaną przeciwko jego własnym interesom. Unia Europejska nałożyła od 2023 roku pewne obowiązki transparencji na największe platformy w ramach Aktu o Usługach Cyfrowych — ale regulacja algorytmów rekomendacyjnych pod kątem ich wpływu na psychikę użytkownika pozostaje niemal nietkniętą białą plamą.

Brak adekwatnych regulacji prawnych w obszarze technologii cyfrowych umożliwia pełną komodyfikację (towaryzację) uwagi użytkownika. W tym modelu biznesowym afekty jednostki są traktowane jako surowiec podlegający monetyzacji. Platformy cyfrowe operują w logice instrumentalnej, gdzie optymalizacja zysku odbywa się kosztem dobrostanu psychicznego i autonomii poznawczej społeczeństwa. Im mocniej reagujesz, tym jesteś cenniejszy dla systemu. To jest logika czysto makiaweliczna w jej najprostszej formie: cel — zysk i wzrost — uświęca środki, a środkiem jesteś ty.

Wobec braku regulacji jednostka może odpowiedzieć tylko własnym imperatywem hipotetycznym: jeśli chcę ograniczyć wpływ systemu na siebie — wykonuję konkretnie ten i ten krok. Nie zmienisz algorytmu. Możesz zmienić to, jak go widzisz.

Jednym z najprostszych i zarazem niedocenianych narzędzi jest przestawienie ekranu telefonu w tryb skali szarości. Nie jest to metafora

— to ustawienie dostępne na każdym smartfonie, w opcjach dostępności. Kolory są podstawowym narzędziem projektantów interfejsów do przykuwania uwagi: czerwone powiadomienia, nasycone miniatury, jaskrawe przyciski. Skala szarości wygasza ten sygnał. Ekran staje się mniej pociągający wizualnie, scrollowanie — mniej bezwiedne. Mniej bodźców wizualnych oznacza mniej impulsywnych reakcji. Mniej impulsywnych reakcji oznacza mniej paliwa dla algorytmu.

To nie jest rozwiązanie systemowe. To jest stoicka odpowiedź na makiaweliczny system: nie możesz zmienić reguł gry, ale możesz wybrać, jak grasz. I w sytuacji, gdy prawo nie chroni, a platforma nie zamierza się powstrzymać — bywa to jedyna broń, która jest od razu w kieszeni.

V. AUTENTYCZNOŚĆ JAKO FORMAT

Zjawisko „komodyfikacji autentyczności" polega na przekształceniu szczerości i intymności w formaty rynkowe. W dobie mediów społecznościowych prawda o sobie staje się zasobem podlegającym kadrowaniu i optymalizacji pod kątem oczekiwań odbiorców. Proces ten prowadzi do zatarcia granicy między realnym doświadczeniem a jego reprezentacją, co Bauman definiuje jako rebranding tożsamości w odpowiedzi na płynne wymogi rynku uwagi.

W Consuming Life (2007) opisuje mechanizm komodyfikacji osoby: w społeczeństwie konsumpcyjnym człowiek jest jednocześnie konsumentem i towarem, który sam siebie promuje. Rynek pracy, rynek randkowy, rynek uwagi w social mediach — wszystkie wymagają od człowieka, żeby zaprezentował siebie jako produkt o określonej wartości i atrakcyjności. I żeby tę wartość nieustannie odświeżał, bo w płynnej nowoczesności towar, który nie błyszczy nowością, szybko traci na cenie. Tożsamość staje się nie tylko projektem, ale wiecznym rebrandingiem.

Influencer jest tu zjawiskiem symptomatycznym, nie wyjątkowym. To skrajna wersja logiki, której podlegamy wszyscy. Jego autentyczność jest starannie skonstruowana: wycinki życia prezentowane w short-form video tworzą pożądany wizerunek, sponsorskie deale zamieniają relacje w transakcje, a widz kupuje złudzenie bliskości z kimś, kogo nigdy nie spotka. Presja na bycie widowiskowym rozlewa się potem na wszystkich uczestników rynku. Nie tylko na influencerów. Na każdego.

VI. IPHONE, KURTKA, TOTEM

Veblen widział ostentacyjną konsumpcję klasy wyższej. Bauman zobaczył coś gorszego: że w płynnej nowoczesności ta logika zeszła na sam dół drabiny społecznej i stała się powszechna. Teraz nie konsumuje na pokaz tylko klasa próżniacza. Konsumuje na pokaz niemal każdy, kto ma cokolwiek do skonsumowania — bo bez konsumpcji nie ma tożsamości, a bez tożsamości nie ma miejsca we wspólnocie.

iPhone nie jest wtedy tylko telefonem. Jest małym totemem uczestnictwa w plemieniu statusu — nie dlatego, że obiektywnie i zawsze najlepiej spełnia swoje funkcje, lecz dlatego, że został nasycony prestiżem, skojarzeniem z nowoczesnością i zamożnością. Człowiek nie kupuje aparatu, ekranu i systemu. Kupuje społeczną obietnicę, że będzie wyglądał na kogoś, kto wie, co jest dobre. Podobnie z odzieżą: marka robi za herb, cena za koronę. Nieraz płaci się nie za materiał ani trwałość, lecz za udział w zbiorowej iluzji, że to jest coś.

Ogromna część współczesnej konsumpcji nie jest konsumpcją potrzeby. Jest konsumpcją wrażenia. Kupuje się obraz siebie po zakupie. A ponieważ tożsamość w płynnej nowoczesności nigdy nie jest gotowa — zawsze wymaga odświeżenia, aktualizacji, nowej wersji — koło konsumpcji nie ma prawa się zatrzymać.

VII. REKLAMA SPRZEDAJE BRAK

Reklama nie sprzedaje rzeczy. Reklama sprzedaje niedosyt.

Jej praca polega na wytworzeniu przekonania, że bez konkretnego produktu człowiek jest uboższy, mniej ciekawy, mniej atrakcyjny, mniej nowoczesny. Mechanizm jest trójstopniowy: najpierw pokazuje ci, że czegoś ci brakuje; potem podsuwa gotową odpowiedź; na końcu sprawia, że wierzysz, iż to była twoja własna decyzja. Telewizja, internet i social media tworzą jeden system nawadniania pożądania.

Bauman dorzuca tu jeszcze jedno: reklama w płynnej nowoczesności nie musi nawet proponować stałego ideału. Wystarczy, że podsuwa kolejny niedobór — zawsze nowy, zawsze aktualny, zawsze o krok przed człowiekiem. Nie chodzi o to, żebyś był kimś. Chodzi o to, żebyś stawał się kimś — bez końca, bez punktu dojścia, bez możliwości powiedzenia: już wystarczy. To właśnie jest mechanizm pożądania bez zaspokojenia, który Bauman opisuje jako fundamentalny dla logiki konsumeryzmu. I który brzmi dokładnie tak, jak to ujął w

epigrafie tego rozdziału: przymus wyboru, który przeradza się w nałóg i dlatego nie jest rozpoznawany jako przymus.

I właśnie dlatego reklama tak skutecznie łączy się z emocjocentryzmem. Emocja skraca dystans między impulsem a portfelem. Zakupy internetowe wzmacniają tę dynamikę: klik jest szybszy niż refleksja, koszyk prostszy niż wahanie, dostawa do domu usuwa ostatni opór. Konsumpcja staje się beztarciowa — a więc jeszcze bardziej podatna na emocjonalne podtrucie.

VIII. MANIPULATORZY WIDZĄ STRUKTURĘ, NIE OFIARY

W środowisku emocjocentrycznym osoby wyposażone w chłodną, wyrachowaną inteligencję przy jednoczesnym braku empatii mogą działać skuteczniej nie dlatego, że są silniejsze moralnie — lecz dlatego, że lepiej rozumieją słabość systemu.

Tam, gdzie społeczeństwo żyje obrazem i impulsami, łatwiej jest podrzucać ludziom rzeczy szkodliwe, byle były opakowane w atrakcyjną formę. Nie trzeba przekonywać do dobra. Wystarczy sprzedać efekt. Wystarczy nadać produktowi, idee albo politykowi odpowiedni połysk, żeby przeszedł przez filtr masowej uwagi.

W cyklu emocjocentrycznym niebezpieczne staje się nie tylko to, co jawnie złe. Niebezpieczne staje się to, co ładnie wygląda i dobrze się czuje, a w rzeczywistości niszczy. Człowiek osłabiony przez modę, reklamę i potrzebę wrażenia łatwo kupuje śmieć zapakowany jak luksus. Łatwo myli atrakcyjność z wartością.

Nie chodzi tu wyłącznie o słabość jednostek. Chodzi o słabość całego układu. Gdy społeczeństwo żyje na pokaz i zarządza się nastrojami — staje się przewidywalne. A co przewidywalne, można obsłużyć. Emocjocentryzm nie tworzy złych ludzi. Tworzy środowisko, w którym pewien typ ludzi zyskuje przewagę, której w zdrowym układzie by nie miał. A reszta jest tylko narzędziem.

IX. GDY PRZEMOC ZNIKA Z ULIC PATOLOGIA WCHODZI DO INSTYTUCJI

Jest pewien paradoks, o którym mówi się zdecydowanie za rzadko. I właśnie dlatego robi tyle szkody.

Społeczeństwo może skutecznie poradzić sobie z przestępczością uliczną, ograniczyć chaos, zmniejszyć liczbę kradzieży,

napaści, codziennych zagrożeń — i jednocześnie stać się bardziej podatne na coś znacznie groźniejszego. Na patologię, która nie chodzi po ulicach. Która siedzi przy stole konferencyjnym.

Kiedy człowiek żyje we względnym porządku, zaczyna zakładać, że system jako całość również działa zdrowo. Skoro na ulicach jest bezpiecznie, sklepy funkcjonują, instytucje stoją, a codzienność wydaje się stabilna — czujność opada. Naturalnie, odruchowo, bez żadnej decyzji. Po prostu przestaje być potrzebna. Tak przynajmniej się wydaje.

I właśnie w tej chwili — w chwili oddechu — otwierają się drzwi.

Bo nie każda patologia przychodzi z nożem w ręku. Ta najgroźniejsza ma legitymację służbową. Ma budżet. Ma procedury. I ma czas — bo nikt jej nie szuka tam, gdzie ona działa. Z reputacją zbudowaną starannie i cierpliwie. Z doskonałą umiejętnością poruszania się w granicach prawa — albo dokładnie na tej granicy, gdzie prawo jeszcze nic nie mówi.

Taki człowiek nie musi siać natychmiastowego chaosu. Jego siła polega właśnie na tym, że nie sieje. Że działa cicho, metodycznie, od środka. Deformuje struktury, zanim ktokolwiek zdąży zauważyć, że coś się deformuje. Nagina prawo, zanim ktokolwiek zdąży zapytać, czy prawo jest nagięte. Buduje układy z taką starannością, że wyglądają jak normalne relacje zawodowe.

Społeczeństwo przyzwyczajone do rozpoznawania zagrożeń prostych — przemocy, kradzieży, jawnej agresji — jest w tym po prostu słabe. Nie z głupoty. Z braku doświadczenia. Bo nikt go nie uczył rozpoznawać zagrożenia, które wygląda legalnie, profesjonalnie, a czasem wręcz prestiżowo.

I tu jest sedno paradoksu. Zniknięcie jednego rodzaju patologii nie oznacza zdrowia. Oznacza zmianę formy zagrożenia. Przemoc brutalna ustępuje miejsca przemocy administracyjnej. Chaos uliczny zostaje zastąpiony przez chłodną eksploatację instytucjonalną. Jawny przestępca zostaje wyparty przez wysokofunkcjonującego manipulatora — takiego, który nigdy nie trafi do żadnego raportu policyjnego, bo wszystko, co robi, jest technicznie zgodne z przepisami.

Właśnie dlatego rozwój cywilizacyjny nie może polegać wyłącznie na ograniczaniu przestępczości bezpośredniej. Równie ważna, a może ważniejsza, staje się zdolność rozpoznawania patologii ukrytej wyżej. W elitach. W strukturach decyzyjnych. W systemach wpływu, które z zewnątrz wyglądają dokładnie tak, jak powinny.

Inaczej społeczeństwo osiąga pozorny sukces. Bezpieczne ulice. Spokojna codzienność. Niski poziom widzialnej przemocy. I jednocześnie — coraz głębsza podatność na wewnętrzne przejęcie przez ludzi, którzy nie niszczą systemu z zewnątrz.

Oni po prostu uczą się nim zarządzać dla własnych korzyści.

I właśnie wtedy bezpieczeństwo staje się fasadą, za którą powoli, bez hałasu, bez ogłoszenia, rozwija się degeneracja.

X. CALHOUN: ANALOGIA, NIE DOWÓD

W tym miejscu można przywołać Johna B. Calhouna — ale tylko jako analogię. Nigdy jako dowód.

Calhoun, pracując w National Institute of Mental Health, prowadził w latach sześćdziesiątych XX wieku eksperymenty na koloniach gryzoni. Przy zapewnionym dostępie do pożywienia i wody, ale przy wzroście zagęszczenia i kurczeniu się przestrzeni, pojawiały się poważne zaburzenia zachowania: rozpad hierarchii społecznych, porzucanie potomstwa, wycofanie, agresja. Calhoun opisał ten stan jako behavioral sink — zlew zachowań.

Ale mysz to nie człowiek. Nie można przenosić stanów psychicznych gryzonia na jednostkę ludzką, a tym bardziej na zbiorowość. Co można powiedzieć uczciwie: jeśli organizm albo społeczeństwo ma zasoby, ale traci przestrzeń, sens, hierarchię i zdolność samoregulacji — zaczyna się rozpad. Niekoniecznie biologiczny. Może wyglądać jak miękki zjazd w próżnię. Komfort nie jest tożsamy ze zdrowiem, a nadmiar nie jest tożsamy z ładem.

I tu analogia z Baumanem jest uderzająca, choć żaden z nich nie pisał o drugim. Calhoun pokazuje, że zagęszczenie przy jednoczesnej utracie sensu prowadzi do rozpadu więzi i reguł. Bauman pokazuje, że płynność przy jednoczesnym przymusie konsumowania siebie prowadzi do wyczerpania tożsamości. Oba opisy mówią o tym samym: o granicy wytrzymałości żywego systemu pozbawionego struktury, która by go trzymała.

XI. BANKIET NA DACHU PŁONĄCEGO DOMU

Historia zna ten schemat na pamięć. Zna go tak dobrze, że można by go opisać wzorem — gdyby wzory były ciekawsze od opowieści.

Społeczeństwo, które przez pokolenia żyje w dobrobycie i pokoju, traci stopniowo zdolność do twardej oceny rzeczywistości. Nie z głupoty. Z komfortu. Komfort znieczula czujność tak samo jak długotrwały brak bólu znieczula zdolność do jego rozpoznania. Człowiek przestaje trenować mięsień oceny, bo ocena przestaje boleć. Zaczyna oceniać przez odczucie — bo odczucie jest szybsze, wygodniejsze i nie wymaga wysiłku. I właśnie wtedy otwiera się przestrzeń.

Łobaczewski pisał, że patologia najlepiej czuje się w warunkach spokoju i dobrobytu — bo właśnie wtedy społeczna czujność jest najniższa. Glubb, analizując dziesiątki upadłych imperiów, nazwał ten etap „wiekiem dekadencji" — fazą, w której dominują rozrywka, konsumpcja i spory tożsamościowe, a zdolność do mobilizacji zbiorowej zanika. Strauss i Howe opisali to jako „czwarty zwrot" — moment, gdy całe pokolenie wychowane bez kryzysu nie potrafi go rozpoznać, dopóki nie jest już za późno na spokojną odpowiedź. Warto zaznaczyć: ich teoria cyklicznych „zwrotów" jest wśród historyków akademickich mocno kontestowana — krytykowana jako zbyt deterministyczna i niefalsyfikowalna. Ale sama obserwacja Glubba, oparta na bezpośredniej analizie historycznej, znajduje potwierdzenie niezależnie od tego sporu: społeczeństwa u szczytu dobrobytu regularnie tracą zdolność do samodyscypliny.

To jest wzorzec powtarzający się z monotonią, która przestała już zaskakiwać historyków.

Patologia nie przejmuje osłabionego systemu przez rewolucję. Przejmuje go przez selekcję. Po cichu wymienia ludzi — kompetentnych na dyspozycyjnych, odważnych na konformistycznych, mówiących prawdę na mówiących to, co chce słyszeć decydent. System zachowuje formę. Traci treść. I pewnego dnia okazuje się, że instytucje stoją, procedury działają, dokumenty krążą — ale nikt już nie pyta po co. Wszyscy pytają tylko: dla kogo.

A potem przychodzi kryzys. Ekonomiczny. Militarny. Epidemia. Katastrofa infrastruktury. Za większość kryzysów w historii odpowiada czynnik ludzki. Cokolwiek — bo kryzys zawsze w końcu przychodzi, jedyną niewiadomą jest jego forma. I wtedy to samo społeczeństwo, które przez dekady odrzucało twardość jako brutalność, przejrzystość jako agresję, a rozliczalność jako brak empatii — nagle jej żąda. Głośno. Desperacko. Z gotowością oddania wolności w zamian za poczucie, że ktoś wreszcie trzyma ster. To społeczeństwo, które nauczyło się oceniać przez odczucie zamiast przez argument — dokładnie to, o czym były rozdziały poprzednie.

I wtedy pojawia się silna ręka.

Nie dlatego, że jest dobra. Nie dlatego, że jest mądra. Dlatego, że jest jedyną odpowiedzią, którą osłabione emocjonalnie społeczeństwo potrafi jeszcze wyprodukować — i jedyną, która brzmi wystarczająco pewnie, żeby zagłuszyć lęk. Durant obserwował ten moment wielokrotnie w historii: gdy zdolność do samodyscypliny zanika, demokracja oddaje władzę temu, kto oferuje dyscyplinę z zewnątrz.

Veblen mówi: człowiek chce błyszczeć.

Debord mówi: świat chce, żebyś błyszczał na ekranie.

Bauman mówi: nie możesz przestać błyszczeć, bo bez blasku nie ma tożsamości — a bez tożsamości jesteś towarem bez etykiety.

Algorytm mówi: błyszcz tam, gdzie emocja pali najintensywniej.

Reklama mówi: kup więcej, a poczujesz się bardziej realny.

Stoik mówi: zatrzymaj się. Między bodźcem a reakcją jest przestrzeń. Ona należy do ciebie.

Calhoun przypomina: sam dostatek nie chroni przed rozpadem, jeśli ginie struktura życia.

Z tego zestawienia wyłania się jeden wniosek, którego nie da się oswoić: społeczeństwo może mieć więcej niż kiedykolwiek w historii, a jednocześnie żyć coraz płycej, coraz bardziej nerwowo i coraz bardziej na pokaz. Może przypominać bankiet urządzony na dachu płonącego domu. Kieliszki stoją równo. Muzyka gra. Uśmiechy są włączone. Tylko pod spodem już pracuje ogień.

Emocjocentryzm cywilizacyjny to nie jest panowanie emocji samo w sobie. To jest ich triumf nad rozumem, nad samodyscypliną i nad prawdziwym życiem. Człowiek nie tyle myśli, ile reaguje. Nie tyle buduje, ile pokazuje. Nie tyle trwa, ile odgrywa siebie. A ponieważ w płynnej nowoczesności każda tożsamość jest tymczasowa i każdy zakup jest tylko chwilową kotwicą — przedstawienie nigdy się nie kończy.

System działa skutecznie nie dlatego, że jest inteligentniejszy od człowieka, lecz dlatego, że wykorzystuje jego ewolucyjne skróty poznawcze: potrzebę natychmiastowej nagrody, wrażliwość na zagrożenie i skłonność do reagowania szybciej, niż myśleć.

I właśnie wtedy zaczyna się najgroźniejszy rodzaj upadku: taki, który wygląda jak postęp.

XII. EMOCJA JAKO PALIWO — I STOICYZM JAKO ANTIDOTUM

Spektakl bez emocji byłby martwy. Obraz bez poruszenia jest jak trup w muzeum — interesujący może przez chwilę, ale nie angażuje. Dopiero emocja daje mu prąd.

I tu zaczyna się właściwy temat tego rozdziału: emocjocentryzm społeczny. Nie chodzi tu o samą dominację uczuć — emocje towarzyszą człowiekowi od zawsze i nie ma w tym nic patologicznego. Chodzi o coś innego: o stan, w którym emocja staje się pierwszym i najważniejszym filtrem rzeczywistości. Najpierw impuls. Następnie reakcja. Dopiero potem — jeśli w ogóle — pojawia się myśl. Rozum nie znika, ale zostaje sprowadzony do roli księgowego tego, co już wydarzyło się w afekcie. Zatwierdza. Racjonalizuje. Nie prowadzi.

Przeciwieństwem emocjocentryzmu jest stoicyzm. Stary, dobry stoicyzm — nie jako filozofia akademicka, lecz jako konkretna postawa wobec własnego umysłu. Marek Aureliusz, Epiktet, Seneka — wszyscy trzej uczyli tego samego: że emocje są zjawiskami naturalnymi, ale nie są wyrokami. Że między bodźcem a reakcją istnieje przestrzeń, w której działa rozum — i że właśnie ta przestrzeń odróżnia człowieka wolnego od człowieka sterowanego. Epiktet, który sam był niewolnikiem, wiedział coś, czego nie wiedzą użytkownicy mediów społecznościowych: że wolność nie zaczyna się od zmiany zewnętrznych warunków, lecz od zapanowania nad własną odpowiedzią na te warunki.

Emocjocentryzm jest dokładną odwrotnością tego ideału. To nie jest filozofia — to jest odruch. Mało rozumu, dużo emocji. Impuls zamiast namysłu. Afekt zamiast oceny. I właśnie dlatego emocjocentryzm jest tak cenny dla cywilizacji obrazu: zamienia ludzką psychikę w system natychmiastowej reakcji. Złość przyspiesza obieg informacji. Podziw przykleja uwagę. Zazdrość robi z człowieka materiał podatny na formowanie. Strach otwiera go jak drzwi bez zamka. Nie trzeba już przekonywać. Wystarczy pobudzić.

Stoik by się nie dał. Nie dlatego, że nie czuje. Dlatego, że nie myli czucia z myśleniem.

CZĘŚĆ IV

NARZĘDZIA DO CZYTANIA ŚWIATA

Rozdział 12

Trzy kolory: UPADEK

Konflikt, agresja, przemoc — czym się różnią.

„Wolność, równość, braterstwo albo śmierć;
tę ostatnią daje się najłatwiej, o gilotyno!”
— Charles Dickens, Opowieść o dwóch miastach

Władza w Polsce zamieniła siłę argumentu na argument siły.

Ale nie to jest najsmutniejsze. Najsmutniejsze jest to, że się do tego przyzwyczailiśmy. Że uznaliśmy to za standard. Że dzisiaj, kiedy ktoś zamiast odpowiedzi dostaje pałkę albo krzywdzące pismo z pieczątką, pierwsza myśl nie brzmi: to jest bezprawie — tylko: no cóż, tak to już działa.

Przyzwyczajenie to nie jest neutralny stan. Przyzwyczajenie to jest zgoda. Cicha, może wstydliwa, może nieświadoma — ale zgoda. I właśnie na tej zgodzie system patologiczny buduje swoje fundamenty trwalej niż na jakiejkolwiek ustawie. Bo ustawa może być zmieniona. Przyzwyczajenie — znacznie trudniej odzwyczaić.

Kieślowski nakręcił trylogię o ideałach. Niebieski — wolność. Biały — równość. Czerwony — braterstwo. Trzy barwy z francuskiej rewolucji. Trzy obietnice, które Europa złożyła samej sobie po wiekach tyranii.

Ale ideały mają jedną wadę — świetnie wyglądają na sztandarach, dużo gorzej w rękach ludzi. Forma zostaje. Treść potrafi zniknąć. I właśnie wtedy zaczyna się upadek.

W analizowanym modelu upadku standardów instytucjonalnych, trzy kolory symbolizują kolejne etapy degradacji:

Najpierw kolor niebieski i uderzenie jako komunikat. Nie emocja, nie chwilowy wybór. Decyzja. Policjant, który reaguje na nagranie jak na zapalnik, nie traci głowy ze złości. On komunikuje porządek: kto tu ustala zasady i co się dzieje z kimś, kto je kwestionuje. Agresja otwarta. Hierarchiczna. Z licencją instytucji.

Potem pojawia się czerwień — ale nie ta z rewolucyjnej obietnicy, tylko ta z prokuratorskiego żabotu. Agresja chłodna. Cisza zamiast krzyku. Człowiek, który nie musi podnosić głosu, bo system stoi po jego stronie jeszcze zanim zacznie mówić. Wystarczy lekko przesunąć akta, zgubić termin, wysłać dwukrotnie fikcyjne listy pod znaną mu nieobecność, zmienić akcent w zdaniu, pominąć albo dodać słowo. Tak, żeby ofiara wyglądała na problem, a problem wyglądał na procedurę.

Na końcu wchodzi czerń. Toga sędziowska. Przemoc proceduralna — najbardziej elegancka ze wszystkich form przemocy. Taka, która nie łamie kości, tylko poczucie sensu. Nie zostawia siniaków. Zostawia wątpliwości. Człowiek wychodzi z sali i zaczyna się zastanawiać, czy w ogóle miał prawo czuć się skrzywdzony.

Trzy środowiska. Trzy rytmy. Trzy sposoby zadawania krzywdy.

I za każdym razem działa ten sam mechanizm: ofiara jako problem, sprawca jako profesjonalista, instytucja jako tarcza.

Żeby to zobaczyć, trzeba najpierw rozdzielić trzy rzeczy, które ludzie stale mylą, a które, funkcjonując we współczesnej płynnej rzeczywistości, musimy się nauczyć rozpoznawać.

—

Konflikt jest naturalny. Dwoje ludzi chce czegoś innego. Pracownik chce podwyżki, firma chce ciąć koszty. Obywatel chce przejrzystości, urząd chce świętego spokoju. Konflikt nie potrzebuje nienawiści. Wystarczy różnica interesów. Zdrowe społeczeństwa nie eliminują konfliktów — tworzą sposoby ich rozwiązywania. Bo konflikty, kiedy są zdrowo regulowane i opierają się na kompromisach, nie na agresji, to często pchają świat do przodu.

Agresja zaczyna się wtedy, gdy jedna strona przestaje walczyć o rozwiązanie problemu, a zaczyna walczyć przeciw człowiekowi. Nie chodzi już o rację. Chodzi o zadanie bólu. Upokorzenie. Złamanie. Czasem pięścią. Czasem słowem. Czasem procedurą.

Przemoc pojawia się wtedy, gdy agresja dostaje przewagę siły — fizycznej, informacyjnej, instytucjonalnej. Takiej, której druga strona nie może już uczciwie zrównoważyć.

Konflikt mówi: chcemy czegoś innego.

Agresja mówi: chcę cię zranić.

Przemoc mówi: mogę Cię skrzywdzić i nic mi za to nie grozi.

Rozróżnienie między konfliktem, agresją a przemocą ma kluczowe znaczenie dla zrozumienia strategii systemów ponerogennych. System taki dąży do patologizacji naturalnych konfliktów społecznych, jednocześnie normalizując agresję instrumentalną funkcjonariuszy. Kluczowym mechanizmem jest tu „relatywizacja winy" — technika polegająca na przesunięciu uwagi organów kontrolnych z bezprawnego działania sprawcy na emocjonalną reakcję ofiary, co sprzyja rozmyciu odpowiedzialności.

Psychologia rozróżnia dwa główne rodzaje agresji.

Pierwszy jest gorący — impulsywny, reaktywny, wybuchowy. Często rodzi się z frustracji, bólu, strachu albo upokorzenia. Jest widoczny, dlatego społeczeństwo nauczyło się go stosunkowo dobrze rozpoznawać i ograniczać.

Drugi rodzaj jest znacznie groźniejszy.

To agresja chłodna. Instrumentalna. Spokojna. Tzw. agresja proaktywna. Nie wybucha — kalkuluje. Nie szuka ulgi emocjonalnej. Szuka efektu. Ciszy. Posłuszeństwa. Awansu.

Taki człowiek nie podnosi głosu, bo nie musi. Potrafi skrzywdzić drugiego człowieka z uprzejmym półuśmiechem na twarzy. I właśnie ten typ agresji wyjątkowo dobrze odnajduje się w strukturach władzy.

Bo człowiek spokojny wygląda rozsądnie. Profesjonalnie. Nawet wtedy, gdy spokojnie robi rzeczy potworne.

Tu pojawia się jeden z najbardziej niebezpiecznych paradoksów nowoczesnych społeczeństw: chłód zaczyna uchodzić za kompetencję, a brak emocji za siłę charakteru. Ofiara reagująca bólem wygląda gorzej niż sprawca z kamienną twarzą.

I wtedy dochodzi do odwrócenia porządku: reakcja ofiary staje się dowodem przeciwko niej, a chłód sprawcy zaczyna uchodzić za profesjonalizm.

—

To odwrócenie nie wzięło się znikąd.

Przez wieki otwarta agresja stawała się coraz mniej opłacalna. Jawna przemoc zostawia ślady. Rodzi chaos. Wymaga siły i ryzyka.

Dlatego najbardziej skuteczne formy dominacji ewoluowały w stronę czegoś subtelniejszego.

Nie trzeba już bić człowieka, żeby go złamać. Czasem wystarczy go ignorować. Ośmieszyć. Zmęczyć procedurą. Drobna uszczypliwość przedstawiona jako żart. Pominięcie ważnej informacji. Lekceważący półuśmiech.

Formalnie nic się nie wydarzyło. Psychologicznie — właśnie zaczęło się ustawianie dominacji.

Najgroźniejsza przemoc to ta, której trudno nadać nazwę. Taka, po której człowiek wraca do domu i przez pół nocy zastanawia się, czy naprawdę został skrzywdzony, czy może tylko źle odebrał sytuację.

W zdrowym systemie agresja reaktywna jest piętnowana, a kontrola emocji nagradzana — i słusznie. Problem zaczyna się wtedy, gdy ten sam mechanizm obraca się przeciwko wspólnocie. Zimna, planowa agresja zaczyna być odczytywana jako siła, skuteczność i cecha twardego człowieka.

System nie zawsze tworzy potwory. Ale bardzo często nagradza ludzi, którzy potrafią żyć cudzym kosztem bez poczucia winy.

Za wybuch agresji reaktywnej człowiek często odsiaduje długie wyroki, jest piętnowany czy naraża się na ostracyzm. Wychodzi z zakładu karnego, z przeszłością i bez przyszłości, z wyrzutami sumienia, choć wyrzuty sumienia miał już najczęściej zaraz po ochłonięciu. Bo gorąca agresja — widoczna, głupia, ludzka — ma przynajmniej tę zaletę, że jej autor zwykle wie, że przekroczył granicę. Agresję proaktywną, bardziej szkodliwą społecznie, dopiero uczymy się rozpoznawać. Niestety systemy prawne są w tym miejscu ślepe.

Za wieloletnie praktykowanie agresji instrumentalnej urzędnik dostaje awans. Bo środowisko widzi w nim człowieka skutecznego.

I tu nauka mówi coś niepokojącego. Erin Buckels wykazała w kontrolowanych badaniach laboratoryjnych, że osoby z cechami sadystycznymi są gotowe włożyć dodatkowy wysiłek wyłącznie po to, żeby sprawić ból innej osobie. Nie z powodu gniewu. Nie z konieczności. Z przyjemności. Paulhus i Williams, opisując ciemną triadę osobowości — narcyzm, makiawelizm i psychopatię — pokazali z kolei, że te cechy nie tylko nie eliminują człowieka ze struktur społecznych. W pewnych środowiskach go awansują. Narcyz wygląda jak urodzony lider. Makiawelista wygląda jak strateg. Psychopata wygląda jak ktoś, kto nie panikuje pod presją.

Skuteczne zadawanie cierpienia nie jest dla niektórych kosztem — jest nagrodą.

Tam rodzi się przyszły mechanizm przemocy, opisany w rozdziale o fazie dysymulatywnej.

Bo człowiek, który nauczył się, że chłodna agresja daje przewagę bez konsekwencji, zabiera tę lekcję dalej — do szkoły, firmy, urzędu, policji, prokuratury, sądu. A kiedy dostanie stanowisko i ochronę instytucji, jego charakter przestaje być prywatnym problemem. Zaczyna wpływać na cudze życie.

Zanim dojdzie do ostatecznego ciosu, niemal zawsze pojawia się jeden etap wcześniej: odczłowieczanie. Ofiara zostaje opisana jako trudna, problematyczna, nadwrażliwa. Potem łatwiej ją usunąć. I nikt nie czuje się winny. Bo przecież wszyscy to widzieli. Bo przecież ona sama była problemem. Więcej o tym w rozdziale o poneryzacji języka.

To nie jest mechanizm wielkich reżimów. To jest mechanizm zebrań działów, korytarzowych szeptów i uprzejmych półuśmiechów. Wielkie zbrodnie historii zaczynały się dokładnie tam.

—

Łobaczewski miał rację, twierdząc, że z patologicznym systemem nie wygrywa się samą odwagą. Najpierw trzeba nauczyć się widzieć.

Zobaczyć, kiedy konflikt zamienia się w agresję.

Zobaczyć, kiedy agresja dostaje ochronę instytucji i staje się przemocą.

Zobaczyć, kiedy opanowanie jest maską, a nie charakterem.

I wiedzieć jedno zdanie, które rozbija jeden z klasycznych trików patologicznego systemu: to nie był symetryczny konflikt. Tu była przemoc. Postawione precyzyjnie, niszczy narrację o tym, że oboje byliście agresywni.

Izolacja jest strategią agresora. Wspólnota — strategią przetrwania. Zapis zdarzeń odbiera agresorowi jego ulubioną broń: przekonanie ofiary, że to, co pamięta, jej się tylko wydawało.

Mundur, czerwony żabot i czarna toga sędziowska to często tylko różne kostiumy tego samego mechanizmu.

Zmienia się język.

Zmienia się ton.

Zmienia się dekoracja.

Ale sens pozostaje ten sam: ofiara ma milczeć, a sprawca ma wyglądać na człowieka rozsądku.

Kieślowski nakręcił trylogię o ideałach. Ja opisuję moment, w którym ideały zostają już tylko dekoracją. Jest to pierwszy rozdział pomagający rozpoznawać i oceniać stopień patologii.

Każdy z tych trzech kolorów zobaczysz jeszcze raz w Części V — już nie jako model, tylko jako praktykę.

Niebieski. Czerwony. Czarny.

Wolność, równość… I śmierć

Śmierć domniemania niewinności.

Rozdział 13

Vide cui fide

czyli jak rozpoznać, czy system już klęczy

To, że miliony dzielą te same formy patologii psychicznej,
nie czyni ich zdrowymi.
Erich Fromm

I. ZŁO NIE PUKA DO DRZWI

Pierwszą oznaką, że system już klęczy, jest dysymulacja: zło systemowe chowa się za procedurami. Wprowadza je sukcesywnie, a nie przez gwałtowny przewrót, i uzasadnia „troską" lub „koniecznością", choć w rzeczywistości ograniczają one autonomię jednostki. Pierwszym sukcesem patologii jest zmuszenie ofiary do wejścia w rolę „tłumaczącego się", co automatycznie stawia ją w pozycji niższej w hierarchii proceduralnej.

Proces poneryzacji struktur opiera się na mikro-selekcji. Poprzez system drobnych nagród za konformizm i kar za niezależność, struktura dokonuje wymiany elit na jednostki pozbawione kręgosłupa etycznego. Gnicie instytucji od środka jest procesem liniowym: od przesunięcia normy obyczajowej do całkowitej korozji standardów prawnych.

Tak właśnie zaczyna się gnicie od środka. Nie od wybuchu. Od przesunięcia normy, niczym delikatne uchylenie okna.

Najpierw znika jasność. Potem znika odpowiedzialność. Następnie znika sens. W końcu znika język, którym można by to wszystko nazwać. To jest stara sztuczka zła: zdezintegrować rzeczywistość, zanim człowiek zdąży ją uchwycić. Dlatego w środowisku patologicznym tyle jest mowy okrężnej, „nieporozumień", „procedur", „wyjaśnień", „interpretacji" i „koniecznych działań". Im mniej treści, tym więcej formy. Im mniej prawdy, tym więcej opakowania.

Człowiek prosty często przegrywa nie dlatego, że jest słaby — lecz dlatego, że ma za dużo wiary w normalność. Zakłada, że skoro istnieje instytucja, to musi istnieć też choćby minimalna uczciwość. Tymczasem patologia potrafi żyć właśnie w takich miejscach. Wystarczy, że będzie premiować posłuszeństwo i karać samodzielność. Wtedy system zaczyna sam produkować swoich obrońców. Brudnych, ale lojalnych. Pustych, ale pewnych siebie. Skutecznych w niszczeniu wszystkiego, co choćby przypomina człowieczeństwo.

II. TRZY SYGNAŁY, KTÓRYCH NIE WOLNO PRZEGAPIĆ

Sygnał pierwszy: kompetencja przestaje mieć znaczenie.

Wystarczy patrzeć, kto awansuje. Jeśli awansuje nie ten, kto ma rację — lecz ten, kto potrafi milczeć, zgadzać się i nie przeszkadzać — sprawa jest jasna. Selekcja negatywna robi resztę. Dobry fachowiec staje się niewygodny. Człowiek z kręgosłupem staje się ryzykiem. Człowiek bez kręgosłupa staje się „odpowiednią osobą". Coś jak bohaterowie pierwszych trzech rozdziałów.

Sygnał drugi: fakty zaczynają mieć dwie strony.

W normalnym świecie dwa plus dwa to cztery. W chorym świecie to „zależy od interpretacji". Każde konkretne pytanie dostaje mglistą odpowiedź. Każda prosta sprawa wymaga „kontekstu". Im bardziej coś chcesz przycisnąć — tym bardziej się rozlewa. Ustalenie staje się „nieprecyzyjne". Odpowiedź staje się „tymczasowa". Wina staje się „złożona". Każdy, kto chce prostego zdania, zaczyna być problemem. A przecież prostota nie jest wrogiem złożoności. Jest wrogiem manipulacji.

Sygnał trzeci: prawda zaczyna boleć.

Nie zawsze od razu i jawnie. Czasem wystarczy chłód. Pominięcie w mailu. Szyderczy uśmiech w połowie zdania. Człowiek zaczyna się uczyć, że bezpieczniej jest nie mówić. I właśnie wtedy układ osiąga swój cel — nie musi już wszystkich przekonywać. Wystarczy, że nauczy większość ostrożności.

„Patokracja nie potrzebuje, by wszyscy wierzyli w kłamstwo.
Wystarczy jej, że większość przestanie wierzyć w możliwość mówienia
prawdy bez kosztu."

To jest moment krytyczny. Od tej chwili ludzie nie są już wolni — tylko zarządzani przez strach.

III. FAŁSZYWE POCZUCIE WINY — PUŁAPKA DLA UCZCIWYCH

Człowiek uczciwy ma w sobie odruch samokontroli. Kiedy coś idzie nie tak, najpierw szuka błędu w sobie. Pyta: czy nie za ostro? Czy nie za wcześnie? Czy może źle zrozumiałem? To bardzo ludzka cecha. Ale przeciwko patologii bywa niebezpieczna.

Bo można spędzić lata na poprawianiu siebie tam, gdzie problemem od początku był układ.

Rozpoznanie patokracji ma więc jeszcze jedną, niedocenianą wartość: odcina fałszywe poczucie winy. Kiedy człowiek przestaje szukać błędu w sobie i zaczyna widzieć mechanizm — odzyskuje orientację. A orientacja to już połowa obrony.

Trzeba umieć powiedzieć sobie uczciwie: nie wszystko, co mnie rani, jest moją winą. Czasem po prostu wszedłem w kontakt z czymś chorym.

IV. PATOKRACJA BEZ MUNDURU — MIKRO-SKALA

Nie czekaj na wielki system, żeby go rozpoznać. Patokracja nie ogranicza się do państwa, urzędu ani korporacji. Ona działa też w małej grupce. W paczce znajomych. W środowisku hobbystycznym. W nieformalnym „pudełku", gdzie nie ma pieczęci, nie ma podpisów, nie ma przepisów — ale jest nacisk, plotka, rola, hierarchia i kara za niezależność.

Tam też działa to samo. Tylko ciszej.

W mikro-skali patologia nie potrzebuje paragrafów. Wystarczy jej klimat. Wystarczy, że nie wolno mówić wprost. Wystarczy, że plotka ma większą wagę niż rozmowa w oczy. Wystarczy, że ktoś jest nietykalny, a inny może być wycięty bez konsekwencji. Wystarczy, że przynależność jest ważniejsza niż charakter.

I dlatego mała grupa bywa równie groźna dla jednostki jak wielka instytucja. W instytucji widać strukturę. W pudełku widać twarze. A twarz potrafi oszukać skuteczniej niż pieczęć. Człowiek ma odruch zaufania do bliskości. Patologia ten odruch wykorzystuje. Podszywa się pod towarzyskość, serdeczność, lojalność, wspólnotę. A potem używa tego samego ciepła do nacisku.

To jest jeden z jej ulubionych chwytów.

V. TEST ROZPOZNANIA

Warto mieć na uwadze, że test jest swego rodzaju kompasem, a nie narzędziem diagnostycznym.

Odpowiadaj bez upiększania.

Zamiast kolejnego opisu — narzędzie. Poniższe pytania nie są diagnozą kliniczną; są kompasem. Czymś, co można przyłożyć do własnej sytuacji i sprawdzić kierunek.

Każde pytanie oceniaj tak:

0 — nie / prawie nigdy

1 — czasami / częściowo

2 — tak / często / wyraźnie

TEST ROZPOZNANIA — SKALA MAKRO

Dotyczy instytucji, firmy, urzędu, organizacji, środowiska formalnego.

Czy bardziej opłaca się mówić prawdę, czy grać pod układ?

Czy zasady są stałe, czy zmieniają się zależnie od tego, kto pyta?

Czy odpowiedzialność jest jasna, czy rozmywa się w „systemie"?

Czy kompetencja jest nagradzana, czy ważniejsza jest lojalność?

Czy można bezpiecznie zgłosić błąd, czy lepiej milczeć?

Czy dokument i procedura mają większą wagę niż plotka i nacisk?

Czy po kontakcie z tym środowiskiem człowiek czuje większą jasność, czy większe zagubienie?

Czy krytyka jest tolerowana, czy natychmiast karana?

Czy prawda porządkuje rzeczywistość, czy staje się problemem?

Czy system używa mechanizmu korekty, czy stosuje głównie mechanizm obrony siebie?

Interpretacja skali makro

0–4 — środowisko raczej zdrowe.

5–8 — zaczynają się mechanizmy nacisku i gry pozorów.

9–14 — środowisko wyraźnie toksyczne. Warto zwiększyć dystans i zbierać fakty.

15–20 — środowisko silnie patologiczne. Mechanizm obrony siebie dominuje nad prawdą.

VI. TEST ROZPOZNANIA — SKALA MIKRO

Tu nie chodzi o dokumenty ani formalne procedury.

Chodzi o to, jak grupa działa naprawdę: przez bliskość, nacisk, klimat i kontrolę emocjonalną.

Czy w grupie można mówić wprost bez obawy o karę społeczną?

Czy zasady obowiązują wszystkich tak samo?

Czy ktoś pilnuje klimatu przez zawstydzanie, ignorowanie, chłód albo wykluczanie?

Czy plotka ma większą siłę niż bezpośrednia rozmowa?

Czy niezależność jest karana milczeniem, dystansem albo utratą sympatii?

Czy lider albo centrum grupy jest w praktyce nietykalne?

Czy ważniejsze jest bycie „swoim" niż bycie uczciwym?

Czy ktoś steruje innymi przez poczucie winy?

Czy lojalność jest wymagana, choć nie mówi się o tym wprost?

Czy odmienne zdanie jest traktowane jako atak, a nie jako różnica poglądów?

Czy ktoś buduje pozycję przez upokarzanie ludzi będących w opozycji?

Czy po kontakcie z grupą człowiek czuje spokój, czy raczej napięcie i obciążenie?

Interpretacja skali mikro

0–4 — środowisko raczej zdrowe, choć nieidealne.

5–9 — pojawiają się pierwsze mechanizmy nacisku i gry pozorów.

10–15 — środowisko wyraźnie toksyczne. Warto ograniczyć kontakt i patrzeć na fakty, nie deklaracje.

16–24 — wysoki poziom presji i kontroli relacyjnej. Środowisko destrukcyjne.

Wynik końcowy

Jeśli wysoko wypada skala makro, problem leży głównie w instytucji, strukturze lub procedurze.

Jeśli wysoko wypada skala mikro, problem leży głównie w grupie, relacjach i lokalnym układzie sił.

Jeśli obie skale są wysokie, masz do czynienia nie z przypadkowym napięciem, ale z utrwalonym mechanizmem patologii.

VII. JAK SIĘ BRONIĆ — BEZ WIELKIEJ WOJNY

Nie ma tu recepty na heroiczny bój z całym systemem. Kowalski tej wojny nie wygra frontalnie. Ale Kowalski może nie dać się zmielić. I to jest cel możliwy.

Zapisuj.

Daty, fakty, kto co powiedział, kiedy i przy kim. W chorym układzie dokument jest kotwicą — bo układ żyje z rozmywania rzeczywistości, a zapis temu przeszkadza. Nie musi to być wielki akt. Wystarczy wiadomość do siebie samego z datą i treścią rozmowy.

Nie tłumacz się więcej niż raz.

Jeśli wyjaśniłeś sprawę uczciwie i jasno — twój obowiązek się skończył. Dalsze tłumaczenie to już gra na ich boisku. Nie graj jej.

Szukaj jednego człowieka, który widzi to samo.

Nie armii. Jednego. Sojusznik w normalności nie musi działać — wystarczy, że istnieje.

Nie walcz o wrażenie.

System chętnie wciągnie cię w teatr emocji, gdzie bronisz swojego obrazu zamiast faktów. Skoro już walczysz — walcz o stan rzeczy, nie o to, żeby dobrze wyglądać. Zamiast stanu rzeczy można walczyć o nastroje. Zamiast prawdy — o wrażenie. Zamiast wyniku — o prestiż. To gra zastępcza i przegrać ją można nawet mając rację.

Nazywaj rzeczy po imieniu — chociaż tylko dla siebie.

Bo kiedy w głowie masz nazwę na to, co się dzieje — przestajesz być ofiarą chaosu. Zaczynasz być człowiekiem zorientowanym w temacie.

Kiedy zło zostaje nazwane, traci część swojej władzy.
A kiedy człowiek przestaje się go wstydzić, zaczyna odzyskiwać siebie.

Rozpoznanie nie jest końcem drogi. Jest jej początkiem. Bo nie można bronić się przed czymś, czego nie widać. Nie można nazwać czegoś, na co nie ma się słów. I nie można zachować godności w układzie, który robi wszystko, żeby człowiek w tę godność przestał wierzyć.

Vide cui fide — patrz, komu ufasz. Bo to jest pytanie, które system woli, żebyś go sobie nigdy nie zadał.

CZĘŚĆ V

PRAKTYKA PATOLOGII APARATU REPRESJI, CZYLI SOSNOWIECKA KAW(F)KA Z ORWELLEM

Do tej pory były modele, mechanizmy i narzędzia. Teraz będzie człowiek.

Rozdział pierwszy pokazał, jak upada zdrowy organizm. Powoli, od środka, wtedy, gdy ster przejmują ludzie, którzy nie powinni go trzymać. Kolejne rozdziały pokazały, jak takich ludzi rozpoznawać, jak wyglądają instytucje przez nich zakażone i jak to wszystko czytać. Ta część pokazuje, że oni nie są teorią. Oni żyją. Noszą mundury, żaboty i togi. I niszczą to, co z założenia mieli chronić.

Nie dlatego, że ból jest ważniejszy od teorii. Dlatego, że teoria bez doświadczenia zna nazwy rzeczy, ale nie zna ich ciężaru. Zrozumieć mechanizm zła systemowego można z podręcznika. Poczuć jego ciężar — wyłącznie przez własną skórę.

W tej części teoria przestaje być teorią. Jest sekwencja, która nie potrzebuje teorii, żeby boleć: bicie, prokuratura, sala sądowa. Jest też Kafka w praktyce — bo każdy, kto zetknął się z aparatem represji, wie, co znaczy „Proces". Postępowanie, które formalnie szuka prawdy, a strukturalnie — chroni siebie. Jest Orwell — bo równi i równiejsi nie są tylko literacką metaforą. Instytucja, która z ofiary stara się zrobić sprawcę, nie zawsze potrzebuje Napoleona przy korycie. Wystarczy jej odpowiednio prowadzone postępowanie.

Trzy poziomy. Trzy odsłony. Trzy rozdziały.

Jedna polska rzeczywistość.

Rozdział 14

Ponerogenny romb Adlera

Czyli dlaczego nosisz mundur niebieski

„Najniebezpieczniejszy jest człowiek ze słabą głową, małym sercem i wielką pychą.”
Bolesław Prus

Niemal każdy człowiek zetknął się w swoim życiu z sytuacją, w której przyszło mu rozmawiać z władzą — nie z tą, której fundamentem jest odpowiedzialność wobec społeczeństwa, lecz z jej zwyrodniałą formą: władzą wyrastającą nie ze służby, ale z potrzeby dominacji i psychologicznej przewagi nad drugim człowiekiem.

Takie doświadczenia spotykały mnie w życiu wielokrotnie. Poniższy przypadek stanowi studium procesów ponerogennych w mikroskali. Ilustruje on mechanizm, w którym brak wewnętrznych hamulców etycznych u funkcjonariusza publicznego, w połączeniu z instytucjonalnym przyzwoleniem, prowadzi do eskalacji przemocy i zawieszenia standardów demokratycznego państwa prawa.

Wczesnym popołudniem 25 czerwca 2025 roku wracałem ze sklepu. Zatrzymałem się, żeby porozmawiać ze znajomymi. Jako człowiek, który znaczną część życia spędza w dalekich podróżach, rzadko mam okazję do takich spontanicznych spotkań z przyjaciółmi z podstawówki. Zeszliśmy z chodnika pod drzewko. Jeden z kolegów trzymał w dłoni jakiś napój — nic nadzwyczajnego w ciepły czerwcowy dzień.

Zza rogu wyłonili się dwaj funkcjonariusze — zachowanie, które retrospektywnie trudno odczytać inaczej niż jako zaplanowaną interwencję. Po czasie dowiedziałem się, że stanęliśmy nie pod tym drzewem (sic). Zjawisko to obnaża istotną cechę systemów patokratycznych: nieprzewidywalność normatywną. Obywatel traci zdolność do prognozowania, które zachowania (np. przebywanie w przestrzeni publicznej) zostaną zakwalifikowane przez aparat kontroli

jako naruszenie porządku, co generuje stan permanentnej niepewności prawnej.

Kolega, nie namyślając się długo, rzucił się do ucieczki z owym napojem, którego spożywanie w miejscu publicznym w Polsce jest uznane za nielegalne. Napojem tym okazał się drink mający 4% alkoholu. Funkcjonariusze ruszyli za nim, ignorując mnie i drugiego znajomego. Schwytali go kilka metrów dalej, a chwilę później zaczęli przeszukiwać mu kieszenie, a jest to ponad czterdziestoletni lokalny przedsiębiorca, duży podatnik i pracodawca. Scena była co najmniej nienaturalna. Ale mnie uderzyła również z innego powodu.

Jestem gemmologiem i kolekcjonerem ultrarzadkich minerałów. Przez lata gromadziłem okazy, o których większość ludzi nie ma pojęcia. Painit wygląda jak nic — niepozorny, ciemny kamień, który, jak jest nieoszlifowany, można wziąć za odłamek z bruku. Kosztuje fortunę. Żaden policjant tego nie odróżni i żaden funkcjonariusz nie ma prawa sięgać do cudzej kieszeni bez podstawy prawnej — niezależnie od tego, co tam jest. Mieszkam głównie w krajach, które Zachód z lekceważeniem określa „trzecim światem” — i wiem, że nawet tam podobne działania są postrzegane jako przekroczenie dopuszczalnych granic. Jak się później dowiedziałem, w sosnowieckiej policji ten proceder jest standardem od wielu lat.

Zacząłem nagrywać. Poinformowałem funkcjonariuszy, że są nagrywani i że ich działania mogą być niezgodne z prawem. Powołałem się na przepisy i autorytet prokuratora.

Jeden zachował spokój i jak każdy zdrowy człowiek uznał legalność nagrywania za coś normalnego. Drugi zareagował inaczej — informacja o nagrywaniu podziałała na niego jak zapalnik. To, co nastąpiło, można by nazwać mundurową furią. Najpierw agresja słowna, potem fizyczna. Obaj zaatakowali wspólnie, choć tym drugim w mojej ocenie kierowała lojalność wobec agresywnego kolegi: bicie, duszenie, użycie siły dalece wykraczającej poza jakiekolwiek standardy interwencji, zabranie i wyłączenie telefonu. Efektem było nie tylko obezwładnienie, ale uszkodzenie w obrębie jamy brzusznej — niezdiagnozowane do dziś, choć skarżyłem się na silny ból już podczas transportu. Następnie odprowadzono mnie do radiowozu oraz wyłączono mój telefon. Cel był oczywisty.

Okazało się jednak, że społeczny odbiór sytuacji był dla nich mniej komfortowy, niż zakładali. Spora grupa przechodniów stanęła w mojej obronie. Korzystając z okazji zabrałem swój telefon z przedniego siedzenia i zacząłem ponownie nagrywać, ale ponownie policja wyrwała

mi mój telefon z ręki. Nagrania na szczęście przetrwały na telefonie, a dzięki interwencji okolicznych mieszkańców istnieje również dodatkowy materiał filmowy od przechodnia, którego skasowania zażądano od przypadkowego świadka. Żądanie skasowania nagrania świadka wskazuje na próbę usunięcia dowodów — próbę, która się nie powiodła.

W radiowozie usłyszałem, że rzekomo przeklinałem. Zaproponowano mi mandat — sto złotych. Propozycja mandatu w sytuacji jawnego naruszenia nietykalności cielesnej obywatela stanowi próbę proceduralnej legalizacji nadużycia. Odmowa przyjęcia mandatu przenosi spór na poziom ustrojowy, gdzie instytucja — zamiast mechanizmu autokorekty — uruchamia procedury obronne, co stanowi element nacisku psychofizycznego.

Przewieziono mnie na Komisariat Policji nr 3 w Sosnowcu — miejsce, którego reputacja w zakresie traktowania obywateli od dawna budzi uzasadnione zastrzeżenia. Odmówiłem na miejscu jakiejkolwiek współpracy z istotami, których działania uznałem za bezprawne. W odpowiedzi odmówiono mi pomocy medycznej, mimo wyraźnego bólu pod lewym żebrem.

Podczas przetrzymywania, które było w mojej ocenie próbą zmiękczenia mnie za pomocą bólu i zdecydowania się na mandat, jeden z funkcjonariuszy oznajmił:

— Ja jestem władza. Jak nie potrafisz funkcjonować w pionie, to my ci pomożemy się ustawić.

Zapytałem, czy rozumie, co właśnie powiedział.

Odpowiedział, że może mi to zaraz pokazać.

Wypowiedzi funkcjonariusza dotyczące „ustawiania" obywatela stanowią werbalizację patologicznego rozumienia władzy jako narzędzia tresury społecznej. Z perspektywy analitycznej świadczy to o całkowitym wyparciu etosu służby na rzecz prymitywnego instynktu dominacji, co jest typowe dla końcowych faz poneryzacji struktur mundurowych, gdzie zdolność do pojmowania argumentu ustępuje miejsca automatyzmowi reakcji.

Spróbowałem jednak wyjaśnić źródło jego własnych słów. Myśl o prostowaniu siebie ma korzenie nie w brutalności, lecz w filozofii stoickiej — konkretnie w Rozmyślaniach Marka Aureliusza (VII, 12). To wezwanie do samokontroli, nie do podporządkowania. Psychologicznie: kontrolujesz siebie albo będziesz kontrolowany. Moralnie: działasz zgodnie z zasadami albo rzeczywistość skoryguje cię

konsekwencjami. Egzystencjalnie: albo autonomia umysłu, albo heteronomia. Najprościej: nie ogarniasz siebie — ogarnie cię życie.

Marek Aureliusz pisał o dyscyplinie ducha, nie o przemocy aparatu państwowego. Wypaczenie idei niestety zawsze prowadzi do wynaturzenia.

Blaise Pascal zauważył kiedyś, że mundur jest przekonującym argumentem. Miał poniekąd rację — tylko że nie o tym rodzaju przekonywania pisał Marek Aureliusz.

Reakcja: wyśmiali mnie. Oni mają telewizory. Książek czytać nie będą.

Leżąc później na pogotowiu, myślałem o tym, co tymi ludźmi w ogóle kieruje. Nie logika. Nie etos służby. Nie idea. Coraz wyraźniej widziałem mechanizmy kompensacyjne — odreagowywanie własnych deficytów, krzywd i upokorzeń przez instytucjonalnie usankcjonowaną przewagę nad słabszymi, którzy chcąc, nie chcąc muszą płacić podatki, aby ich utrzymywać. Na poziomie jednostkowym oznacza to zniszczone zdrowie i czas konkretnych ludzi. Na poziomie systemowym — coś znacznie poważniejszego.

Tacy ludzie awansują. Rekrutują podobnych sobie. Odtwarzają struktury oparte nie na kompetencji, lecz na psychologicznej deformacji. W ten sposób aparat państwowy przestaje być narzędziem cywilizacji, a zaczyna przypominać maszynerię odtwarzającą barbarzyństwo pod płaszczem prawa.

Funkcjonariusze, którzy mnie zatrzymali, do dziś nie mają kamer nasobnych — podstawowego narzędzia transparentności w demokratycznym państwie. Bo na pociągnięcie do jakiejkolwiek odpowiedzialności prawie rok po wydarzeniach nie ma już co liczyć. O czym zresztą będzie następny rozdział.

Właśnie dlatego chcę opisać to zjawisko szerzej: od jego psychologicznych źródeł, przez społeczne mechanizmy, którymi się reprodukuje, aż po konsekwencje, do których prowadzi, jeśli nikt go nie zatrzyma wystarczająco wcześnie.

Gdzie się to zaczyna

Zaczyna się od braku.

Nie od ideologii. Nie od programu politycznego. Nie od wielkich haseł. Zaczyna się wcześniej — w domu, w szkole, w pierwszych relacjach, w tym cichym miejscu, gdzie człowiek po raz pierwszy czuje, że jest mniejszy, słabszy, mniej ważny, mniej chroniony. Dziecko nie potrzebuje teorii. Wystarczy mu ton głosu, spojrzenie, upokorzenie, niesprawiedliwość, wyśmianie, lekceważenie. Kilka takich doświadczeń wystarczy, by świat przestał być miejscem zaufania, a stał się miejscem hierarchii.

I właśnie od tego momentu zaczyna działać mechanizm, który można opisać w dwóch językach: adlerowskim i ponerologicznym.

Używam tu słowa „ponerologiczny" szerzej niż sam Łobaczewski, który termin ten zarezerwował dla patologii systemów politycznych. W tej książce stosuję go do każdej skali — od małej grupy po państwo — bo mechanizm pozostaje ten sam. Adler dostarcza psychologii jednostki; ponerologia — opisu tego, co dzieje się, gdy ta psychologia dostaje władzę.

W ujęciu Adlera brak nie jest chorobą. Jest punktem wyjścia. Człowiek rodzi się z poczuciem niedoskonałości — z naturalnym doświadczeniem ograniczenia, które może go pchnąć ku wzrostowi. Poczucie niższości, jeśli zostanie właściwie przetworzone, staje się energią rozwoju. Człowiek nie chce już być mniejszy, więc zaczyna się uczyć. Nie chce już być słabszy, więc zaczyna budować kompetencję. Nie chce już być bezradny, więc bierze odpowiedzialność. W zdrowej wersji ten ruch prowadzi ku dojrzałości. Człowiek rośnie nie po to, by dominować, ale po to, by pełniej uczestniczyć w życiu wspólnym. Siła ma służyć integracji z innymi, a nie ich podporządkowaniu. To jest pierwszy biegun: brak jako początek drogi ku górze.

Ale ten sam mechanizm może zostać wypaczony.

Jeśli człowiek nie chce leczyć braku, tylko go ukryć — wtedy zdrowa kompensacja ustępuje miejsca jej patologicznej odmianie: nie chodzi już o wzrost, lecz o przykrycie. Nie chodzi już o to, by wzrosnąć. Chodzi o to, by nie czuć się słabym. Nie chodzi o to, by stać się pełniejszym. Chodzi o to, by stać się nietykalnym. I właśnie tutaj zaczyna się drugi biegun: żądza przewagi. Człowiek nie szuka już wartości w sobie. Szuka jej w tym, co może uzyskać nad innymi. Siła przestaje być narzędziem. Staje się środkiem znieczulającym na własny wstyd.

To jest moment, w którym adlerowski romb styka się z ponerologią.

W ujęciu ponerologicznym nie chodzi tylko o zwykłą ambicję. Chodzi o taki stan psychiczny, w którym potrzeba dominacji zostaje odcięta od empatii, sumienia i odpowiedzialności. Wtedy władza — drugi narożnik rombu — przestaje być częścią całościowego rozwoju człowieka. Zostaje wyizolowana. Odseparowana. Napompowana. I zaczyna żyć własnym życiem.

Jeden biegun stanowi brak: wstyd, upokorzenie, poczucie niższości. Drugi nie jest jeszcze samą władzą, lecz sposobem odpowiedzi na ten brak: kontrolą, wpływem, dominacją. W zdrowym człowieku między tymi biegunami istnieje droga wzrostu. Brak może zostać przetworzony w rozwój, rana w mądrość, a upokorzenie w pracę nad sobą. W układzie patologicznym ta droga zostaje przerwana. Człowiek nie idzie ku pełni, lecz ku przewadze. Nie buduje siebie, tylko pozycję. Nie przekracza własnych ograniczeń, lecz zakrywa je maską siły.

To właśnie w tym miejscu kompensacja przestaje być mechanizmem rozwoju, a zaczyna działać jako psychologiczny fundament dominacji.

Dom, szkoła, ulica — pierwsze poziomy poneryzacji

W domu ktoś rządzi przez lęk. Ojciec nie tłumaczy, tylko rozkazuje. Matka nie wspiera, tylko zawstydza. Rodzeństwo nie chroni — testuje cudzą słabość. Dziecko rośnie w atmosferze, w której nie ma rozmowy, jest tylko nacisk. Uczy się, że spokój zależy od nastroju silniejszego. Uczy się, że prawda nie ma znaczenia, jeśli po drugiej stronie stoi ktoś, kto może podnieść głos. Uczy się, że miłość bywa warunkowa, a bezpieczeństwo chwilowe.

To jest pierwszy poziom poneryzacji: codzienna szkoła hierarchii i strachu.

Potem przychodzi szkoła i zaczyna działać ten sam mechanizm, tylko w innej formie. Porażki, dyskryminacja, wyśmiewanie, izolowanie, publiczne zawstydzanie, a często i przemoc fizyczna — wszystko to może uruchomić w dziecku nie tylko ból, ale i pamięć upokorzenia. Jeśli to doświadczenie nie zostanie przepracowane, zostaje w człowieku jak zimny osad. Czasem przeradza się w zamknięcie. Czasem w chłód. Czasem w złość. A czasem w cichą przysięgę: kiedyś to ja będę po drugiej stronie.

Tu rodzi się nie tylko ambicja — rodzi się uraz. Nie chęć bycia lepszym, lecz chęć wyrównania rachunku. Człowiek nie myśli już: „chcę się rozwinąć". Myśli: „chcę, żeby świat poczuł to, co ja czułem".

W tym miejscu mechanizm adlerowski ujawnia swój mroczny rewers. Poczucie niższości nie prowadzi już do wzrostu, lecz do nadkompensacji. A kompensacja pozbawiona etycznego kierunku — błędnie ukierunkowana — nie staje się drogą samoprzezwyciężenia, tylko żądzą dominacji. Człowiek nie chce już być dobry. Chce być nietykalny.

Dlaczego mundur

Nie każdy, kto został zraniony w domu albo w szkole, pójdzie tą drogą. Wielu ludzi wybiera inną odpowiedź: pracę nad sobą, rozwój, samodyscyplinę, solidarność z innymi. Ale są tacy, u których rana nie zamienia się w mądrość — tylko w głód przewagi. I wtedy szczególnie atrakcyjne stają się środowiska, które oferują prosty skrót do dominacji.

Służby mundurowe mogą stać się szczególnie atrakcyjne dla ludzi, którzy szukają nie tyle odpowiedzialności, ile psychologicznej rekompensaty za własne poczucie słabości.

Nie dlatego, że każdy tam pracujący niesie w sobie ten mechanizm. Dlatego, że mundur, hierarchia, legalny przymus i natychmiastowa przewaga nad słabszym mogą dla człowieka z urazem stać się najkrótszą drogą do psychicznej rekompensaty. To jest moment, w którym prywatna krzywda zaczyna szukać publicznego narzędzia.

Niektórzy trafiają tam z poczucia misji. Inni — z poczucia misji pomieszanego z urazą. Jeszcze inni z cichą potrzebą zemsty. Nie zawsze nazwą to wprost. Czasem ubiorą to w słowa o porządku, dyscyplinie, bezpieczeństwie, służbie. Ale pod spodem może stać coś prostszego i mroczniejszego: chęć znalezienia się wreszcie po stronie siły. Chęć, by już nigdy nie być tym słabszym. Chęć, by tym razem to inni się bali.

Wtedy władza przestaje być narzędziem odpowiedzialności. Staje się lekarstwem na wstyd. A gdy władza staje się lekarstwem, człowiek zaczyna się od niej uzależniać. Im więcej kontroli ma, tym bardziej jej potrzebuje.

Na poziomie domu było to jedno spojrzenie, jeden rozkaz, jedno upokorzenie.

Na poziomie szkoły — system wyśmiewania i społecznej hierarchii, w której przyszły policjant najczęściej był na dnie.

Na poziomie pracy — przełożony, który myli autorytet z przemocą.

Na poziomie instytucji — porządek premiujący bezwzględność.

Na poziomie państwa — układ, w którym człowiek z raną i głodem kontroli dostaje narzędzia do wpływania na życie innych.

I wtedy patologia przestaje być prywatna. Zaczyna być organizacyjna. Potem społeczna. Na końcu polityczna. To już nie jest tylko kwestia charakteru jednostki. To jest sposób działania całego środowiska. Prawda staje się mniej ważna niż skuteczność. Człowiek mniej ważny niż procedura. Empatia mniej ważna niż wynik. A gdy taki porządek utrwali się wystarczająco długo, zaczyna wyglądać jak normalność.

I to jest największe niebezpieczeństwo.

System oparty na takim mechanizmie rzadko ogłasza się jako patologia. Zwykle występuje pod maską ładu, dyscypliny i konieczności. Z zewnątrz może wyglądać na silny. W rzeczywistości jest głodny — nie syci go nic, bo nie chodzi mu o dobro wspólne. Chodzi mu o utrzymanie przewagi. Chodzi mu o to, by rana nie została ujawniona. O to, by władza wciąż działała jak plaster na wewnętrzny wstyd.

Romb nie znika

Adler daje nadzieję: brak można przekształcić w rozwój.

Ponerologia daje ostrzeżenie: ten sam brak może zostać przekształcony w dominację.

U pierwszego człowiek może wzrosnąć mimo bólu. W drugim mechanizmie człowiek próbuje zbudować siebie na cudzym strachu.

I właśnie dlatego ten rozdział jest tak ważny. Bo mówi nie tylko o psychologii, ale o tym, jak prywatne pęknięcie potrafi stać się publiczną katastrofą. Jak rana, jeśli dostanie władzę, nie leczy już siebie — lecz zaczyna leczyć własny wstyd cudzym bólem. Jak człowiek, który kiedyś był upokorzony, może zamienić swoją krzywdę w narzędzie nacisku. Jak świat, który nie rozpozna tego na czas, zaczyna mylić siłę z przemocą, a porządek z dominacją.

Romb nie znika. On zawsze jest.

Pytanie brzmi tylko: czy brak prowadzi ku wzrostowi, czy ku zemście. Czy siła staje się odpowiedzialnością, czy tylko inną nazwą dla urazu. Czy człowiek przekracza siebie, czy tylko wspina się po innych.

I właśnie od tej odpowiedzi zaczyna się wszystko.

Artykuł 9 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka:

Nikt nie może podlegać arbitralnemu zatrzymaniu, aresztowaniu lub wygnaniu.

Przemoc fizyczna będzie pierwszym przykładem sosnowieckich doświadczeń zła systemowego. W złotej triadzie patokracji znajduje się jeszcze przemoc proceduralna i przemoc instytucjonalna, o czym będą kolejne dwa rozdziały. Najpierw jednak udam się z komisariatu na pogotowie…

Rozdział 15

Prawnicza maska Cleckleya

Czyli despoci w czerwonych żabotach

„Wszyscy widzą, kim się wydajesz;
niewielu doświadcza, kim naprawdę jesteś.”
Niccolò Machiavelli

Po wyjściu z pogotowia i obejrzeniu materiału wideo zarejestrowanego podczas zdarzenia stwierdziłem, że nie potwierdza obecności czynników prowokacyjnych (agresja słowna, wulgaryzmy) ze strony obywatela. Dokumentacja medyczna oraz nagrania stanowią obiektywną podstawę do wszczęcia procedury karnej wobec funkcjonariuszy. Formalne zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa uruchamia proces, który w teorii ma służyć ustaleniu prawdy, a w praktyce staje się poligonem dla mechanizmów obronnych systemu.

Następnego dnia przygotowałem pismo i złożyłem je w prokuraturze razem z nagraniami. Procedura ruszyła. Formalnie wszystko było na swoim miejscu. Państwo przyjęło sprawę, której rozwiązania zgodnie z aktualnie przyjętymi normami prawnymi podjął się prokurator Piotr Strama.

Ale bardzo szybko okazało się, że to tylko warstwa zewnętrzna.

Policjanci zaczęli prześladowanie ludzi, których uznali za moich znajomych — choć moimi bliskimi kolegami ci ludzie nie są. Oni po prostu stoją codziennie w okolicach sklepu, obok którego ja miałem nieszczęście przechodzić feralnego dnia, i przez to zostałem sklasyfikowany przez funkcjonariuszy jako stały bywalec okolic monopolowego. Warto tu zaznaczyć, że alkoholu nie spożywam w ogóle. Więc jedyną inspiracją do napisania pierwszych rozdziałów tej książki, pokazując, jak chory jest dzisiaj system, była właśnie ta błyskotliwa logika: idziesz koło monopolu, to jesteś jego stałym klientem. Jeden z tych ludzi dostał trzy mandaty jednego dnia, na szczęście się tym nie przejął znacząco — za picie piwa, za usiłowanie

spożycia piwa i za włóczęgostwo. Nie mam dowodu na bezpośredni związek przyczynowy między tymi mandatami a moim zgłoszeniem — odnotowuję jedynie zbieżność czasową i uznaję ją za wartą wzmianki, nie za ustalony fakt. Liczba wątpliwych mandatów w ich wykonaniu znacząco wzrosła wobec społeczności skupionej wokół sklepu, w okolicach połowy lipca — nietrudno się domyślić, że wtedy właśnie dowiedzieli się z wydziału wewnętrznego, że jest przeciwko nim zgłoszenie. Nie zmienia to faktu, że wobec żadnej istoty żywej nie wolno stosować przemocy — bez względu na to, czy stoi pod monopolowym, czy przed operą. Trzy pierwsze rozdziały są tylko pokłosiem ich decyzji, ale świetnie pokazują polskie realia: jak niezgoda na przemoc nakręca kolejną przemoc i mało tego, że system przestaje widzieć w ofierze ofiarę, zaczyna kreować go na sprawcę. Jako mieszkaniec dzielnicy, z której pochodzą dwie znane tegoroczne ofiary wypadków: poseł, który zginął wiosną, na tę chwilę potrącony przez samochód podczas jazdy rowerem. Oraz prezes lokalnej fundacji pomocowej, który zginął tragicznie kilka tygodni wcześniej w okolicznościach, które nie zostały podane do publicznej wiadomości. Pawła, założyciela fundacji imienia dobrego pasterza znałem osobiście, a którego kilka dni przed śmiercią spotkałem w… prokuraturze, w której mówił mi, że cyt.: oni chcą mnie wykończyć. Nie oceniam przyczyn jego śmierci, przytaczam to wyłącznie jako świadectwo jego własnych słów. (W czerwcu, jak wróciłem do Polski, napisałem pismo z prośbą o zabezpieczenie monitoringu z holu, w którym rozmawiałem, z być może ofiarą poważnego przestępstwa. Niestety do września nie dostałem żadnej odpowiedzi. Nagrania najpewniej przepadły, a wraz z nimi to, co Paweł na nich mówi.) Wiadomo, że ja, jak każdy człowiek, też nie chcę, żeby spadła na mnie betonowa ściana. Bo mówi się, że w takich okolicznościach przyszło Pawłowi pożegnać się z życiem.

W psychologii jednym z mechanizmów, które stosują w Polsce służby wobec ofiar, opisała w 1997 roku Jennifer Freyd i nazwała go DARVO: Deny (zaprzeczaj), Attack (atakuj), Reverse Victim and Offender (odwróć role ofiary i sprawcy). Rozwinęła ten termin o Institutional DARVO, co aktualnie w Polsce jest dość powszechnym zjawiskiem, zwłaszcza wobec ludzi siedzących niewinnie w aresztach wydobywczych. Jest to również bardzo popularne zjawisko występujące wobec ofiar przemocy ze strony policji, prokuratury czy urzędników — i jeden z tych mechanizmów, które ponerologia nazywa po imieniu właśnie po to, żeby człowiek mógł go rozpoznać, zanim wyrządzi mu pełną szkodę.

Potem przyszły wezwania. Dostałem je ja. Dostał je mój kolega. I właśnie wtedy pękła pierwsza iluzja.

Kolega powiedział jasno: podczas przesłuchania główny nacisk nie był na przemoc w wykonaniu policji, tylko na to, czy przeklinałem.

— *Nie: kto uderzył.*

— *Nie: dlaczego użyto siły.*

— *Nie: czy działania były zgodne z prawem.*

— *Tylko: czy padło słowo.*

W tym momencie staje się jasne, że śledztwo nie jest prowadzone w kierunku prawdy. Z perspektywy przebiegu postępowania sprawa sprawiała wrażenie prowadzonej bardziej w kierunku minimalizacji odpowiedzialności funkcjonariuszy niż pełnego wyjaśnienia zdarzenia.

Jak wiadomo każdemu, kto się z tym procederem zderzył, strukturalna zależność prokuratury od aparatu państwowego sprzyja zjawisku „instytucjonalnej solidarności". W sytuacjach konfliktowych na linii obywatel-służby, prokuratura wykazuje tendencję do pełnienia roli obrońcy interesu instytucjonalnego kosztem praw jednostki. W takim układzie błędy proceduralne przestają być incydentalne, a stają się narzędziem systemowej przemocy wobec ofiary.

Freyd wskazała na coś, co w tej historii jest widoczne gołym okiem: przemoc instytucjonalna jest możliwa tylko dlatego, że ofiara jest zależna od instytucji, której nie może po prostu opuścić. Nie można zrezygnować z prokuratury jak z usługi. Nie można wybrać innego sądu jak innego sklepu. Ta zależność jest strukturalna — i właśnie ona potrafi zamienić pozornie błąd czy zwykłe zaniedbanie w przemoc.

I właśnie tutaj wchodzi maska Cleckleya. Nie jako teoria. Jako praktyka.

Człowiek w tej masce nie wygląda jak ktoś niebezpieczny. Wygląda jak ktoś, komu można zaufać. Spokojny. Uprzejmy. Racjonalny. Mówi poprawnie. Zachowuje się nienagannie. Nie ma w nim nic, co na pierwszy rzut oka budziłoby sprzeciw.

Ale to tylko powierzchnia.

Maska Cleckleya polega na tym, że człowiek zachowuje pełną formę normalności, a jednocześnie jest całkowicie odłączony od jej sensu. Nie działa według tego samego układu wartości co inni. Nie odczuwa ciężaru decyzji w sposób, który zatrzymałby przeciętnego człowieka.

Dlatego może zrobić coś bardzo konkretnego:

zniszczyć sprawę — bez jednego podniesionego głosu.

On nie musi zaprzeczać faktom. Wystarczy, że je przestawi.

— *Z faktu robi pytanie.*

— *Z dowodu robi „materiał do oceny".*

— *Z ofiary robi „stronę wymagającą weryfikacji".*

— *I robi to spokojnie. Z uśmiechem.*

Zjawisko „maski Cleckleya" w relacji z organem procesowym objawia się poprzez nienaganną formę uprzejmości przy jednoczesnym emocjonalnym odcięciu od meritum sprawy. Utrzymywanie dystansu i pozornej życzliwości w obliczu ewidentnej krzywdy ofiary jest sygnałem, że rozstrzygnięcie zapadło na poziomie pozamerytorycznym. Ofiara przestaje być podmiotem ochrony prawnej, a staje się „problemem proceduralnym", który należy zneutralizować poprzez odpowiednie ukształtowanie materiału dowodowego.

Bo człowiek w masce Cleckleya nie zatrzymuje się na obronie sprawców. On potrafi odwrócić kierunek odpowiedzialności.

I robi to przy użyciu wiedzy, której przeciętny człowiek nie ma.

Wie:

– które elementy sprawy można „rozmyć",

– które dowody uznać za niewystarczające,

– które czynności pominąć, nie łamiąc formalnie procedury,

– jak prowadzić przesłuchanie, żeby zmienić ciężar relacji,

– jak napisać uzasadnienie, które wygląda logicznie, ale nie prowadzi do prawdy.

To nie jest chaos. To jest rzemiosło.

Na moim przesłuchaniu był obecny student — przyszły prokurator. Obserwował. Uczył się. Jeśli to są wartości, które instytucja przekazuje kolejnemu pokoleniu, oczekiwanie systemowej zmiany w perspektywie jednego pokolenia byłoby naiwnością.

Drugi kolega nie mógł być przesłuchany. Trzy dni po moim zatrzymaniu miał złamaną nogę, przez człowieka, który przyszedł pod sklep z dziećmi i z żoną. Z relacji pobitych wynika, że przedstawił się jako policjant, który w obecności żony i dzieci postanowił się wyżyć na stałych bywalcach okolic sklepu. Znam to tylko z relacji, ja byłem wtedy na wakacjach w Albanii, które kupiłem kilka dni przed interwencją, a które przez urazy doznane podczas ataku były po prostu nieudane. Szczęście, bo jak mundur potrafi przechodnia ze środka ulicy w godzinach szczytu wysłać przez komisariat na pogotowie, to ta instytucja w cywilnej odzieży już chyba na zawsze będzie kojarzyła się polskiemu społeczeństwu ze sprawą księdza Jerzego Popiełuszki.

Fakty były jasne. Ale nie miało to już znaczenia.

Minęły miesiące. Zadzwoniłem do prokuratury, informując, że wylatuję do pracy. Prokurator pozwolił mi lecieć. Telefonicznie. Bez pisma. Bez zabezpieczenia. Usłyszałem, że nie muszę niczego zgłaszać, że mogę spokojnie lecieć, bo policjant jest na L4 i do marca „nic się nie ruszy".

16.12 — rozmowa.

20.12 — wylot.

Policjant wyzdrowiał szybko.

30.12 został przesłuchany.

31.12 prokurator umorzył śledztwo.

Jak wcześniej był uśmiech — to wszystko było już wtedy ustalone.

Brzmi znajomo?

Jeżeli tak, to nie masz do czynienia z wyjątkiem. To mechanizm. Systemowy. Powtarzalny.

Zjawisko to nazwałem poneromnezją. Więcej o tym zjawisku będzie, jak przejdziemy z tematu zła proceduralnego na zło instytucjonalne.

Prokurator wysłał dwa tzw. fikcyjne doręczenia. O tym, jak to się fachowo nazywa, dowiedziałem się od sędzi, co przejęła tymczasowo biurko, przed którym miałem zeznawać. Gdy pojawiłem się na rozprawie, która… się nie odbyła. Pokonałem ponad 10 000 kilometrów, żeby usłyszeć, że sprawa spadła z wokandy.

— Zapomnieliśmy pana poinformować — rzekła protokolantka.

— Przecież informowałem, że nie jestem tuż za rogiem, tylko w Tajlandii.

— No tak, ale każdemu się zdarza. Następną rozprawę sąd zaplanował na 01.04.

Poprosiłem o zmianę terminu na czerwiec, ponieważ 28.03 mam dogodne połączenie do pracy. Protokolantka nie miała uprawnień, by samodzielnie zmienić datę mojej sprawy. Zrobiła to dopiero sędzia — ta sama, którą w grudniu poprosiłem o to, żeby w marcu odbył się proces, i pod ten właśnie termin kupiłem bilety lotnicze.

(Mam europejskie ubezpieczenie zagraniczne na 90 dni, więc w marcu wrócić do kraju byłoby dla mnie dogodne, aczkolwiek nie kluczowe. Przy okazji co jakiś czas uzupełniać w kraju narastające zaległości. Najczęściej związane z urzędami.)

Mimo rozpoczęcia wojny na Bliskim Wschodzie zdecydowałem się polecieć i dotrzymać terminu.

Około 23.03 postanowiłem podjechać do sądu, ponieważ zjawisko „poneromnezji" było mi już w tym miejscu znane. W okienku usłyszałem, że sprawa została przełożona na 03.06.

Cóż. Kolejna w moim odczuciu kierunkowa wada pamięci polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Informację od sędzi o zmianie terminu otrzymałem mailem 31.03.2026, jednak materiały do książki o patologicznych zachowaniach systemu wobec obywatela zbierałem już dużo wcześniej. Pierwsze słowa odpowiedzi na zapominalski, choć formalnie zgodny z procedurą, mail brzmiały: „Dzień dobry. Jestem już w Wietnamie".

W sierpniu, przeglądając akta, natrafiłem na datę 16 marca — dzień, w którym sąd faktycznie zarządził zmianę terminu. Trzy tygodnie, zanim ja się o niej dowiedziałem. Gdybym zaufał wymiarowi sprawiedliwości, to nie dotarłbym do pracy, a sprawa i tak by się nie odbyła.

Dlatego warto mieć na uwadze, że nawet jeśli chcesz wygrać sprawę o 100 zł w konfrontacji 1 vs 1 i masz niezbite dowody, miej świadomość, że koszty takiej wygranej mogą być ogromne. Właśnie dlatego moja „racja" została najpewniej podsumowana przez sąd już na wejściu, a przez ludzi obdarzonych pamięcią lepszą, niż niebiosa przyznały polskiemu sądownictwu wobec ofiar paragrafów, określa się to po prostu przemocą proceduralno-instytucjonalną.

Sędzia, która była w zastępstwie, wtrąciła się do rozmowy między mną a protokolantką. Zaczęła tłumaczyć sytuację.

I wtedy wydarzyło się coś znamiennego.

Na moje pytanie, czy nic się już nie da zrobić, nie padł art. 126 k.p.k. Nie został przywołany. Nie został użyty. Zniknął dokładnie w momencie, w którym był kluczowy. Trudno. Bo przecież osoba na takim stanowisku — zgodnie z założeniem — nie może działać w złej wierze. Więc zostają inne możliwości: może demencja, może deficyt intelektualny, może zwykłe przeoczenie przepisu, który w tej sytuacji był kluczowy. Osoby orzekające obowiązuje, jak wiadomo, sumienie. Nad ludem musi być paragrafowy bat, choć jakby się zastanowić, to powinno być zupełnie na odwrót.

Dokumenty odwoławcze miałem już przygotowane wcześniej i jeszcze tego samego dnia złożyłem je w prokuraturze, opierając się o art. 126 k.p.k. Więc zasadniczo, bez pomocy osoby orzekającej, która wtrąciła się w rozmowę bez większego sensu i bez jakiegokolwiek celu, dałem radę odkryć ten paragraf.

Natomiast jako ofiara dostałem kolejne doświadczenie z serii: „przepis to przepis" — o ile jest wygodny dla systemu.

Tutaj wracamy do prokuratora i miejsca, w którym mikroskala zamienia się w coś większego.

Bo człowiek w masce Cleckleya nie działa jednorazowo. Jeżeli raz skutecznie ukręci sprawę, system zaczyna się do tego dostosowywać. Najpierw cicho. Potem strukturalnie. Takie osoby bywają przenoszone w inne miejsce struktury, gdzie mechanizm rozmycia odpowiedzialności działa tak samo — zmienia się tylko geografia. Trudniej ofiarom do niego dotrzeć, i tak działa właśnie rozmycie odpowiedzialności, które świetnie w swoich pracach poruszył Zygmunt Bauman, którego myśli przybliżę w odleglejszych rozdziałach.

Prokurator, gdy już wejdzie w rytm pracy zawodowej i oczekuje awansu, zaczyna robić swoistą selekcję:

– spraw, które można prowadzić,

– spraw, które trzeba wygasić,

– ludzi, którym można ufać,

– ludzi, których lepiej wyeliminować z obiegu.

Zdrowi ludzie próbują się dostosować. Najpierw tłumaczą. Potem milkną. W końcu odchodzą.

Instytucja, która raz skutecznie ukryła zdradę, nie wraca do punktu wyjścia. Ona przesuwa punkt wyjścia. Nie przez jedną decyzję. Przez dziesiątki małych zaniechań, awansów, milczeń i pytań, których nikt już nie zadaje. Freyd nazwała ten proces instytucjonalną zdradą — mechanizmem, w którym środowisko samo zaczyna reprodukować wzorce, których nikt już nie musi nakazywać. I po pewnym czasie nie trzeba już nikogo instruować. System sam selekcjonuje ludzi, którzy rozumieją, co jest nagrodzone — i eliminuje tych, którzy pytają za dużo lub są po prostu uczciwi.

Zostają ci, którzy rozumieją mechanizm. Mechanizm, w którym prokuratorska etyka zawodowa służy jako instrukcja obsługi kariery. I wtedy maska przestaje być wyjątkiem. Staje się normą. Nie trzeba już nawet uśmiechu. Wystarczy, że wszyscy wiedzą, co on oznacza.

I to jest właśnie temat dla ponerologii.

ŻABOTOWA SOLIDARNOŚĆ, CZYLI: „PROSZĘ STĄD WYJŚĆ"

W dniu 8 września odbył się ostatni proces w tym przedstawieniu.

Tym razem przedmiotem procesu było moje zażalenie na decyzję prokuratora, który — pod osłoną mojego wyjazdu — nie dostrzegł w działaniach policjantów znamion czynu zabronionego.

Na początku sędzia poinformowała mnie, że w prokuraturze nie ma adresu do doręczeń.

Odpowiedziałem, że przed wyjazdem do pracy skontaktowałem się z prokuratorem i poinformowałem go o swoim wyjeździe. Prokurator pozwolił mi lecieć, twierdząc, że do marca nic się nie ruszy, ponieważ policjant, który był stroną w sprawie, jest chory i do marca na pewno nic się nie ruszy.

Poprosiłem o zabezpieczenie nagrania. Niestety zostało to zignorowane.

Na tej samej sali, kilka miesięcy wcześniej, usłyszałem od osoby sędziowskiej, że prokurator wysłał mi dwa tak zwane „fikcyjne" doręczenia.

Podczas tego procesu wspomniałem o tym.

Osoba sędziowska prowadząca sprawę powiedziała, że tak się tego nie nazywa.

Być może nie jest to określenie formalnoprawne.

Nie zmienia to jednak mojego przekonania, że w środowisku prawniczym funkcjonuje ono nieoficjalnie. Człowiek spoza tego środowiska nie ma dostępu do całego języka, którym instytucja opisuje własne praktyki. Oficjalnie istnieje termin prawidłowy. Nieoficjalnie istnieją określenia, których obywatel dowiaduje się dopiero wtedy, gdy sam znajdzie się po drugiej stronie procedury.

To również jest forma przewagi.

Monopol wiedzy nie musi być zapisany w żadnym przepisie. Wystarczy, że jedna strona zna reguły, wyjątki, praktykę i język, a druga musi się ich dopiero uczyć — często już w trakcie walki o własne prawa.

Osoba sędziowska uznała, że powinienem zgłosić zmianę adresu.

Odpowiedziałem, że przecież prokurator wiedział o moim wyjeździe do pracy i pozwolił mi wyjechać. Powiedział wprost, że do marca nic się nie wydarzy, ponieważ policjant, który był stroną w sprawie, jest chory.

A jednak wydarzyło się.

I to bardzo szybko.

Po przerwie, słuchając uzasadnienia, ponownie poprosiłem o zabezpieczenie rozmowy z prokuratorem.

Chciałem, żeby można było sprawdzić, co dokładnie zostało wtedy powiedziane.

Nie oczekiwałem, żeby ktokolwiek wierzył mi na słowo.

Chciałem dowodu.

Usłyszałem, że postanowienie zostało wydane i to jest koniec.

W tym momencie chciałem osobie sędziowskiej zadać już tylko jedno pytanie.

Zapytałem, czy w tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak pogodzić się z ciężką ręką władzy.

Osoba sędziowska wskazała ręką drzwi.

— Proszę stąd wyjść.

I wyszedłem.

Nie dlatego, że moje pytania znalazły odpowiedź.

Nie dlatego, że uznałem sprawę za wyjaśnioną.

Po prostu nie było już o czym rozmawiać.

Postanowienie zostało wydane.

To jest koniec.

Drzwi.

W pewnym sensie to zdanie dobrze podsumowuje całą historię.

Bo wcześniej były nagrania.

Była dokumentacja medyczna.

Byli świadkowie.

Był policjant, który był stroną w sprawie.

Była rozmowa z prokuratorem.

Były terminy.

Były doręczenia.

Były przepisy.

Były pytania.

I za każdym razem można było powiedzieć: procedura.

Procedura pozwalała coś pominąć.

Procedura pozwalała czegoś nie zabezpieczyć.

Procedura pozwalała uznać, że czegoś nie ma.

Procedura pozwalała powiedzieć, że coś nie nazywa się tak, jak powiedział obywatel.

A kiedy obywatel pytał dalej, można było wskazać drzwi.

— Proszę stąd wyjść.

I właśnie dlatego nazwałem to żabotową solidarnością.

Nie dlatego, że potrafię zajrzeć do cudzych sumień i wiem, co każdy z uczestników postępowania naprawdę myślał.

Nie wiem.

Widzę natomiast ciąg zdarzeń.

Widzę instytucje.

Widzę decyzje.

Widzę zaniechania.

Widzę, że człowiek, który próbował dochodzić swoich praw, z każdym kolejnym etapem musiał walczyć nie tylko ze skutkami pierwotnego zdarzenia, lecz także z samą procedurą, selektywnie nastawioną przeciwko człowiekowi z zewnątrz systemu.

A procedura, która miała służyć ochronie obywatela, coraz częściej stawała się przeszkodą, przez którą obywatel musiał się przedzierać.

Może właśnie dlatego największa siła systemu nie znajduje się w pojedynczym paragrafie.

Znajduje się w przewadze instytucji nad człowiekiem.

Wiedzy nad niewiedzą.

Procedury nad doświadczeniem.

I w możliwości powiedzenia na końcu:

— Proszę stąd wyjść.

Tymi słowami sędzia Aleksandra Zapała-Wygaś nakazała mi, abym zamknął z drugiej strony drzwi sali rozpraw.

I tymi samymi słowami — bez własnej wiedzy o tym — zamknęła również pisane kilka lat „Preludium do Ponerologii". Jako żywy przykład tego, że wolna wola w rękach patologicznych jednostek i brak mechanizmów kontroli nad nimi zawsze prowadzi do ludzkiej krzywdy pisanej literą prawa.

INSTYTUCJE BEZ HONORU

Chcę, czytelniku, obrazowo pokazać Ci różnicę między człowiekiem działającym bez skrupułów a człowiekiem kierującym się honorem.

W wielu środowiskach opartych na lojalności i wzajemnej odpowiedzialności, także w grupach przestępczych, wojskowych czy innych zamkniętych wspólnotach, gdy dochodzi do ujawnienia przewinienia, ciężar odpowiedzialności często bierze na siebie ten, kto zawinił, kto był mniej zaangażowany, przez co konsekwencje z założenia powinny być mniejsze, ma mniej do stracenia, albo uznaje, że tak nakazuje lojalność wobec grupy.

W opisywanym tu doświadczeniu mechanizm ten nie działał w środowisku policyjno-prawnym. Tam nie ujawniła się ani zwykła przyzwoitość, ani gotowość do uczciwego rozliczenia zdarzenia, lecz postawa polegająca na ochronie własnego środowiska i wybielaniu osoby uznanej za kluczową dla całego zajścia.

Przez ponad rok nie odniesiono się też do drugiego funkcjonariusza biorącego udział w zdarzeniu, mimo że materiał filmowy pokazywał jego udział, w tym wyrwanie mi telefonu z ręki. Z perspektywy praktycznej przyjąłem początkowo, że odpowiedzialność ponosi przede wszystkim osoba, która podpisała mandat, i nie naciskałem na szersze rozliczenie. Uznałem, że nie ma potrzeby ścigać drugiego uczestnika wyłącznie za lojalność wobec współpracownika.

Z czasem doszedłem do wniosku, że zarówno w postępowaniu policyjnym, jak i prokuratorskim nie chodziło o rzetelne ustalenie faktów, lecz o ochronę krzywdzicieli. W momencie składania odwołania, przy braku wiedzy o istotnych elementach procedury, uznałem, że przypomnienie o drugim uczestniku zdarzenia jest konieczne, aby spełnić wymogi odwołania, czyli wykazanie błędów takich jak właśnie pominięcie w postępowaniu drugiego sprawcy. Nie miałem wobec niego osobistego zarzutu, ale wskazanie jego roli stało się jedynym sposobem, by odwołanie było skuteczne.

Instytucja może zdradzić nie tylko tym, co robi. Może zdradzić tym, czego nie robi. Przez ponad rok drugi funkcjonariusz nigdzie nie był brany pod uwagę — mimo że był na nagraniu. A postępowania równolegle toczyły się dwa, jedno przeciwko mnie i drugie przeciwko policji. Freyd opisała ten typ zdrady instytucjonalnej jako szczególnie destrukcyjny właśnie dlatego, że ofiara nie ma czego zaskarżyć ani obalić — nie ma działania, jest tylko jego brak. A brak nie jest dowodem. Brak jest ciszą, którą zdegenerowany system bardzo lubi.

Z tej perspektywy problem nie dotyczył już pojedynczego incydentu, lecz szerszego mechanizmu: instytucji, które zamiast stać na straży prawa, zaczynają chronić własne interesy, przesuwając ciężar odpowiedzialności i rozmywając fakty. W takim układzie honor bywa zastępowany przez interes, a przyzwoitość przez mechaniczne trzymanie szyku.

Jeżeli taki mechanizm utrwala się w systemie, prowadzi do jego stopniowej degradacji. Historia pokazuje, że niebezpieczne nie są wyłącznie jednostkowe akty nadużycia, lecz sytuacja, w której nadużycie zostaje oswojone, a następnie włączone do normalnego działania instytucji, jak ma to miejsce w polskiej policji i prokuraturze.

Można to porównać do rdzy na żelazie: na początku jest prawie niewidoczna, ale z czasem osłabia całą konstrukcję od środka.

Być może dlatego właśnie nie można wymagać honoru od ludzi, których jedyne metody mieszczą się między kłamstwem a przemocą — i którzy od niemal trzydziestu lat nie potrafią znaleźć zabójcy swojego generała. Tak właśnie wygląda hańba.

Artykuł 7 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka:

Wszyscy są równi wobec prawa i są uprawnieni bez jakiejkolwiek dyskryminacji do równej ochrony prawnej. Wszyscy są uprawnieni do równej ochrony przed jakąkolwiek dyskryminacją sprzeczną z niniejszą Deklaracją oraz przed jakimkolwiek podżeganiem do takiej dyskryminacji.

Rozdział 16

Eichmann w kolorze blond

czyli jestem człowiekiem, nie paragrafem!

„Smutną prawdą jest, że większość zła jest czyniona przez ludzi, którzy nigdy nie zdecydowali, czy chcą być lub czynić zło albo dobro."

— Hannah Arendt

W poprzednich rozdziałach mowa była o przemocy fizycznej w wykonaniu najniższego szczebla drabiny aparatu represji. O mundurze, który przekracza granicę między ochroną a nadużyciem. Mowa była też o człowieku, który drogę zawodową połączył nie z etyką Kanta, lecz z Księciem Machiavellego — który wykalkulował swoje postępowanie pod kątem systemowej skuteczności i kariery, nie pod kątem prawdy.

Przyszedł czas na salę sądową. Na moment, w którym ofiara przestępstwa wchodzi do miejsca, które z definicji, z zasady i z mocy prawa powinno być jej schronieniem. Miejscem, gdzie prawda jest fundamentem, nie ozdobą.

Co jednak zastaje? Zastaje system, który dawno zamienił bezkompromisowe domniemanie niewinności na hipotetyczne przestrzeganie tej zasady. I nawet nie jest tego świadomy. Albo, co gorsza, jest świadomy swojej ułomności i właśnie w tym tkwi — a to jest droga donikąd.

0. WYROK BEZ CIEBIE

28 lipca 2025 roku Sąd Rejonowy w Sosnowcu, Wydział IX Karny, wydał wyrok. Beze mnie. Bez mojego głosu, bez mojej wersji, bez jednego pytania skierowanego w moją stronę.

Nazywa się to wyrokiem nakazowym — instytucja, która pozwala sądowi skazać człowieka na podstawie samych akt, bez rozprawy, „gdy okoliczności czynu i wina obwinionego nie budzą wątpliwości". Sąd nie miał wątpliwości. Miał tylko jedną stronę — mojej wersji nie było w aktach, bo na komisariacie odmówiłem

podpisania czegokolwiek. Nie z uporu. Z przekonania, że to, co się tam działo, miało charakter, którego nie zamierzałem legitymizować własnym podpisem, co zgodnie z deklaracją policjanta jest napisane w aktach.

Werdykt: winny używania słów nieprzyzwoitych w miejscu publicznym. Art. 141 k.w. Grzywna 100 złotych. Koszty postępowania 70 złotych. Pod spodem podpis: sędzia Beata Chmielnicka.

Sto złotych. Ale nie o kwotę tu chodzi — nigdy nie chodziło. Chodzi o to, że wystarczyła relacja jednej strony, żeby na mnie, obywatelu jeszcze niewysłuchanym, spadł wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Domniemanie niewinności w tym momencie nie zostało złamane subtelnie, proceduralnie, między wierszami. Zostało ominięte całkowicie — instytucja prawna do tego stworzona pozwoliła sądowi orzec winę, zanim jeszcze usiadłem na sali.

Miałem prawo się sprzeciwić. I to zrobiłem. Ten sprzeciw otworzył drzwi do tego wszystkiego, co opisuję w dalszej części tego rozdziału — do trzynastu miesięcy, czterech rozpraw, komentarza o „tylko stu złotych", wadliwych wezwań, poneromnezji, którą już poznałeś przy okazji przełożenia rozprawy dzień przed i finałowego uniewinnienia. Ale warto zapamiętać punkt wyjścia: system, który mnie skazał, zanim mnie usłyszał, i który uznał to za rutynę, nie za wyjątek.

Sprzeciw oznaczał, że sprawa trafia na wokandę od nowa — tym razem z moim udziałem.

Kolejny 13-miesięczny proces będzie prowadziła już osoba sędziowska Monika Bielecka.

I. STO ZŁOTYCH I GODNOŚĆ CZŁOWIEKA

Wchodzę na salę sądową jako oskarżony o przeklinanie, a w zasadzie już skazany, bo jak inaczej nazwać wszczynanie procesu 1 vs 1, gdzie rzekomo komenda policji to zgłosiła, ale nie powołała żadnych świadków, choć w zdarzeniu brało udział kilka osób i drugi policjant, który na nagraniach jest w nieco gorszej sytuacji, niż ten, co się pod tym podpisał. W normalnym systemie prawnym coś takiego powinno być umarzane na etapie przygotowawczym. W Polsce niekoniecznie.

Ale patrząc z punktu widzenia ludzkiej przyzwoitości, jako ofiara przestępstwa, co zresztą łatwo było stwierdzić po dokumentach, widzę coś jeszcze: jeśli jeden policjant zeznaje, bo musi, bo wziął interwencję na siebie, a drugi nie chce bronić kolegi — to znaczy, że coś tu nie gra. Nie przyszedłem bronić abstrakcji. Przyszedłem bronić

własnej godności i faktów, które mam udokumentowane. Jakbym nie miał, to zostaje skazany na podstawie pomówienia. Jak wielu innych Bogu ducha winnych ludzi w tym kraju.

Pierwsze uderzenie nie przychodzi w formie wyroku. Przychodzi w formie tonu.

— A pan wie, że pan dostał tylko 100 zł tej grzywny?

— Nie chodzi o 100 zł, proszę pani…

(Sędzia przerwała moją wypowiedź)

— Aaa, o rację. Rozumiem.

(Z uśmiechem, który odebrałem jako: mogłeś wziąć 100, a teraz będzie 500 plus koszty sądowe)

— Można tak powiedzieć.

(Wypowiedziałem to resztką sił powietrza w płucach na lekko ugiętych nogach, pełen zwątpienia w obiektywność sądu i jednoczesnym przekonaniu o tym, że proces prędko się nie zakończy)

To zdanie o 100 zł — wypowiedziane z nutą politowania i nieukrywaną ironią — otwiera całą sekwencję. Już w tym momencie wiadomo, że nie chodzi tylko o pieniądze. Chodzi o stosunek do człowieka. O to, czy ktoś rozumie, że nawet drobna kwota może być znakiem większego problemu. Że często nie walczy się o sumę — walczy się o zasadę, o brak zgody na bycie ofiarą pobicia, a tym by było przyjęcie mandatu lub jakikolwiek mój podpis pod dokumentami na komendzie. Sądowi to nie przyszło do głowy, niestety. O pytanie, czy wolno bezkarnie lekceważyć cudzą własność, cudzą godność, cudze granice.

Jest nagranie. Nie relacja, nie wspomnienie — nagranie. I właśnie to czyni ten moment czymś więcej niż anegdotą z sali sądowej. Freyd opisała betrayal blindness — ślepotę na zdradę — jako mechanizm, w którym instytucja przestaje widzieć to, co powinna zobaczyć, bo widzenie byłoby dla niej niewygodne. Sędzia nie widzi człowieka po drugiej stronie. Widzi kwotę. Sto złotych. I ta kwota wyznacza dla niej granicę tego, co jest warte uwagi — a co nie. Człowiek znalazł się poniżej tej granicy. Na nagraniu z pierwszej rozprawy słychać to bardzo wyraźnie. Jakby był film, to można by jeszcze więcej wyczytać po minie osoby orzekającej. Niestety nie dostałem filmu, a nawet jakbym dostał to tylko najpewniej moja twarz i moje emocje byłyby na tym filmie uwiecznione.

Warto przy tym zadać pytanie, jak na podobny komentarz zareagowałaby osoba z pourazowymi zaburzeniami stresu po takim zatrzymaniu, albo ofiara gwałtu, bo i takie sytuacje mają miejsce na komendach policji. Choć rzadko trafiają do mediów głównego nurtu.

Ironia słyszalna w słowie „racja" jest tutaj diagnozą. W zdrowym systemie prawnym racja nie jest przedmiotem ironii — jest fundamentem. Kiedy instytucja zaczyna traktować zasadę domniemania niewinności jako naiwność, a pragmatyczny kompromis z prawdą uznaje za dojrzałość, wtedy zaczyna się jej moralny upadek.

To nie jest jednostkowe zdarzenie. To objaw. Żeby zrozumieć mechanizm, który za nim stoi, potrzebna jest konkretna opowieść — nie o przepisach, lecz o ludziach i o tym, jak różnie można rozumieć winę.

II. PIŁKA JEST OKRĄGŁA... A SZYBY SĄ TRZY.

Żeby pokazać, czym naprawdę jest problem redukcji człowieka do paragrafu, potrzebna jest konkretna opowieść. Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację.

Aby zilustrować mechanizm degradacji oceny moralnej w systemie, posłużmy się modelem „trzech okien". Model ten pozwala odróżnić błąd (przypadek), wykroczenie (lekkomyślność) od czynu ponerogennego (premedytacja i odwet). Kluczowym problemem analizowanym w tym podrozdziale jest sytuacja, w której aparat państwowy traci zdolność do tej dystynkcji, zrównując wszystkie te stany w ramach ujednoliconej procedury, co w praktyce premiuje sprawców działających z premedytacją. Każde przez kogoś innego. Każde z inną intencją. Każde wymagające innej odpowiedzi.

Pierwsze okno: przypadek i przyzwoitość

Pierwsze wypada od piłki do gry. Po chwili staje w drzwiach młody człowiek z rodzicami. Płacze. Przeprasza. Rodzice mówią, że są biedni, ale wyjmują z portfela resztę oszczędności i próbują naprawić szkodę.

Normalny człowiek oddaje piłkę. Mówi, że okna i tak planowo wymagały wymiany. Odmowa kary jest w takiej sytuacji czymś naturalnym. Jest przypadek, jest odpowiedzialność, jest ludzka przyzwoitość — i właśnie dlatego jest też miejsce na łaskę.

Drugie okno: lekkomyślność i jej konsekwencje

Drugie okno wylatuje od grupy młodzieży, która przechodzi obok i z nudów rzuca czym popadnie. Uciekają. Właściciel domu widzi zdarzenie i dzwoni po policję.

Kiedy przyjeżdża radiowóz, młodzież sama podchodzi pod dom. Wiedzą, że złapał ich monitoring z okolicy, wiedzą, że mieszkają tu niemal po sąsiedzku. Myślą, że ręka sprawiedliwości ich sięgnęła — i wolą się pokazać sami.

Na miejscu nie przejawiają wielkiego przejęcia. Żartują, śmieszkują. Szyba to dla nich drobnostka. Pani prosi o wypisanie mandatu i powiadomienie rodziców o koszcie wymiany okna. Kara jest zasadna — nie dlatego, że ktoś jest zły, ale dlatego, że zrobił złą rzecz i musi ponieść konsekwencje.

Trzecie okno: premedytacja i zemsta

Trzecie okno wylatuje nagle, od tyłu, od strony ogrodu. Ktoś obchodził dom przez zarośla, poza zasięgiem monitoringu, przez posesję bez zgody właściciela. Pani widzi tylko uciekającą sylwetkę.

Po kilku minutach przyjeżdża radiowóz — z podejrzanym w środku. Policja zatrzymała go w okolicy, bo sprawiał wrażenie człowieka uciekającego z miejsca zdarzenia, na które było akurat zgłoszenie o wybitym przez młodzież oknie. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego biegł.

Sprawca zostaje wyprowadzony. I natychmiast zmienia ton:

— Pocałuj mnie tam, gdzie słońce nie dochodzi. To tylko wykroczenie. Pisz mandat i cześć, bo nie mam czasu.

Na pytanie, dlaczego to zrobił, odpowiada wymijająco. Ale fakty mówią same za siebie: zadał sobie niemały trud, żeby wejść na posesję niezauważony. To nie był impuls. To była decyzja.

Podczas sprawdzania danych przez policję okazuje się, że sprawca jest bratem człowieka, którego wcześniej skazano za gwałt. W domyśle nosi to znamiona przestępczej zemsty — choć brakuje twardych dowodów.

Miałem to powiedzieć na sali sądowej, jednak oceniając przebieg rozprawy, uznałem, że argumentacja tego rodzaju nie znajdzie tam właściwego miejsca. Etyka troski, której fundament położyła Carol Gilligan, działa tylko w stronę przedstawicieli aparatu represji — jako ofiara przestępstwa, co doskonale widać na filmach, czuję się tu pominięty. A przecież w Innym głosem chodzi o troskę i nieco inne postrzeganie moralności przez kobiety. Bardziej opierające się o współczucie i

empatię, niż o zimne zasady kojarzone z Kantem. Instytucja potrafi jednak ten głos wypaczyć — niezależnie od płci osoby, która w jej imieniu orzeka.

III. PROKURATORSKA MORALNOŚĆ — POKUSA MAŁEGO KŁAMSTWA

I tu pojawia się pokusa. Pani przypomina sobie:

— Akurat mam wyłamany zamek w furtce po tamtej stronie działki. Można powiedzieć, że to było włamanie. Będzie włamanie, niszczenie mienia i szyba będzie wtedy w sumie jako dodatek. Dostanie sprawiedliwość.

Odpowiedź jest jednoznaczna:

— Nie, proszę pani. Nie można. To jest właśnie prokuratorska moralność.

— Ale to tylko takie małe kłamstewko.

— Niech nawet będzie sobie kłamstwunio. Tak nie wolno.

W kwestiach prawdy i sprawiedliwości nie ma podziału na małe i duże sprawy. Nie ma dwóch systemów moralnych — jednego do drobiazgów, drugiego do rzeczy wielkich. To, co pozwalamy sobie w małym, kształtuje nas na długo przed wielkim. O czym już ponad dwa tysiące lat temu pisali Grecy.

Dlaczego nie wolno? Bo cechy, jakich nabieramy, kształtują nas i otoczenie. Ta konkretna sytuacja nagięcia prawa może nosić subiektywne znamiona sprawiedliwości, ale w sprawach poważniejszych ta sama cecha prowadzi do dehumanizacji. Dokładnie tak, jak w przypadku prokuratora, który prowadzi śledztwo z pozycji adwokata oskarżonych, a nie stróża prawa. Który etykę zawodową traktuje jak instrukcję obsługi własnej kariery.

W takiej optyce ofiara w sądzie pozostaje sama. Jej jedyną bronią są dowody, które w zdrowym porządku prawnym podczas procesu 1 vs 1 nie powinny być potrzebne — i które i tak muszą zostać wywalczone. A warte według ironicznego komentarza ze wstępu sto złotych i śmieszną rację.

Trzecie zdarzenie z oknem można ewentualnie prawnie zakwalifikować jako nielegalne wejście na posesję, bo do tego faktycznie doszło. To nie jest naciąganie rzeczywistości — to jest właściwe nazwanie tego, co miało miejsce. Różnica między tym a prokuratorską

moralnością jest zasadnicza: jedno opisuje rzeczywistość, drugie ją podmienia.

Pokusa małego kłamstwa i pokusa wygodnej procedury wyrastają z tego samego korzenia. Obydwie zaczynają się w chwili, gdy ktoś przestaje pytać o sens, a zaczyna pytać wyłącznie o skuteczność. Ten mechanizm ma swoją historię. Ma też twarz — i nazwisko, które w 1961 roku stanęło przed sądem w Jerozolimie.

IV. IMPERATYW KATEGORYCZNY W MUNDURZE SS

Adolf Eichmann został powieszony w 1962 roku. Nie jako potwór z powieści grozy — bo potworem nie był, przynajmniej nie w tym sensie, w jakim zbiorowa wyobraźnia lubi sobie potwory wyobrażać. Był urzędnikiem. Skrupulatnym, punktualnym, lojalnym wobec procedur. Człowiekiem, który nigdy osobiście nie zabił nikogo, a mimo to zorganizował logistykę śmierci milionów.

Obserwatorka jego procesu w Jerozolimie, Hannah Arendt, ukuła frazę, która weszła do kanonu myśli XX wieku: banalność zła. Zło nie musi mieć twarzy demona. Wystarczy twarz człowieka wypełniającego rubryki. Kogoś, kto przestał zadawać pytanie o sens i zaczął pytać wyłącznie o procedurę.

Najbardziej zdumiewającym momentem przesłuchań nie była skala zbrodni, lecz filozoficzna deklaracja samego Eichmanna. Przed sądem oświadczył — bez cienia ironii — że przez całe życie starał się postępować zgodnie z filozofią Immanuela Kanta. Z jego imperatywem kategorycznym, który jest jednym z najważniejszych źródeł filozoficznych inspirujących Powszechną Deklarację Praw Człowieka.

Kant sformułował imperatyw kategoryczny następująco: postępuj tylko według takiej maksymy, co do której możesz jednocześnie chcieć, aby stała się powszechnym prawem. U jego podstaw leży autonomia — wolna, rozumna wola jednostki, która sama dla siebie jest prawodawcą. Człowiek nie może być nigdy traktowany jedynie jako środek do celu, lecz zawsze jako cel sam w sobie. Godność ludzka jest tu wartością bezwarunkową — niepodlegającą negocjacji z żadnym systemem, żadną władzą, żadnym Führerem.

Eichmann tymczasem zaproponował własną, starannie okaleczoną wersję tej filozofii: postępuj tak, jakby zasada twojego postępowania była zgodna z zasadą ustawodawcy lub prawa kraju. Podmienił rozum na rozkaz. Autonomię — na posłuszeństwo. Sumienie — na regulamin.

I tu zaczyna się rzecz, która powinna zatrzymać każdego, kto czytał akta tego procesu.

Eichmann sam przyznał, że przestał stosować Kanta dokładnie w momencie, gdy otrzymał rozkaz organizacji Ostatecznego Rozwiązania. Wcześniej — Kant. Potem — Führerprinzip.

W filozofii Kanta ustawodawcą jest moralne „ja" człowieka. W świecie Eichmanna ustawodawcą był Hitler.

Imperatyw kategoryczny zamienił się w hipotetyczny.

Nie: „postępuj tak, bo jest to słuszne i chciałbyś, aby wszyscy tak postępowali".

Lecz: „postępuj tak, bo tego wymaga rozkaz, a rozkaz jest prawem".

Autonomia ustąpiła miejsca posłuszeństwu. Sumienie ustąpiło miejsca procedurze. I właśnie w tym miejscu Kant skończył się, a zbrodnia zaczęła.

Filozofowie mówią w takim przypadku o heteronomii — przeciwieństwie autonomii. Wola zapożyczana od zewnętrznego prawodawcy nie jest wolą moralną w sensie kantowskim. Jest zwykłym posłuszeństwem. Eichmann nie stosował Kanta — on go skalpował, zachowując skórę terminologii i wyrzucając wszystko, co wewnątrz.

Miliony ludzi stały się dla niego ładunkiem. Logistycznym problemem do rozwiązania. Transportem.

Nigdy osobami.

Kluczowym elementem „banalności zła" opisywanej przez Arendt jest proces transformacji moralności w administrowanie. Mechanizm ten jest uniwersalny: gdy urzędnik (lub funkcjonariusz) przestaje weryfikować słuszność etyczną swoich działań, ograniczając się wyłącznie do weryfikacji ich zgodności z regulaminem, system wchodzi w fazę, w której możliwe staje się każde nadużycie. Spokój i skrupulatność, z jakimi realizowane są wówczas działania krzywdzące, stanowią istotę patologii biurokratycznej.

I zaczyna pytać wyłącznie: „czy to zgodne z procedurą?"

Od tego momentu może zrobić wszystko. I będzie to robił spokojnie. Punktualnie. Z dokumentacją w porządku.

V. POLSKA SALA SĄDOWA, TRZECIA DEKADA XXI WIEKU

Wróćmy teraz do sali sądowej w Sosnowcu.

Nie porównuję polskiego wymiaru sprawiedliwości do Trzeciej Rzeszy. To byłoby zbyt proste i zbyt nieuczciwe. Skala jest nieporównywalna, cel nieporównywalny, kontekst historyczny nieporównywalny.

Mimo różnic skali i kontekstu, mechanizm redukcji podmiotowości obywatela w zderzeniu z instytucją pozostaje niezmienny. Przekształcenie człowieka w „numer statystyczny" i uznanie jego godności za „przeszkodę proceduralną" jest ostatecznym dowodem na to, że system przestał służyć społeczeństwu, a zaczął służyć własnej bezwładności i ochronie osób go tworzących.

Imperatyw kategoryczny zostaje wyśmiany jako naiwność — podczas gdy imperatyw hipotetyczny, czyli zasada wypełniania procedury bez pytania o jej sens, zostaje uznany za profesjonalizm.

Moralność instytucji zawsze działa jak pole grawitacyjne. To, co wypływa z centrum — z najwyższych szczebli systemu — działa w całym zasięgu jego oddziaływania.

Kiedy minister sprawiedliwości komentuje niemal potrącenie przechodnia na przejściu dla pieszych słowami: „nie no gdzie, Pani była jeszcze daleko" — nie mówi tylko o jednym zdarzeniu. Mówi o tym, jak postrzega człowieka. Jak waży jego godność. Jak ocenia zagrożenie jego życia i jak traktuje przepisy.

Taki sygnał schodzi w dół przez cały aparat.

Freyd nazwała to instytucjonalnym przyzwoleniem na dehumanizację. Mechanizm jest prosty: kiedy wzorzec zachowania pochodzi z góry i nie spotyka się z żadną korektą, przestaje być odchyleniem. Staje się normą. Sędzia, która pyta ofiarę, czy wie, że to tylko sto złotych, nie musi mieć deficytu empatii, jednak w mojej ocenie są w tym temacie w polskim sądzie i u tej konkretnej osoby orzekającej wyraźne braki. Wystarczy, że przez lata obserwowała, że taki ton jest bezpieczny. Że nikt za niego nie płaci. Że system go nagradza — albo przynajmniej nie karze.

I to nie jest tylko kwestia jednego nieostrożnego komentarza. To wzorzec postawy. Minister, dając taki przykład — obojętnością, brakiem empatii, demonstracyjnym lekceważeniem cudzej godności i życia — daje jednocześnie przyzwolenie. Przyzwolenie strukturalne. Przyzwolenie na dehumanizację. Na traktowanie jednostek ludzkich jako zmiennych w równaniu — kłopotliwych, mało istotnych,

niekoniecznie zasługujących na troskę systemu. Słowa mają wagę proporcjonalną do urzędu, z którego padają.

Jeżeli na górze człowiek jest detalem, niżej bardzo szybko staje się problemem proceduralnym. Jeżeli na górze ważniejsza jest wygoda narracji niż ludzka godność, niżej ważniejsza staje się wygoda procedury niż prawda. Jeżeli osoba piastująca urząd ministra sprawiedliwości przed kamerą ignoruje fakt zagrożenia życia przechodnia, to czego spodziewać się po „osobie sędziowskiej", która musi zamknąć wokandę przed końcem dnia?

Przykład idzie z góry. Zawsze. Nie w sensie propagandowym. W sensie strukturalnym.

System nie jest sumą paragrafów. System jest sumą postaw ludzi, którzy tymi paragrafami się zawodowo zajmują.

I właśnie tutaj zaczyna się wspólny rdzeń obu historii.

Osoba, która mówi: „nie wiem, czy pan wie, ale to tylko 100 zł" — nie musi być sadystą. Prawdopodobnie nie ma wobec ofiary żadnych osobistych uczuć. Ona po prostu przestała zadawać pytanie o sens. Proces nie jest już dla niej narzędziem ustalenia prawdy. Jest elementem procedury, który można przyjąć albo odrzucić — zależnie od wygody systemu.

Prawda staje się ozdobą, nie fundamentem.

Osoba ta również nie musi być głupia ani okrutna. Ona po prostu przyswoiła imperatyw hipotetyczny do tego stopnia, że kategoryczny wydaje jej się dziecinną naiwnością. Zasady, godność, reguły moralne — to dla niej abstrakcje ludzi, którzy nie rozumieją, jak „naprawdę działa świat". A świat, według niej, działa tak: kwota jest mała, więc sprawa jest mała, więc człowiek jest mały.

Adolf Eichmann budował obozy.

Polski urzędnik sądowy chce jak najszybciej spuścić sprawę z wokandy.

Między tymi zdaniami leży przepaść mierzona milionami istnień ludzkich i jedną z największych zbrodni w historii. Nie mam zamiaru tej przepaści zacierać.

Ale pytanie Kanta pozostaje dokładnie takie samo w obu przypadkach:

Czy chciałbyś żyć w świecie, w którym zasada twojego działania staje się prawem powszechnym?

Czy chciałbyś żyć w państwie, w którym ofiara musi wywalczać elementarne prawa proceduralne, które zdrowy system powinien gwarantować jej sam? W którym godność człowieka ma wagę zależną od kwoty sporu? W którym minister sprawiedliwości ocenia wartość ludzkiego życia na podstawie odległości na pasach?

Eichmann prawdopodobnie odpowiedziałby, że wszystko odbywało się zgodnie z procedurą.

I właśnie w tym tkwi sedno.

Nie w złej woli.

W braku pytania o sens.

Hannah Arendt napisała o tym książkę.

Polska sala sądowa dała mi materiał na rozdział.

System, który nie potrafi już nawet artykułować własnych zasad, przestał być systemem prawa. A tam, gdzie prawo milczy, pierwszą ofiarą pada zasada, którą najtrudniej odbudować — domniemanie niewinności.

Następnym krokiem jest zniewolenie wolności słowa, później przychodzi czas na urzędowe palenie książek. A z tego miejsca odwrotu już nie ma!

VI. DOMNIEMANIE NIEWINNOŚCI JAKO IMPERATYW KATEGORYCZNY

Domniemanie niewinności jest bardzo trudne do obrony w ramach imperatywu hipotetycznego, gdyż ciężar dowodu spoczywa, jak w moim przypadku, na oskarżonym. Nie można go stosować warunkowo: stosuję, jeżeli tak wygląda sprawa; stosuję, jeżeli to jest wygodne dla postępowania.

W moim przypadku wyglądało to tak: jeżeli przedstawisz niezbite dowody, pokażesz determinację w dążeniu do swojej racji (wyśmianej przez sąd już na samym początku procesu) i poniesiesz prywatnie wysokie koszty związane z procesem, to może zostaniesz uniewinniony.

W tym miejscu Kant przestaje być cytatem, a staje się miarą. Formuła człowieczeństwa mówi jasno: traktuj człowieka zawsze zarazem jako cel, nigdy tylko jako środek. Oskarżony, który musi udowadniać własną niewinność, przestaje być celem samym w sobie — staje się środkiem do wygodnego zamknięcia sprawy, do ochrony

munduru, do statystyki wokandy zamkniętej przed końcem dnia. Jego godność nie jest już punktem wyjścia procesu. Jest czymś, co on sam musi sobie wywalczyć, przedkładając dowód za dowodem osobie, która z definicji powinna była założyć jego niewinność, zanim jeszcze wszedł na salę.

To jest właśnie DARVO na poziomie systemowym. Nie jednostkowy akt agresji — systemowe odwrócenie ról. Ofiara przestępstwa staje przed sądem jako oskarżony. Musi przedstawiać nagrania. Musi przekonywać osobę orzekającą, że jej wersja zdarzeń jest warta rozpatrzenia. Instytucja, która powinna ją chronić, przerzuca na nią ciężar dowodu — spokojnie, proceduralnie, bez podniesienia głosu. Dokładnie tak, jak opisywała to Freyd: najbardziej destrukcyjna zdrada instytucjonalna nie wygląda jak zdrada. Wygląda jak procedura.

Domniemanie niewinności albo obowiązuje bezwarunkowo — jak kantowski imperatyw kategoryczny, który nie zna wyjątków — albo nie obowiązuje w ogóle. W Polsce zbyt często przestaje działać tak, jak powinno.

Jeżeli ofiara przestępstwa musi na sali sądowej udowadniać własną niewinność, system przestał działać zgodnie ze swoim fundamentem. Jeżeli dowód trzeba niemal wywalczyć, bo ktoś nie wie, czy będzie nim zainteresowany, system przyznaje, że prawda jest dla niego opcjonalna.

W sytuacji jeden do jednego, bez nagrań, bez świadków — kto i w jaki sposób ma rozstrzygać, która strona mówi prawdę? Właśnie po to istnieje domniemanie niewinności. Właśnie po to ciężar dowodu leży po stronie oskarżenia. Ta zasada nie jest idealistyczną ozdobą — jest gwarancją, że władza nie zniszczy człowieka samą swoją asymetryczną pozycją.

Kiedy ta gwarancja przestaje działać, człowiek stoi sam, z uginającymi się kolanami, gdy sąd pyta, czy zdaje sobie sprawę z tego, że to tylko 100 zł.

To nie jest tylko specyfika ostatnich lat. To jest nawyk, który zdążył się zinstytucjonalizować. Którego główną przyczyną jest nierozliczenie przedstawicieli aparatu władzy reprezentującego sobą poprzedni ustrój i których potomkowie pod spolszczonymi nazwiskami nadal piastują funkcje decyzyjne na stanowiskach władzy sądowej.

Komitet Ministrów Rady Europy wydał wobec Polski dwie rezolucje w sprawie nadużywania aresztu tymczasowego — w 2007 roku obejmującą 44 sprawy, a w 2014 roku już 173. Europejski Trybunał Praw Człowieka zasądził odszkodowanie od Polski w sprawie

kobiety, która spędziła w areszcie tymczasowym osiem i pół roku. Bez wyroku. W świetle prawa — niewinnej. W 2022 roku ponad sto osób przebywało w polskich aresztach tymczasowych dłużej niż pięć lat. Tymczasowo.

Helsińska Fundacja Praw Człowieka wydała w 2023 roku raport o tej praktyce. Nadała mu tytuł: „Tymczasowe aresztowanie. O standardzie, który się nie przyjął (w Polsce)". Tytuł jest sam w sobie wyrokiem.

Aktualnie, patrząc przez pryzmat mojej sprawy i materiałów dostępnych w mediach, mogę jednoznacznie stwierdzić, że dla ludzi przebywających w aresztach jest jeszcze gorzej.

Domniemanie niewinności. Na papierze — gwarancja. W praktyce — opcja.

W moim przypadku mechanizm zadziałał odwrotnie.

Wyszedłem z sądu z poczuciem, że musiałem udowadniać, iż nie kłamię. Że moje nagrania są prawdziwe. Że moja wersja zdarzeń jest warta rozpatrzenia. Ciężar dowodu przeszedł na tę stronę, która zgodnie z każdą zasadą powinna być chroniona.

Domniemanie niewinności działało — tyle że nie w moim kierunku.

VII. NIE JESTEM PARAGRAFEM

Eichmann nie był potworem. Był trybem maszyny, który zapomniał, że jest człowiekiem — i który zredukował innych do pozycji ładunku logistycznego.

Zło systemowe nie rodzi się zawsze z nienawiści. Czasem rodzi się z urzędowej obojętności. Nie zawsze z krzyku — czasem z uprzejmego pominięcia. Nie zawsze z przemocy jawnej — czasem z chłodnego, fachowego zlekceważenia.

„Nie wiem, czy pan wie, ale dostał pan tylko 100 zł mandatu" — to zdanie pochodzi z tego samego świata, co redukowanie człowieka do pozycji w tabeli. Nie tej samej skali. Tego samego mechanizmu.

Ja nie jestem paragrafem. Nie jestem rubryką. Nie jestem numerem w aktach. Jestem człowiekiem, który przyszedł po to, by prawda nie została rozebrana na części i schowana pod wygodnym sformułowaniem.

Nie wolno zamieniać człowieka w paragraf. Bo wtedy paragraf zaczyna rządzić człowiekiem. A potem okazuje się, że nie ma już prawa. Zostaje tylko administracja krzywdy.

Każdy system prawny zawiera przepisy zmienne i stałe: te pierwsze — od ruchu drogowego, przez administrację, po procedury — mogą i powinny ewoluować wraz z rzeczywistością, ale ponad nimi musi istnieć fundament, którego zmienić nie wolno; coś, co poprzedza każdy przepis i każdą procedurę, prawo wyższe od wygody administracyjnej, które mówi, że człowiek ma być traktowany uczciwie, że domniemanie niewinności ma znaczyć coś realnego, że nie wolno budować winy na skrócie. Że nie wolno zamieniać procesu w farsę.

Upadek tej zasady zaczyna się zwykle subtelnie. Od ironii wobec ideałów. Od pytania, po co nam zasady, skoro chodzi o sto złotych. Od znikania drugiego sprawcy z akt, bo jego obecność byłaby kłopotliwa.

Krok po kroku. Rubryka po rubryce.

Banalne zło nie musi być spektakularne. Wystarczy, że jest sprawne. Wystarczy, że jest proceduralne. Wystarczy, że nosi mundur albo togę — i że przestało widzieć człowieka po drugiej stronie biurka.

Pisząc ten rozdział, przypomniała mi się Obrona Sokratesa Platona, a zwłaszcza myśl, że ludzie źli przynoszą szkodę tym, z którymi przebywają, natomiast ludzie dobrzy wnoszą dobro tam, gdzie się pojawiają.

Być może dlatego, że w moim odczuciu może powstawać wobec mnie jakaś współczesna forma „cykuty" — nie w sensie dosłownym, lecz jako mechanizm oparty na wygodnej narracji, w której ktoś korzysta z przewagi instytucjonalnej i domniemania własnej niewinności, nawet jeśli nie zna wszystkich okoliczności zdarzenia, a mimo to może wskazywać jednego, z góry przyjętego winnego.

Może dlatego, że właśnie teraz ten cytat szczególnie mocno przypomina mi, jak cienka bywa granica między prawdą a wygodą, między uczciwym osądem a gotową tezą, między dobrem realnym a tylko deklarowanym.

A być może to jeszcze ja stanę przed sądem, bo w ramach zemsty znajdzie się na mnie jakiś wiarygodny dla sądu świadek koronny, którego zeznania weryfikuje się po opuszczeniu przez niewinnych ludzi aresztów wydobywczych. Których w Polsce są tysiące, a o których społeczeństwo wiedzące już, jak traktuje się człowieka za 100 zł, powinno zawalczyć.

To jest najważniejsza idea przyświecająca temu rozdziałowi.

CZERWIEC 2026, I JEDZIESZ DALEJ…

03.06 miała odbyć się ostatnia sprawa w moim procesie. Niestety ostatnią nie była. Po moim marcowym zgłoszeniu podejrzenia popełnienia przestępstwa przez funkcjonariusza policji polegającego na składaniu fałszywych zeznań, sędzia dopatrzyła się, że mój kolega jeszcze nie zeznawał, choć dokumenty i materiały filmowe od niemal roku są na jej biurku, więc by go przesłuchać miała ponad jedenaście miesięcy. Postanowiła zrobić to teraz, mimo że powszechnie wiadomo, iż po roku człowiek niewiele pamięta i często może już tylko podtrzymać wcześniejsze zeznania. Niestety kolejna pomyłka polegała na wysłaniu świadkowi błędnego zawiadomienia o procesie, do czego chyba już nawet czytelnik zdążył się przyzwyczaić. Więc kolejny proces odbędzie się dopiero w lipcu. Czas na złożenie skargi na bezpodstawne zatrzymanie mam do 25.06 i mimo braku wyroku zamierzam to złożyć. Gdyż później traci to swoją moc przepisową. A jak wiadomo, w polskim sądzie człowiek jest tylko paragrafem.

Na dzisiejszym procesie obejrzeliśmy filmy, a właściwie tylko ja je oglądałem, bo sędzia sprawiała wrażenie, jakby już je znała i raczej nie wykazywała większego zainteresowania tym, co wyświetlało się na monitorze.

Poprosiłem o film, który wysłała mi pod moją nieobecność, a na którym są zeznania policjanta i zdanie, które ten proces identyfikuje z polskim systemem prawnym wręcz idealnie — „nie wiem, czy pan wie, ale to tylko 100 zł".

W Polsce, jak wszyscy wiemy, przepis to przepis. Jednak w cywilizowanym kraju przepisy mają jedynie wyznaczać kierunek. Natomiast decyzja o wszczęciu procesu i ewentualnym skazywaniu pozostaje kwestią moralności danej jednostki. W tym konkretnym przypadku — moralności urzędniczo-konformistycznej, wygodnej dla systemu oligarchicznego, jakim jest dziś aparat represji wszelakiej.

Odkąd powstały systemy prawne na świecie, wiadomo, że nie ma sprawiedliwości bez równości. Tutaj równość wobec prawa mierzy się w PLN, a po kolorze munduru ocenia się wiarygodność świadka. Świadka, który jest jednocześnie sprawcą.

UNIEWINNIENIE, CZYLI KOD 13

Po trzynastu miesiącach zapadł wyrok. Zostałem uniewinniony. Paradoks polega na tym, że po raz pierwszy od początku tej historii nie

poczułem zwycięstwa. Poczułem ulgę. A ulga nie jest tym samym co sprawiedliwość.

Podczas procesu zeznawał mój kolega, którego sędzia dojrzała w aktach po tym, jak postanowiłem zwrócić uwagę wymiaru sprawiedliwości na nieścisłości w zeznaniach policjanta. Co sama osoba orzekająca na czerwcowej rozprawie mi zakomunikowała i przy okazji pochwaliła się, że wysłała mu błędne wezwanie, więc dopiero teraz kolega mógł zeznawać. Co ciekawe, w tych samych aktach jest jeszcze dwóch innych świadków, których sędzia nie zaprosiła. W moim odczuciu dlatego, że jeden ze „świadków", policjant, wyrywał mi na filmie telefon z ręki. Drugi, jak twierdzi on sam, trzy dni po zdarzeniu (ale tego już się nie dowiemy chyba nigdy) inny policjant złamał nogę, co kosztowało podatnika co najmniej 60 tys. zł. Policjanci, którzy przyjechali na interwencję razem z pogotowiem, stwierdzili, że nie przyjmują zgłoszenia, bo to można tylko z powództwa cywilnego. Byliby to zatem świadkowie niewygodni dla systemu, gdyż pokazaliby kolejne etapy rozwoju nadużyć i samosądów w wykonaniu policji.

Na moją prośbę o zwrot kosztów dotarcia na sprawę dostałem odmowną odpowiedź, uzasadnioną tym, że moje obecności nie były obowiązkowe. Gdyby jednak mnie nie było, to wyrok, sądząc po uwadze o 100 zł na wejściu, byłby na moją niekorzyść.

Myślę, że każdy znawca tematu dostrzeże przy okazji tej konkretnej sprawy „prawniczy kierunek białoruski", który niestety, gdy tylko jesteś sam, u nas jest standardem.

Ja nie powoływałem żadnych świadków. Domniemanie niewinności albo obowiązuje, albo nie obowiązuje wcale — a udowadnianie własnej niewinności po to, żeby zostać uniewinnionym, jest już jego zaprzeczeniem. Kto mówi prawdę, a kto kłamie, przy stanie 1 vs 1 i tak nikt nie jest w stanie obiektywnie ocenić. Mundur buduje wiarygodność zafałszowaną i stronniczą — wiarygodną dla państwa w państwie. Ta wiarygodność jest systematycznie podważana, a konsekwencje nie wyciągane wobec kłamców w mundurach i manipulantów w togach, o czym był rozdział drugi.

„Ocena wiarygodności" to nie jest neutralne narzędzie pomiarowe. To otwarta furtka. Formalnie sąd stosuje swobodną ocenę dowodów z art. 7 k.p.k. — spójność, konsekwencja, „naturalność" reakcji. Nieformalnie ocenia coś znacznie prostszego: kto się nie plącze. A tu zaczyna się problem, o którym żaden podręcznik prawa karnego nie napisze wprost — bo płynność zeznania nie jest dowodem prawdy. Jest dowodem opanowania.

Ciemna triada — daje dokładnie to, co sala sądowa nagradza.

Makiawelizm daje zdolność przygotowania narracji pod odbiorcę: sprawca nie zeznaje, on występuje.

Narcyzm daje pewność siebie, którą sąd odczytuje jako szczerość, choć to tylko cecha osobowości, nie funkcja prawdy.

Psychopatia daje coś jeszcze bardziej perfidnego: brak fizjologicznego lęku. Człowiek, który nie boi się konsekwencji ujawnienia kłamstwa, nie emituje żadnego z sygnałów stresu, które sąd — i każdy z nas — instynktownie czyta jako „on kłamie". Ofiara, która ma normalnie działający układ limbiczny, plącze się, blednie, milczy o sekundę za długo. System nagradza spokój oprawcy i karze chaos ofiary — bo mierzy formę, nie treść.

To jest ta sama sztuczka, która została opisana w rozdziale o poneryzacji języka: słowo „wiarygodność" nie zmienia znaczenia, zmienia funkcję. Brzmi jak metoda dowodowa. Działa jak wyrok wydany, zanim dowód zdążył się obronić. I dzięki temu art. 5 § 2 k.p.k. — in dubio pro reo — można ominąć, nie łamiąc go formalnie: sąd nie mówi „mam wątpliwość", mówi „uznaję zeznanie funkcjonariusza za wiarygodne".

Jest to prawo rażąco niesprawiedliwe, więc traci swój charakter prawa. Ale tylko w zdrowym systemie prawnym, czego o polskim systemie prawnym aktualnie powiedzieć nie można.

To nie jest jednak nieuchronna cecha każdego procesu karnego. Poszczególne państwa przyjęły różne rozwiązania mające ograniczyć ryzyko skazania osoby niewinnej. W Szkocji przez dziesięciolecia obowiązywała zasada corroboration, wymagająca niezależnego potwierdzenia kluczowych faktów, zanim możliwe było skazanie. Polski model deklaruje domniemanie niewinności i zasadę in dubio pro reo, ale jednocześnie pozostawia sądowi bardzo szeroką swobodę oceny wiarygodności dowodów. W praktyce oznacza to, że wynik procesu może zależeć nie tylko od materiału dowodowego, lecz także od tego, komu sąd przypisze większą wiarygodność.

To nie jest uniwersalna cecha procesu karnego. To lokalny brak. Niemiecki Trybunał Federalny już w 1999 roku narzucił twardą zasadę: zakładasz na starcie, że zeznanie jest kłamstwem, i dopiero musisz tę hipotezę obalić faktami, nie wrażeniem. Szkocja od wieków wymaga dwóch niezależnych źródeł dowodowych, zanim ktokolwiek pójdzie siedzieć — samo zeznanie, choćby najbardziej przekonujące, nigdy nie wystarczy. Polska nie ma żadnego z tych zabezpieczeń. Ma „swobodną ocenę dowodów" i sędziego, który wierzy w to, co chce uwierzyć. A najłatwiej wierzy przedstawicielom aparatu represji i tym, którzy z nim współpracują.

Trybunał w Strasburgu już to zauważył, więcej niż raz. Sąd, który w postanowieniu o areszcie napisał, że oskarżony dopuścił się czynu, zanim jeszcze zapadł wyrok. Prokurator, który ogłosił winę na konferencji prasowej, zanim ogłosił ją sąd. To nie są wypadki przy pracy. To wzorzec, który ktoś powinien był dawno załatać. Jednak na system nie ma co liczyć, bo skończy się to tak, jak skończyłaby się moja sprawa, gdybym tylko pozwolił sobie na chociaż jedno niepojawienie się w sądzie. Czyli kolejną victorią „równiejszych" nad „bezsilnymi".

Smutny jest kierunek, w którym idziemy jako naród. Ale o tym była już mowa w rozdziałach o teorii zła systemowego.

W każdym razie po 13 miesiącach, 4 rozprawach, przełożeniach spraw, złych wezwaniach, nieinformowaniu mnie o rozprawach i kilku innych „błędach", pod naporem niezbitych dowodów i nie wnoszących nic do sprawy zeznań świadków zostałem uniewinniony.

Warto dodać, że moja płyta z filmami, których podobno nie ma na płycie, nie została mi zwrócona, bez jakiegoś sensownego uzasadnienia, bo nagrałem po kilku miesiącach nową płytę, więc ta sama z siebie przestała być materiałem dowodowym.

Człowiek, który tę płytę nagrywał, twierdzi, że nagrał wszystkie filmy. Gdyby się okazało, że film jednak jest na płycie, sprawa powinna była się w grudniu zakończyć, ale wtedy musiałoby się to odbyć bez moich strat finansowych i w zasadzie bez Institutional DARVO w praktyce. Co według powszechnie panującego w środowisku sędziowsko-prokuratorskim obyczaju byłoby niesprawiedliwe wobec reżimu.

Ofiara okazała się twardsza, niż system się spodziewał. Jednak walczyłem tak zaciekle, aby Ci pokazać, czytelniku, ile trzeba poświęceń, aby w chorym systemie prawnym zostać uniewinnionym w procesie, który w ogóle nie powinien się odbyć! Choć bardziej niż proces było to przedstawienie, którego wartości nominalnej nie poruszono przy odczytaniu wyroku, a którym zostałeś obciążony Ty. Natomiast można się spodziewać, że trwonienie publicznych pieniędzy w sosnowieckim sądzie jest podobne jak w słynnym ostatnio szpitalu południowym, gdzie pokazane jest wyraźnie, iż sygnalista jest wiarygodny, tylko wtedy, gdy sygnał idzie w konkretnym i wygodnym dla władzy kierunku.

Taka jest batalia w polskim sądzie, gdy ktoś w sytuacji 1 vs 1 nie zgadza się z mandatem. Fałszywym i zakłamanym, mającym na celu tylko pokazanie obywatelowi miejsca w szeregu i uświadomienie go, na utrzymanie czego idą jego podatki.

Nietrudno sobie wyobrazić, co dzieje się, gdy ta kwota jest wyższa — albo gdy Twoje zdanie, będąc oskarżonym przez aparat represji w konfiguracji 1 vs 1, nie jest pokryte niepodważalnym materiałem dowodowym.

13-miesięczną konfrontację z urzędniczym chłodem odzianym w Eichmannowską interpretację imperatywu kategorycznego mam już za sobą. Pozostała mi publikacja książki, żebyś Ty, czytelniku, miał obraz tego, w jak chorym systemie przyszło Ci żyć.

Podsumowując trzy rozdziały tej części, warto przypomnieć sobie słowa Einsteina o uczciwości: „Kto jest niedbały z prawdą w małych sprawach, temu nie można ufać w sprawach wielkich."

Dotyczy to również, a może przede wszystkim systemu.

Ps.

Jest to ten sam komisariat, ta sama prokuratura i ten sam sąd, pod który należeli śp. poseł Łukasz L. i śp. Paweł B., a którym się zmarło w końcowej fazie pisania teorii. Inspirując mnie jednocześnie do pokazania, jak to wygląda w praktyce, i mniej więcej w połowie mojego procesu o śmieszne według sądu 100 zł. Prokuratorskie śledztwo zostało umorzone już w zeszłym roku, gdyż nie dostrzeżono na filmach czynów zabronionych w wykonaniu przedstawicieli instytucji borykającej się od chwili powstania z kryzysem moralno-intelektualnym.

Tzn. że ten sam materiał ludzki ustala „stan faktyczny" obu tych zgonów.

Więc jedyne, co ludowi pozostało w kwestii wyjaśnienia śmierci tych ludzi, to nadzieja i modlitwa.

Artykuł 11 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka:

1. Każda osoba oskarżona o czyn zabroniony korzysta z domniemania niewinności, dopóki jej wina nie zostanie udowodniona zgodnie z prawem w procesie publicznym, w toku którego korzysta ona z wszelkich gwarancji koniecznych dla swej obrony.

2. Nikt nie może być uznany winnym jakiegokolwiek przestępstwa karnego z tytułu jakiegokolwiek działania lub zaniechania, które w czasie jego popełnienia nie stanowiło czynu zabronionego zgodnie z prawem krajowym lub międzynarodowym. Na nikogo też nie można nałożyć kary surowszej niż ta, która znajdowałaby zastosowanie w czasie popełnienia czynu zabronionego.

CZĘŚĆ VI

CO Z TYM ZROBIĆ

Rozdział 17

Jak nie Ty, to kto?

O psychologii milczenia i pierwszym kroku

„Kiedy cały świat milczy, nawet jeden głos staje się potężny.”
— Malala Yousafzai

Zaczynamy od Havla, bo to jeden z najczystszych symboli sprzeciwu wobec systemu, który żeruje na strachu, milczeniu i rutynowym przyzwoleniu. Na słowiańskiej ziemi trudno wskazać postać, która tak mocno połączyła etykę osobistą z walką polityczną.

Havel rozumiał coś fundamentalnego: patokracja nie utrzymuje się wyłącznie siłą. Utrzymuje się wtedy, gdy zwykli ludzie przestają mówić „nie”. Gdy przyzwyczajają się do krzywdy. Gdy milczenie staje się wygodniejsze niż prawda.

To jest punkt wyjścia. Nie państwo samo w sobie jest najgroźniejsze, lecz państwo przejęte przez patologię. Nie każda instytucja jest chora, ale każda może zostać zainfekowana, jeśli ludzie w środku nauczą się, że bezpieczeństwo jest ważniejsze od sumienia. Havel nazwał ten mechanizm po swojemu: „życie w prawdzie” kontra życie w fałszu. To nie była poezja. To była strategia przetrwania godności.

PSYCHOLOGIA MILCZENIA

Człowiek zazwyczaj nie zaczyna od zdrady wartości. Zaczyna od drobnego ustępstwa. Nie chce konfliktu. Nie chce wyróżniać się z grupy. Nie chce stracić pracy, pozycji, znajomych, spokoju. Milczy więc tam, gdzie powinien mówić. Najpierw raz. Potem drugi. Potem już nie trzeba go przekonywać, bo sam nauczył się, że cisza kosztuje mniej niż sprzeciw.

Tak rodzi się konformizm. Nie z przekonania, lecz z lęku i wygody.

Psychologia społeczna dawno pokazała ten mechanizm. Ludzie dopasowują się do grupy nawet wtedy, gdy grupa się myli. Klasyczne eksperymenty Ascha pokazały, że jednostka potrafi zaprzeczyć własnym oczom, jeśli otoczenie mówi jednoznacznie coś przeciwnego. To samo dzieje się w życiu społecznym: kiedy wszyscy udają, że nic się nie dzieje, jednostka zaczyna wątpić w siebie. Myśli: może to ja przesadzam. Może lepiej nie wywoływać problemu. Może tak trzeba.

I właśnie na tym żeruje system patologiczny. Patokracja nie potrzebuje, by wszyscy ją kochali. Wystarczy jej, że większość będzie bierna. Że ludzie nauczą się nie patrzeć, nie pytać, nie reagować. Wtedy zło nie musi się ukrywać. Wtedy samo staje się normą. Najgorsze rzeczy w historii nie zawsze dokonywały się dlatego, że wszyscy byli potworami. Częściej dlatego, że zbyt wielu było „tylko” biernych.

BIERNA ZGODA JAKO WSPÓŁUDZIAŁ

Tu Havel jest bezcenny, bo pokazuje, że bierna zgoda też jest formą uczestnictwa. Gdy człowiek wiesza plakaty, powtarza slogan, przytakuje niesprawiedliwości albo udaje, że nie widzi upokarzania słabszych — staje się częścią mechanizmu. Nie musi być ideologiem. Wystarczy, że będzie posłusznym trybikiem.

Dlatego walka zaczyna się od najniższego poziomu: od jednostki, która odmawia udziału w kłamstwie. To nie jest jeszcze rewolucja. To jest odzyskanie pionu moralnego. Człowiek mówi: nie będę współtworzył systemu, który niszczy niewinnych ludzi tylko dlatego, że tak jest wygodniej dla silniejszych.

To brzmi prosto. W praktyce jest bardzo trudne. Bo za sprzeciwem idą konsekwencje. Ośmieszenie. Wykluczenie. Etykieta „problemowego”. Czasem utrata pracy, kontaktów, spokoju. Dlatego większość ludzi wybiera milczenie. Nie dlatego, że nie widzą zła. Wiele osób widzi je bardzo dobrze. Milczą, bo boją się ceny.

I tu właśnie zaczyna się prawdziwa diagnoza społeczna: system patologiczny nie musi wszystkich przekonywać. Wystarczy, że nauczy ludzi kalkulować w taki sposób, by prawda zawsze przegrywała z wygodą.

PRZYKŁADY ODWAGI

Danuta Siedzikówna — „Inka" — sanitariuszka 5. Brygady Wileńskiej AK, miała siedemnaście lat, gdy aresztowało ją UB (odpowiednik dzisiejszej policji). Komunistyczny sąd skazał ją na śmierć za pomoc żołnierzom wyklętym. Przed egzekucją w gdańskim więzieniu krzyknęła: „Niech żyje Polska!" Miała siedemnaście lat, do osiemnastych urodzin zabrakło jej sześciu dni. Nie złamała się. Nie podpisała. Nie wyparła się nikogo.

Sophie Scholl i Biała Róża pokazują, że nawet młodzi ludzie, pozbawieni władzy i aparatu siły, mogą zachować moralny kręgosłup wobec totalnego systemu.

Milada Horáková pokazuje, że walka o godność prawną i społeczną może kosztować życie, ale nie musi kosztować sensu.

Andriej Sacharow pokazuje, że człowiek z wnętrza potężnego systemu może przejść na stronę sumienia i powiedzieć: to, co robimy, jest moralnie nie do obrony.

Każdy z nich uczy tego samego: bierność nie jest jedyną możliwą odpowiedzią.

Aung San Suu Kyi pokazuje, że opór może być długotrwały i pozbawiony spektaklu. Piętnaście lat w areszcie domowym. Pokojowa Nagroda Nobla. Twarz odwagi na okładkach świata.

A potem przyszedł rok 2017. I Rohingya — muzułmańska mniejszość etniczna, którą ONZ uznała za jedną z najbardziej prześladowanych grup etnicznych na świecie. Birmańskie wojsko paliło wioski, gwałciło, mordowało. Suu Kyi milczała. Potem zaprzeczała. Następnie stanęła przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości i broniła armii.

Armia odwdzięczyła się w 2021 roku. Puczem i kolejnym więzieniem.

Odwaga moralna nie jest certyfikatem wydanym raz na zawsze. Człowiek może walczyć o własną wolność z pełnym poświęceniem — i być ślepy na cudzą. Właśnie dlatego nie czcimy ludzi. Oceniamy czyny.

Są jednak tacy, których czyny nie wymagają korekty.

Liu Xiaobo — chiński pisarz i działacz, współautor Karty 08. Nagroda Nobla odebrana przez puste krzesło, bo siedział w więzieniu. Umarł w chińskiej celi w 2017 roku. Pekin do końca odmawiał mu leczenia za granicą.

Julia „Butterfly" Hill pokazuje zupełnie inny wymiar tej samej odwagi. Nie walczyła o własne prawa. Nie represjonowała jej żadna dyktatura. Była zwykłą Amerykanką, która w 1997 roku weszła na stuletnie drzewo sekwoi w Kalifornii i już nie zeszła — przez 738 dni. Jej jedynym narzędziem było własne ciało. Bez przemocy. Bez partii. Bez aparatu wsparcia. Pacific Lumber Company miała koncesję, sprzęt i pieniądze. Hill miała upór. I wygrała — ocalona została sekwoja, którą nazwała Luną, i otaczający ją las.

Każdy z nich pokazuje to samo: jeden człowiek, który mówi prawdę, sprawia, że inni nagle widzą, że coś pęka. Gdy nie jest się już samemu, strach słabnie. Wtedy rodzi się wspólnota odwagi. Nie od razu. Najpierw jako szept. Potem jako sieć. W końcu jako środowisko, które przestaje zgadzać się na kłamstwo.

JAK NIE TY, TO KTO?

Ludzie boją się być pierwsi. Chcą poczekać, aż ktoś inny zacznie. To wygodne, ale zabójcze. Patokracja liczy właśnie na ten mechanizm. Każdy czeka na cudze ryzyko. Każdy chce, by pierwszy zrobił to ktoś inny. A ponieważ wszyscy czekają, zło ma czas się umocnić.

Stąd najważniejsze pytanie tego rozdziału: jak nie Ty, to kto?

To nie jest slogan. To jest test sumienia. Jeśli widzisz krzywdę, a nie reagujesz, stajesz po stronie mechanizmu. Jeśli rozumiesz, że milczenie karmi patologię, ale i tak milczysz, to już nie jest neutralność. To jest udział bierny, który z perspektywy systemu jest bezcenny.

NOWA ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA

Dlatego potrzebna jest nowa świadomość społeczna. Nie tylko świadomość wyborcza. Nie tylko świadomość praw obywatelskich. Potrzebna jest świadomość moralna: rozumienie, że człowiek nie może stale oddawać własnego głosu w zamian za święty spokój. Że zło systemowe nie zwycięża wyłącznie przemocą. Zwycięża wtedy, gdy ludzie wmawiają sobie, że nic od nich nie zależy.

Zależy. Zawsze zależy więcej, niż się wydaje.

Jednostka, która odmawia współudziału, przerywa łańcuch. Dwie takie osoby tworzą zalążek wspólnoty. Kilka tworzy środowisko odporne. Więcej tworzy przestrzeń, której system patologiczny już nie kontroluje w pełni.

Tak rodzi się realna obrona przed patokracją: nie tylko przez prawo i instytucje, lecz przez odwagę moralną, która nie zgadza się na milczenie.

I właśnie tu Havel pozostaje pierwszy. Bo uczy, że zaczyna się od jednego człowieka. Od jego decyzji. Od jego odmowy. Od jego prawa do powiedzenia: nie będę uczestniczył w krzywdzie tylko dlatego, że inni już się przyzwyczaili.

To jest pierwszy krok. Reszta jest konsekwencją.

Rozdział 18

System salutogenny

Jak się nie dać — i co budować zamiast

„Mówi się, że żadne drzewo nie może wzrosnąć do nieba,
jeśli jego korzenie nie sięgają piekła."
Carl Gustav Jung

Wyobraź sobie drezynę napędzaną siłą ludzkich mięśni. Raz z prawej strony, raz z lewej — każde naciśnięcie dźwigni nadaje pędowi nowy impuls. Ludzie po skrajnych stronach najmocniej napędzają cały skład. Maszynista trzymający hamulec musi jednak wiedzieć, kiedy interweniować — bo jeśli dźwignia pójdzie za daleko w jedną stronę, drezyna zboczy z kursu. Ci, którzy stoją bliżej środka dźwigni, naciskają słabiej — ale widzą świat przez szersze okno. Im bliżej krawędzi, tym większa siła nacisku, ale węższe pole widzenia. A okno, przez które wszyscy patrzą na świat, przesuwa się razem z dźwignią — i niewielu w pełni zauważa, kiedy krajobraz za szybą staje się zupełnie inny.

Jeżeli dźwignia pójdzie za bardzo w któryś z kierunków, drezyna wraz z całym składem się wykolei. Trzeba będzie skład ponownie ustawić na torach, rozpędzić i pilnować, żeby żadna ze stron nie przechyliła za bardzo dźwigni na swoją stronę.

XX wiek pokazał nam, jak wielu „wykolejeńców" potrafi stanąć u władzy, kiedy tylko któraś ze stron za bardzo przechyli dźwignię na swoją korzyść.

Wszyscy mają prawo i obowiązek napędzać drezynę — trzymając swoją stronę dźwigni. Ważne, żeby robić to na zasadach sportowej rywalizacji i nie zrzucać z drezyny ludzi trzymających przeciwną część dźwigni.

To jest stara, dobra, przyzwoita demokracja — system, w którym przeciwnik polityczny nie jest wrogiem, lecz współuczestnikiem napędzającym ten sam pojazd.

Ta metafora nie dotyczy wyłącznie polityki. Opisuje każdy system oparty na współpracy, sporze i równowadze — od rodziny i szkoły, przez naukę i gospodarkę, aż po całe społeczeństwa.

Przez całą tę książkę opisywaliśmy chorobę.

Opisywaliśmy, jak zło wchodzi. Przez język. Przez struktury. Przez zmęczenie ludzi i ich codzienne, drobne zgody na fałsz. Opisywaliśmy cykl emocjocentryczny, patokrację, poneryzację. Opisywaliśmy, jak system potrafi zawładnąć instytucjami, zmysłami, a w końcu sumieniami.

Ale choroba nie jest całą historią. Jest jeszcze odpowiedź immunologiczna.

I właśnie o niej jest ten ostatni rozdział. Nie po to, żeby zakończyć wszystko optymistyczną nutą na siłę. Nie po to, żeby przykryć ciężar poprzednich stron ładnym finałem. Tylko dlatego, że bez odpowiedzi salutogennej cała reszta byłaby jedynie opisem powolnego rozkładu. A ta książka nie jest epitafium. Jest próbą pokazania, jak zachować człowieczeństwo w świecie, który nie jest ani łagodny, ani sprawiedliwy, ale który da się zamieszkiwać z godnością, jeśli zna się zasady obrony.

PYTANIE, KTÓRE ZMIENIŁO MEDYCYNĘ

W drugiej połowie XX wieku Aaron Antonovsky zadał pytanie, które przesunęło środek ciężkości w myśleniu o zdrowiu.

Nie pytał: dlaczego ludzie chorują? Pytał: dlaczego niektórzy ludzie nie chorują, mimo że mieli wszystkie powody, żeby się załamać?

To był zwrot ważny nie tylko dla medycyny, ale dla całego myślenia o człowieku. Zamiast skupiać się wyłącznie na deficycie, Antonovsky zaczął szukać tego, co podtrzymuje zdrowie. Co pozwala człowiekowi nie rozsypać się pod naciskiem.

To, co nazwał poczuciem koherencji, można opisać po ludzku jako wewnętrzne przekonanie, że świat po pierwsze da się zrozumieć, po drugie da się w nim działać, po trzecie warto w nim działać. Antonovsky opisał to jako cechę jednostki. Ja stosuję jego myśl szerzej — jako zasadę budowania środowisk odpornych na patologię. To moje rozwinięcie jego koncepcji, nie jej wierne powtórzenie.

Trzy filary. Zrozumiałość. Zaradność. Sensowność.

Kiedy te trzy stoją, człowiek nie jest łatwą zdobyczą. Dla nikogo.

PIERWSZY FILAR: ZROZUMIAŁOŚĆ

Zrozumiałość to przekonanie, że świat, choć trudny, nie jest czystym chaosem. Że rzeczy mają przyczyny. Że zdarzenia można powiązać. Że nie wszystko jest mgłą, a jeśli nawet mgła przychodzi, to da się wyznaczyć jej granice.

Systemy patologiczne atakują właśnie to. Najpierw rozmywają znaczenia. Potem mieszają poziomy. Na końcu robią wszystko, by człowiek przestał ufać własnemu osądowi.

Mówią jedno, robią drugie. Nazwą obdarzają coś, co jest jego przeciwieństwem. Chaos nazywają porządkiem. Uległość — dojrzałością. Strach — ostrożnością. Odruch obrony — agresją. I jeśli robią to wystarczająco długo, człowiek zaczyna się gubić nie dlatego, że jest głupi, ale dlatego, że mapa przestaje zgadzać się z terenem.

Dlatego pierwszym aktem zdrowia jest powrót do pytania: co naprawdę się dzieje?

Nie: co mówi autorytet? Nie: co mówi większość? Nie: co jest teraz modne? Tylko: co widzę? co da się sprawdzić? co wynika z faktów?

To nie jest cynizm. To jest higiena poznawcza.

Jak budować zrozumiałość w praktyce? Czytać rzeczy, z którymi się nie zgadzasz, i sprawdzać, czy krytyka jest merytoryczna, czy tylko emocjonalna. Odróżniać fakt od komentarza. Zapytać: kto mówi? Skąd to wie? Co pomija? Co na tym zyskuje? I uczyć się historii nie jako katalogu dat, ale jako zbioru wzorców. Człowiek, który zna wzorce, trudniej daje się zastraszyć pozorem nowości.

DRUGI FILAR: ZARADNOŚĆ

Zaradność to nie złudzenie, że poradzisz sobie ze wszystkim. To świadomość, że masz zasoby, żeby przetrwać, działać i odzyskać równowagę.

To może być wiedza. To może być zawód. To może być umiejętność załatwienia sprawy bez paniki. To może być jedna osoba, której ufasz. To może być sieć małych, pewnych relacji, które nie kruszą się przy pierwszym nacisku.

Patologiczne systemy niszczą zaradność przez izolację. Najpierw człowiek słyszy, że jest zbyt wrażliwy. Potem, że przesadza. Potem, że tylko on widzi problem. Na końcu zaczyna myśleć, że jego

osąd jest odosobniony, więc zapewne błędny. A samotny człowiek jest łatwiejszy do złamania niż człowiek osadzony w relacji.

Dlatego jednym z najważniejszych działań obronnych jest nieuleganie izolacji. Nie chodzi o to, żeby wszędzie budować front. Chodzi o to, żeby mieć choć jeden punkt oparcia poza systemem, który próbuje cię urobić.

Zaradność buduje się także przez kompetencje. Przez znajomość własnych praw. Przez rozumienie procedur. Przez umiejętność złożenia pisma, przeczytania umowy, odróżnienia opinii od decyzji. W świecie, który lubi obywatela zagubionego, wiedza jest formą siły. I w przeciwieństwie do wielu innych zasobów nie da się jej łatwo odebrać.

TRZECI FILAR: SENSOWNOŚĆ

To filar najważniejszy.

Możesz rozumieć, co się dzieje. Możesz mieć zasoby. Ale jeśli nie masz po co wstawać rano, nie ruszysz dalej.

Patologiczny system atakuje sens przez cynizm. Przez śmianie się z przyzwoitości. Przez wmawianie, że i tak nic nie zmienisz. Że wszyscy są tacy sami. Że uczciwość to naiwność, a odwaga to głupota. Że najlepiej zająć się sobą i nie wychylać.

To jest najpiękniejsze kłamstwo systemu, bo brzmi jak rozsądek.

A jednak człowiek, który nie oddaje własnego osądu w zamian za spokój, podtrzymuje coś, czego żaden chory układ nie potrafi całkiem zniszczyć: przestrzeń normalności. I ta przestrzeń jest zaraźliwa. W dobrym sensie.

HAVEL, WARZYWNIAK I SIŁA MAŁYCH GESTÓW

Václav Havel pokazał to na przykładzie banalnym, ale właśnie przez to przejmującym.

Zieleniarz wywiesza w sklepie hasło, którego nie uważa za prawdziwe. Nie dlatego, że jest ideologiem. Nie dlatego, że kocha system. Tylko dlatego, że tak bezpieczniej. Żeby nie mieć kłopotów. Żeby nie odstawać. Żeby przejść przez dzień bez tarcia.

I właśnie w tym tkwi rdzeń choroby. System nie potrzebuje pełnej wiary. Wystarczy mu uczestnictwo w rytuale kłamstwa.

Odwrotność jest równie prawdziwa. Człowiek, który nie wywiesza kartki, której treści nie uznaje, robi coś małego, ale zasadniczego. Mówi: ta fikcja nie jest rzeczywistością.

To jest niewielki gest. A jednak taki gest potrafi chronić człowieka przed wewnętrznym rozpadem.

Żyć w prawdzie nie oznacza robić rewolucję każdego dnia. Oznacza nie oddawać własnego sądu w zamian za chwilowy komfort. Nie powtarzać kłamstwa tylko dlatego, że jest powszechne. Nie udawać, że coś jest normalne, kiedy wiesz, że nie jest. Nie podpisywać wewnętrznie tego, co zewnętrznie ci narzucono.

SIECI NORMALNOŚCI

Łobaczewski widział, że nawet w najbardziej zainfekowanym środowisku istnieją ludzie, którzy rozpoznają fałsz. Nie muszą być zorganizowani. Nie muszą mieć sztabu. Wystarczy, że wiedzą, że nie są sami.

Antonovsky powiedziałby, że taka sieć wzmacnia poczucie koherencji. Ja powiedziałbym prościej: normalność lubi być cicha, ale nie znika. Trwa w rozmowach prowadzonych półgłosem, w odmowie udziału w zbiorowej fikcji, w pamięci, która nie daje się przepisać.

W Polsce takie sieci istniały wielokrotnie. W podziemnej prasie, w mieszkaniach, gdzie czytało się zakazane teksty, w prywatnych rozmowach, w których ktoś mówił: nie, to nie ma sensu. To nie były rzeczy spektakularne. Ale to właśnie one utrzymywały ciągłość.

Narzędzia rozpoznania opisane w tej książce — od testu rozpoznania po mechanizmy fazy dysymulatywnej — stają się tu punktem wyjścia do działania. Rozpoznanie nie jest końcem drogi. Jest jej początkiem.

HIGIENA JĘZYKOWA

Rozdział o poneryzacji języka opisał narzędzia, którymi system przejmuje rzeczywistość. Eufemizm. Paramoralizacja. Paralogizm. Nowomowa. Dehumanizacja przez słowo. Ale jest w tym wszystkim jedna rzecz, o której łatwo zapomnieć: te narzędzia są zaraźliwe.

Człowiek, który zbyt długo żyje w środowisku przesiąkniętym pustymi słowami, zaczyna je produkować. Nie z cynizmu. Z przyzwyczajenia. Słyszy, że krzywda to „incydent". Słyszy, że kłamstwo

to „narracja". Słyszy, że wykluczenie to „optymalizacja zasobów ludzkich". I po jakimś czasie sam zaczyna mówić tym językiem — bo innego nie słyszał dostatecznie długo.

Dlatego system salutogenny zaczyna się od własnego języka. Od pilnowania, żeby słowa znaczyły to, co znaczą. Żeby krzywda nazywała się krzywdą. Żeby kłamstwo nazywało się kłamstwem. Żeby człowiek, który stracił pracę, nie był „zasobem wymagającym realokacji".

To nie jest pedanteria. To jest obrona przed wewnętrznym przejęciem przez cudzy język. Bo człowiek, który przyjął cudzy język, w końcu przyjmuje cudzy sposób patrzenia. A człowiek, który patrzy cudzymi oczami, nie widzi już własnej rzeczywistości.

Nazywaj rzeczy po imieniu. Nawet jeśli to niewygodne. Zwłaszcza jeśli to niewygodne.

CZUJNOŚĆ JAKO PRAKTYKA

Rozdział o fazie dysymulatywnej opisał, jak patologia wchodzi do grupy. Cicho. Metodycznie. Z uśmiechem i cierpliwością. Testuje grunt. Dawkuje wpływ. Szuka słabych punktów. I działa tak długo, zanim ktokolwiek poczuje, że coś jest nie tak — bo każdy pojedynczy sygnał z osobna można wytłumaczyć.

Wyporność psychiczna grupy nie jest wrodzona. Buduje się przez nawyk. I jest to nawyk bardzo konkretny: nazywania asymetrii wtedy, kiedy się pojawia. Zanim urośnie. Zanim stanie się normą.

Ktoś zawsze wychodzi z tego samego spotkania obronną ręką, niezależnie od tego, co zrobił? Warto to zauważyć. Ktoś nigdy nie jest rozliczany z obietnic, które dał? Warto to zauważyć. Ktoś, kto zadaje pytania, jest konsekwentnie przedstawiany jako trudny, drażliwy albo nielojalny? Warto to zauważyć.

To nie jest paranoja. To jest wzorzec rozpoznawczy. I jest wyuczalny — tak samo jak rozpoznaje się wzorce w każdej innej dziedzinie. Chirurg uczy się rozpoznawać stan zapalny, zanim stanie się sepsą. Mechanik uczy się słuchać silnika, zanim się zatnie. Człowiek żyjący w grupie może nauczyć się słuchać jej dynamiki, zanim zostanie w pełni przejęta.

Przewaga czasowa jest tutaj wszystkim. Patologia na wczesnym etapie jest łatwa do zatrzymania. Na późnym — znacznie trudniej się jej przeciwstawić. Różnica między tymi etapami to właśnie czujność.

Nie permanentna podejrzliwość wobec wszystkich. Uwaga skierowana na sygnały, które odbiegają od normy.

Człowiek, który nauczył się rozpoznawać wejście, widzi je, zanim stanie się faktem dokonanym.

WERYFIKACJA CHARAKTERU, NIE KOMPETENCJI

Adlerowski romb pokazał, że destrukcja często nosi mundur ambicji. Że człowiek z głębokim deficytem poczucia własnej wartości może przez dekady budować pozycję, która ten deficyt przykrywa — i niszczyć wszystko dookoła właśnie dlatego, że pozycja jest dla niego ważniejsza niż cokolwiek, czemu ta pozycja ma służyć.

Problem polega na tym, że na etapie rekrutacji — czy to do pracy, czy do zarządu, czy do wspólnoty sąsiedzkiej — oceniamy kompetencje. CV. Referencje. Doświadczenie. Wyniki. I to wszystko może być doskonałe u człowieka, który za dwa lata rozłoży całą strukturę.

Dlatego system salutogenny wymaga nawyku patrzenia nie tylko na to, co ktoś umie — ale skąd pochodzi jego motywacja. To nie jest mistyka. To są konkretne pytania, które można nauczyć się zadawać.

Czy ktoś chce robić — czy chce być widziany jako ten, który robi? Czy szuka współpracy — czy szuka podległości? Czy jego pewność siebie rośnie, gdy projekt się udaje — czy gdy rośnie jego własna pozycja? Jak zachowuje się, gdy ktoś inny dostaje pochwałę, na którą on też zasługiwał? Jak reaguje na sprzeciw — korektą czy odwetem?

To są pytania, które można zadawać. I które ratują wspólnotę przed człowiekiem, który przyjdzie z ambicją i zostanie z ruiną.

Kompetencje można sprawdzić w CV. Charakter sprawdza się w sytuacjach, gdy nikt nie patrzy. Albo gdy ktoś mówi nie.

OSOBISTA ODPOWIEDZIALNOŚĆ JAKO ZASADA

Rozdział o urzędniku krzywdzicielu opisał rozmycie odpowiedzialności jako łańcuch dziewięciu ogniw. Każde robi swój kawałek. Jeden przyjmuje pismo. Drugi odkłada. Trzeci odsyła. I tak człowiek błądzi po systemie, gdzie każdy nagrobek mówi to samo: nie ja.

Ten mechanizm działa tylko wtedy, gdy każde ogniwo łańcucha pozwala mu działać. Gdy każdy człowiek w instytucji traktuje siebie jako część procedury, a nie jako podmiot moralny.

Jest jednak inna możliwość. Każdy człowiek w instytucji może zdecydować, że jest ostatnim ogniwem. Że na nim łańcuch się zatrzymuje. Nie dlatego, że jest bohaterem. Dlatego, że postanowił, że nie będzie tylko funkcją.

To brzmi prosto. W praktyce kosztuje. Bo system, który żyje z rozmycia, nie lubi ogniw, które się zatrzymują. Takie ogniwa dostają etykietkę trudnych. Nielojalnych. Nieelastycznych.

Ale instytucja złożona z ludzi, którzy każdy z osobna odmawiają bycia tylko trybikiem, jest instytucją, w której rozmycie odpowiedzialności nie działa. Nie dlatego, że przepisy są lepsze. Dlatego, że ludzie w środku postanowili być ludźmi, a nie funkcjami.

To jest skromna rewolucja. Cicha. Bez plakatów. Ale jedyna, która nie wymaga zmiany ustaw.

PYTANIE O FUNKCJĘ JAKO NAWYK

Rozdział o karykaturyzacji opisał instytucje, które zachowały formę po utracie treści. Szpital bez leczenia. Sąd bez sprawiedliwości. Komisję, która od lat debatuje bez efektu.

Karykatura żyje z jednej rzeczy: z braku pytania po co.

Antidotum jest proste i dlatego tak rzadko stosowane. Jedno pytanie, które warto zadawać regularnie — sobie i innym. Nie: jak to działa? Lecz: po co to istnieje? Czemu służy? Komu pomaga? Co by się zmieniło, gdyby tego nie było?

Szpital, który nie leczy — istnieje po co? Komisja, która od lat nie wydaje żadnych rekomendacji — istnieje po co? Procedura, której nikt nie rozumie i która niczego nie przyspiesza — istnieje po co?

Człowiek, który pyta o funkcję zamiast o formę, jest naturalnym wrogiem karykaturyzacji. Dlatego system patologiczny tak bardzo nie lubi tego pytania. Nazywa je brakiem szacunku dla instytucji. Naiwnym idealizmem. Niezrozumieniem złożoności sytuacji.

A to jest po prostu pytanie dorosłego człowieka, który chce wiedzieć, co robi i dlaczego.

Ćwicz je jak mięsień. Zadawaj je tam, gdzie wszyscy już przestali.

CO BUDOWAĆ W PRAKTYCE

Po stronie jednostki:

Utrzymuj zdolność rozróżniania. Fakt od komentarza. Wiedzę od emocji. Realny problem od teatralnej reakcji na problem. Ćwicz to jak mięsień.

Buduj relacje oparte na wzajemności, nie na ślepym posłuszeństwie. Lojalność bez kręgosłupa bywa tylko paliwem patologii.

Znajdź sens, który nie zależy od łaski systemu. Może być w pracy wykonanej uczciwie, w relacji, która nie jest transakcją, w wiedzy, którą zdobywasz, w odpowiedzialności za coś realnego.

Po stronie wspólnoty:

Buduj kulturę pytań. W zdrowej wspólnocie wolno zapytać: dlaczego? na jakiej podstawie? kto odpowiada?

Wymagaj przejrzystości. Jeśli decyzja nie ma uzasadnienia, to nie jest decyzja poważna. To jest zasłona.

Dbaj o pamięć. Wspólnota, która nie pamięta, staje się miękkim materiałem do modelowania przez każdego, kto akurat ma władzę i cierpliwość.

KALIBRACJA

Arystoteles wiedział, że cnota nie leży w wyborze między odwagą a tchórzostwem. Leży pośrodku. Nie jako kompromis, ale jako precyzja.

To samo dotyczy ciemnej triady.

Całkowite wygaszenie tych cech nie czyni człowieka lepszym. Czyni go łatwiejszym celem. Nie tylko dla przedstawicieli własnego gatunku — dla każdego, kto wyczuwa brak instynktu. Przyroda nie nagradza bezbronności. Nagradza kalibrację.

Za dużo — i stajesz się tym, o czym pisałem w rozdziale o jednostkach dyssocjalnych. Za mało — i stajesz się materiałem, z którego tamci lepią swoją przewagę.

Pytanie nie brzmi: czy mam w sobie te cechy? Pytanie brzmi: czy ja nimi steruję, czy one mną?

To jest właśnie rdzeń systemu salutogennego. Nie świętość. Nie bezgrzeszność. Świadoma kontrola nad własnym arsenałem.

O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Wróćmy na chwilę do rozdziału o cyklu emocjocentrycznym — do algorytmów i architektury uwagi. Jest jeszcze jedna warstwa tego problemu, którą warto nazwać wprost: sztuczna inteligencja. Nowe narzędzia nie zmieniają natury człowieka. Wzmacniają ją.

Sztuczna inteligencja jest dziś najbardziej spektakularnym przykładem tego, co człowiek zawsze robił z każdym wynalazkiem: jedni pytają, jak go użyć dla dobra wspólnego. Inni pytają, jak użyć go dla przewagi. I bardzo często ta druga grupa jest szybsza. Bo nie traci czasu na etykę.

Dlatego pytanie o AI nie jest pytaniem technologicznym. Jest pytaniem ponerologicznym. Kto kontroluje dane — ma wpływ na odpowiedź. Kto kontroluje algorytm — ma wpływ na to, co w ogóle zostaje człowiekowi pokazane. Kto kontroluje reguły klasyfikacji wiedzy — decyduje, co uchodzi za prawdę, a co za szum. To nie jest teoria spiskowa. To jest architektura każdego systemu rekomendacyjnego, który dziś obsługuje miliardy ludzi jednocześnie.

Człowiek wyposażony w cechy ciemnej triady i dostęp do takich narzędzi nie potrzebuje już armii ani aparatu represji. Potrzebuje danych i cierpliwości. Reszta dzieje się sama — przez algorytm, przez nawyk, przez zmęczenie odbiorcy, który dawno przestał sprawdzać, skąd pochodzi to, w co właśnie uwierzył.

System salutogenny w epoce AI ma jedno dodatkowe zadanie: nie dać się zastąpić. Nie dać zastąpić własnego myślenia cudzym modelem. Nie dać zastąpić własnej pamięci cudzą bazą danych. Nie dać zastąpić własnego osądu odpowiedzią wygenerowaną przez system zoptymalizowany pod cele, których człowiek nie zna i nie wybrał.

To nie jest argument przeciwko technologii. To jest argument za tym, żeby nigdy nie oddawać jej więcej niż narzędzia. Bo narzędzie służy człowiekowi. A człowiek — jeśli oddaje mu stery — przestaje być podmiotem. Staje się użytkownikiem. A użytkownik jest produktem.

CYFROWE ZMĘCZENIE

Mózg człowieka nie powstał do życia w nieustannej lawinie bodźców. Powstał do reagowania na coś, co miało wagę, rzadkość i konsekwencję.

Dziś dostaje sygnały bez przerwy. Powiadomienia. Nagłówki. Komentarze. Oburzenie. Cudzy sukces. Cudzy gniew. Cudzą krzywdę podaną w formie treści do przewinięcia.

Efekt jest przewidywalny: człowiek męczy się nie pracą nad sensem, ale nad obróbką śmieciowego pobudzenia.

I właśnie człowiek zmęczony jest najłatwiejszy do prowadzenia. Nie ma siły sprawdzać. Nie ma cierpliwości czytać. Nie ma energii, żeby powiedzieć: stop, to nie ma sensu.

Dlatego zarządzanie uwagą jest dziś częścią systemu salutogennego. Wyłączanie części powiadomień. Ograniczanie czasu w miejscach, które karmią lęk i porównanie. Zostawianie przestrzeni na ciszę. Na dłuższy tekst. Na myślenie bez podkładu dźwiękowego.

To nie jest luksus. To jest obrona.

TRZY POZIOMY ZŁA

Żeby prawo i instytucje działały sensownie, trzeba odróżniać rodzaje zła.

Jest zło impulsywne. Ktoś działa w gniewie, w lęku, w panice. To zło potrafi być bardzo bolesne, ale zwykle ma kontekst i często także skruchę.

Jest zło wynikające z długiego uszkodzenia wewnętrznego. Ktoś krzywdzi, bo sam jest poraniony, nie potrafi inaczej regulować napięcia, nie ma języka do własnego bólu. To zło bywa tragiczną mieszanką winy i niezdolności.

I jest zło trzecie: zimne. Wyrachowane. Zbudowane na ideologii, interesie albo świadomym cynizmie. To zło, które nie wybucha, tylko planuje. Nie traci panowania, tylko je zachowuje. Nie działa w afekcie, tylko z kalkulacją.

To właśnie ono bywa najrzadziej rozpoznawane na czas. Bo systemy patokratyczne często karzą impulsywnych, leczą lub izolują emocjonalnie rozbitych, a promują zimnych kalkulatorów, którzy nauczyli się poruszać w instytucjach bez zostawiania śladów. I to jest główny powód kryzysów, za które odpowiedzialny jest czynnik ludzki.

Czy to wojna, czy kryzys ekonomiczny — zawsze stoją za nimi jednostki, które dostały się do władzy przez brak czujności społeczeństwa.

ZAKOŃCZENIE

System salutogenny nie jest receptą na szczęście. Nie obiecuje, że świat stanie się dobry. Nie obiecuje nawet, że będzie łatwiej.

Obiecuje coś skromniejszego i ważniejszego: że człowiek może nie dać się całkiem rozłożyć. Że może rozumieć. Że może działać. Że może zachować sens. Że może pozostać w prawdzie, nawet jeśli robi to w małej skali.

Bo cywilizacja nie trwa dzięki wielkim hasłom. Trwa dzięki ludziom, którzy nadal rozpoznają fałsz i nie chcą w nim uczestniczyć.

Nie z pomników. Z ludzi. Nie z deklaracji. Z praktyki. Nie z samych emocji. Z rozumu, godności i pamięci.

Dodatek

Syndrom Efialtesa jako ponerologiczne Dictum Hickama

czyli chłopiec w niemieckiej piżamie

Milczenie wobec zła samo jest złem.
Nie mówić — znaczy mówić
Nie działać — znaczy działać
Dietrich Bonhoeffer

Ten rozdział różni się od pozostałych. Nie piszę tu jako autor-uczestnik ani jako klasyczny obserwator życia codziennego. Opowiadam historię i analizuję syndrom, który, o ile mi wiadomo, nie ma jeszcze oficjalnej nazwy. To hipoteza robocza, oparta na obserwacjach ludzi o bardzo podobnym wzorcu funkcjonowania. Niech czytelnik pamięta, że traktuję to jako próbę zrozumienia — jako tzw. ponerologiczne dictum Hickama. O ile między przykładami widać różnice w, nazwijmy to, wzorcach politycznych, o tyle wspólny mianownik pozostaje ten sam. Zdrada nie motywowana finansami czy strachem przed konsekwencjami, a poneroideą.

Wyobraźmy sobie Polskę drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Jeszcze przed słynnym listem polskich biskupów do niemieckich biskupów — gestem przełomowym, bo pierwszym od dawna krokiem ku uznaniu wzajemnych krzywd. W tej rzeczywistości w Gdańsku rodzi się chłopiec w rodzinie mieszanej — po wojnie, która wciąż trwała w ludziach. Ojciec — Polak, uprzedzony do Niemców, despotyczny i porywczy; matka — Niemka, cicha, serdeczna, jedyny azyl. Chłopiec szybko odczuwa na sobie ciężar konfliktu dwóch światów. Uczy się, że jedyną ucieczką przed surową ręką ojca jest kłamstwo. Nie z natury — z konieczności. Kto nie kłamie, dostaje lanie pasem. Kto kłamie umiejętnie, przeżywa. Tak rodzi się pierwszy odruch: prawda jest niebezpieczna, fikcja chroni. Na zewnątrz sytuacja nie jest lepsza. Rówieśnicy wyczuwają w nim obcość: niemiecki akcent w domu, matkę „z tamtej strony". Wyśmiewają go za rotacyzm — wadliwą wymowę „r", którą w Polsce uznaje się za ułomność, choć w Niemczech wiele

realizacji tej głoski jest normą. Jest to dla nich dowód, że „nie jest stąd". Nauczyciele — sami obciążeni wojenną traumą — często nie są bezstronni. Mały obcy staje się kozłem ofiarnym: łamany w domu pasem za każde potknięcie i szykanowany poza domem za to, kim jest. Przeżywa bicie, słowne cięgi, najniższe oceny. W takich warunkach chłopiec kształtuje w sobie specyficzny zestaw cech. Po pierwsze — patologiczne kłamstwo — bo tylko dzięki niemu można było przeżyć. Po drugie — głęboka nieufność do otoczenia — bo otoczenie zawsze mogło obrócić się przeciwko chłopcu. Po trzecie — narastająca niechęć, z czasem nienawiść do własnej grupy społecznej — tej, która go odrzuciła i krzywdziła. I z czasem pojawia się punkt krytyczny.

Dwie drogi z tej samej rany

Z psychologicznego punktu widzenia człowiek, który doznaje krzywd, ma dwie drogi. Droga zdrowa: przepracowanie bólu albo znalezienie innego środowiska. Jeśli nie pasujesz do otoczenia, zmieniasz siebie albo — często lepiej — zmieniasz środowisko, szukasz nowego miejsca, gdzie odrzucenie nie będzie wpisane w krajobraz twojego życia. W ten sposób budujesz nowe życie, uczysz się na doświadczeniach, idziesz do przodu. Droga patologiczna: pozostanie i dążenie do wyrównania rachunków. Inaczej niż zdrowy człowiek, jednostka zaburzona — szczególnie obciążona opisanymi cechami — nie ucieka. Zostaje. I działa na szkodę swojej grupy. Tu właśnie zaczynamy rozumieć coś ważnego. Przez lata patrzyliśmy na zdradę jednokierunkowo — przez pryzmat motywacji, jakby wszystkie zdrady były z gruntu podobne. Były i są. Ale to złudzenie precyzji. Bo zdrada zdradzie nierówna.

Istnieje zdrada, którą można nazwać merkantylną. Prosta w swojej konstrukcji, bezduszna w logice. Ktoś płaci — ktoś dostarcza. Albo: ktoś się boi konsekwencji za swoje czyny i obciąża nimi dawnych kolegów, żeby samemu ujść cało. Ten typ zdrady jest powszechny w środowiskach przestępczych, choć nie tylko. Jej motorem jest rachunek ekonomiczny albo strach. Zimna kalkulacja. Nic więcej.

Archetyp zdrady merkantylnej to Judasz. Trzydzieści srebrników — konkretna kwota, konkretna transakcja. Jego motywacja nie jest skomplikowana: cena została ustalona i zapłacona. Zdrada merkantylna nie potrzebuje głębszego psychologicznego uzasadnienia — potrzebuje jedynie płatnika i odbiorcy.

A potem jest zdrada efialtesowa.

I tu trzeba się zatrzymać na chwilę przy samym Efialtesie z Termopil. Herodot — jedyne starożytne źródło, które go opisuje — wspomina o nagrodzie pieniężnej od Persów. Ale czytając pełniejszy obraz jego sytuacji, widzimy coś innego jako motor napędowy: odrzucenie. Efialtes próbował wcześniej walczyć po stronie greckiej — i został przez Spartan odrzucony. To właśnie to odrzucenie, to poczucie, że jego własna strona go nie chce, nie widzi, nie potrzebuje — było pierwotną raną. Pieniądze były dodatkiem, potwierdzeniem, być może nawet symbolem: „przynajmniej ktoś docenia moją wartość." To właśnie czyni go patronem tego syndromu, a nie Judasza. Judasz jest zrozumiały — jest transakcją. Efialtes jest niepokojący — bo jest poneroidea odziana w pozór racjonalności.

I tu kalkulacja kończy się zanim się zaczęła. Bo nasz chłopiec z Gdańska nie działa z wyrachowania. Nie liczy zysków. Nie układa w głowie tabelki przychodów i rozchodów. Nie ma tego rodzaju. On czuje. I właśnie to czyni go tak trudnym do wykrycia — i tak groźnym.

Nie ucieka — bo po co uciekać, skoro można zostać i naprawić? Nie opuszcza pola gry — staje się sabotażystą od wewnątrz. Działa metodycznie, cierpliwie, przez zaplecze, budując podwójne życie. Za dnia zakłada garnitur, na klapie marynarki blask biało-czerwonego serca, udaje lojalnego obywatela, jest reprezentacyjny, poprawny, może i nawet gorliwy w deklaracjach. A nocą, w zasłoniętych oknach, odżywa jego druga tożsamość.

Telefony do cioci Stasi

W dzieciństwie jedynym źródłem oparcia był ten symboliczny bezpieczny port — matka i przez nią niemieccy przyjaciele, którzy nigdy nie dyskryminowali chłopca. To oni przekazali mu kontakt do cioci Stasi, która nie pytała „czyja to wina?", nie szufladkowała, nie potępiała, lecz po prostu słuchała oraz dawała wsparcie i ciepło. Ten kontakt do cioci Stasi pozostał w jego psychice jak znak. W dorosłym życiu funkcjonuje formalnie: na co dzień nosi garnitur, wypina klatkę, manifestuje biało-czerwone serce, w dziennym świetle jest każdym wymaganym wobec swojego kraju lojalnym obywatelem. Ale nocą przywdziewa swoją niemiecką piżamkę. Niemiecką — bo to tam czuje się rozumiany. Wtedy budzi się druga część jego życia: ukryta, intymna, zwrócona ku tej stronie, która zawsze była dla niego bezpieczna, a polskość od dawna kojarzyła mu się z nienormalnością. Nocą wyciąga telefon spod kołdry i dzwoni do cioci Stasi. Dokładnie tak, jak kiedyś, kiedy był dzieckiem uciekającym od bicia ojca — w półmroku i ciszy. Nie dlatego, żeby coś ukryć czy zdradzać, ale dlatego, że tak jest

bezpieczniej i tak on to czuje: to akt sprawiedliwości dziejowej. W jego przekonaniu to nie zdrada własnych, lecz wyciągnięcie ręki do tych, którzy wyciągali ją do niego. Tam, u cioci Stasi, znajduje potwierdzenie swojej narracji, swoją „prawdę". Tam uzyskuje poczucie, że ktoś widzi jego wersję zdarzeń i przyznaje: „Tak, cierpiałeś niesprawiedliwie". Czasem nie kończy się na rozmowach. Pojawiają się dyskretne odwiedziny u cioci Stasi — bez rozgłosu, bez świadków, bez formalnych deklaracji. Wszystko odbywa się pod pretekstem zwykłej podróży czy kontaktu rodzinnego. Na zewnątrz nic się nie zmienia: nadal obowiązuje garnitur i heraldyczne barwy. Ale wewnątrz działa jak Efialtes. W ten sposób podwójność jego życia staje się trwałym mechanizmem. I właśnie tu pojawia się sedno syndromu, który nazywam syndromem Efialtesa: on nie uważa siebie za zdrajcę; on naprawdę wierzy, że robi słusznie. Efialtes z Termopil nie myślał: „jestem podły, zdradzę". Myślał: „mam krzywdy, mam rację, są ci, którzy zrozumieją moją stronę". Człowiek według tego wzorca nie zmienia swoich racji w wyniku manipulacji — wręcz przeciwnie: jego własne krzywdy i przekonania tworzą jego motywację do działania przeciw tym, którzy go skrzywdzili.

Syndrom Efialtesa — analiza warunków

Aby syndrom Efialtesa rozwinął się w pełni, powinny zaistnieć równocześnie co najmniej cztery zasadnicze czynniki:

– Podobnie jak w rozdziale o rombie Adlera, nadkompensacja krzywd z dzieciństwa: model psychologii Alfreda Adlera, w którym w zdrowej formie awersja do własnej grupy może skłaniać do zmiany i rozwoju, zamienia się w destrukcyjny mechanizm kompensacji. Człowiek nie odchodzi — z uprzedzeniem czy nienawiścią wobec swojego otoczenia, postanawia działać przeciwko niemu. Nie opuszcza społeczności — staje się sabotażystą od wewnątrz. Otrzymując już wynagrodzenie i posady od osób reprezentujących interesy cioci Stasi.

– Cechy Ciemnej Triady: w różnym natężeniu manifestują się u niego narcyzm (poczucie wyjątkowości i niezrozumienia przez innych), makiawelizm (instrumentalne wykorzystywanie relacji dla własnego celu) oraz cechy psychopatii — przede wszystkim emocjonalna zimność, patologiczne kłamstwo i brak wyrzutów sumienia. Nie są one jedyną przyczyną zła, ale w tym układzie znacząco wzmacniają destrukcyjny potencjał jednostki.

– Doświadczenie odrzucenia i izolacji: traumatyczne przeżycia z dzieciństwa — przemoc w rodzinie, szykany w szkole, codzienna nieufność środowiska — wzmacniają ujemne przekonania o własnej

grupie. Jeżeli dziecko w takiej sytuacji otrzymuje w domu lub otoczeniu wzorzec narcyzmu i agresji, zwłaszcza proaktywnej, romb Adlera rozrasta się do pełnej patologicznej rozciągłości.

– Zewnętrzne wsparcie lojalnością: ktoś z zewnątrz jego pochodzenia — jako żywiciel podał pomocną dłoń. W przypadku naszego chłopca to „niemiecka strona" stworzyła wobec niego dług lojalności. Nie zawsze świadomie. Ale tak zbudowano w nim poczucie, że jest jeden podmiot, który go rozumie, i drugi, który go zniszczył.

Warto się zatrzymać przy tym czwartym czynniku, bo jest on najsubtelniejszy i najczęściej niedoceniany. Dług lojalności nie działa jak umowa — działa jak kotwica tożsamości. U cioci Stasi nie trzeba było niczego żądać. Wystarczyło, że była. Że słuchała. Że potwierdzała. Mechanizm jest bliźniaczo podobny do tego, co psychologia więzi opisuje jako selektywne potwierdzenie narracji ofiary: zewnętrzny system — czy to obca służba, czy wspólnota religijna, czy ideologiczna sieć — nie tworzy w człowieku nowej lojalności. On odkrywa lojalność, którą już miał, tylko dotąd nie miał dla niej nazwy.

U cioci Stasi nie ma przekupstwa. U cioci Stasi jest zrozumienie. I właśnie dlatego jest groźniejsza od płatnika. Bo płatnik kupuje jednorazowy akt. U cioci Stasi dostaje się przekonanie, że się ma rację — a to jest zasób odnawialny, który nie wygasa i nie wymaga kolejnych transakcji. Człowiek wraca do cioci Stasi nie dlatego, że musi — ale dlatego, że tam jest jego wersja prawdy. Tam jest lustro, które pokazuje go takim, jakim chce siebie widzieć: ofiarą, która wymierza sprawiedliwość.

Ten mechanizm sprawia, że zewnętrzny system nigdy nie musi być aktywnie manipulatywny. Wystarczy, że jest konsekwentnie obecny i konsekwentnie potwierdzający. Z czasem człowiek sam zaczyna filtrować rzeczywistość przez ten pryzmat — odrzuca informacje sprzeczne z narracją cioci Stasi, a wzmacnia te, które ją potwierdzają. Psychologia poznawcza nazywa to potwierdzeniem selektywnym. W kontekście ponerologicznym to mechanizm, który zamienia skrzywdzonego człowieka w broń wymierzoną we własne środowisko — i sprawia, że on sam o tym nie wie, albo co gorsza wie i działa z pełną premedytacją przeciwko grupie społecznej, która go wykształciła i wychowała, czy też próbowała wychować.

Powstaje układ, nie pojedyncza przyczyna. Wg zasady diagnostycznej dictum Hickama u tego samego „pacjenta" współistnieje wiele czynników. Osobno żaden z nich nie da syndromu Efialtesa — razem tworzą nową jakość.

Czym różni się to od zwykłej korupcji?

Wróćmy do rozróżnienia, które jest tu kluczowe. W zdradzie merkantylnej mamy prostą wymianę: płacisz — dostajesz. Mechanika handlowa. Zimna, przewidywalna, łatwa do zrozumienia przez organy ścigania, przez prokuratorów, przez sądy, przez wspólników biznesowych, współpracowników w korporacji czy w środowiskach przestępczych. Można ją wykryć, prześwietlić konta, prześledzić, ujawnić zdrajcę. Zdrada merkantylna jest w pewnym sensie uczciwa w swojej nieuczciwości — wiemy, czego szukać. Tu mechanizm sięga głębiej. Działanie takiej osoby nie jest wynikiem łapówki, lecz przekonania o swojej racji. Może pojawić się korzyść materialna, ale nie jest ona celem sama w sobie. Często wystarczy poneroidea — symboliczne potwierdzenie krzywdy. To uznanie ze strony tych, którzy „zawsze rozumieli", co wzmaga przekonanie o prawdziwości własnej ofiary. I tu dochodzimy do sedna: zdrada efialtesowa nie jest napędzana ideologią w klasycznym sensie. Ideologia jest tylko kostiumem. Pod nią jest coś pierwotniejszego — rana. I cecha, bez której rana nigdy nie przetworzyłaby się w czyn. Bo nie każdy skrzywdzony człowiek zdradza. Zdecydowana większość skrzywdzonych odchodzi, przepracowuje, buduje od nowa. Tylko ten, kto nosi w sobie mocno rozbudowane cechy Ciemnej Triady, zostaje — i szkodzi. To nie przypadek. To warunek konieczny. Bez narcyzmu nie ma poczucia wyjątkowości własnej krzywdy. Bez makiawelizmu nie ma zdolności do długotrwałego, planowego sabotażu. Bez emocjonalnej zimności — cechy psychopatycznej — nie ma możliwości patrzenia w oczy tym, których się niszczy, i uśmiechania się przy tym szczerze. Ta różnica sprawia, że trudniej wykryć zdradę u Efialtesów. Ich działania są spójne wewnętrznie: myślą, że odwzajemniają sprawiedliwość. Nie zdradzają z wyrachowania, lecz z przekonania, że najpierw ich zdradzono.

Skala zagrożenia

W skali mikro taki człowiek niszczy swoje bezpośrednie otoczenie. Jeden toksyczny współpracownik, sąsiad czy kolega potrafi wiele namieszać w małej grupie. Jednak w skali makro — kiedy Efialtes trafi na stanowisko decyzyjne lub dostęp do ważnych informacji — potencjalne skutki mogą być katastrofalne. I tu warto się zatrzymać. Bo błędem byłoby myśleć, że wszyscy Efialtesi są tacy sami. Nasz chłopiec z Gdańska miał swoje krzywdy i swoje możliwości. Kukliński miał inne — inne motywy, inny dostęp, inną skalę działania, inną epokę. Rudolf Hess miał inne. Różne konteksty, różne decyzje, różna skala konsekwencji. I różna ocena moralna — bo ocena moralna Kuklińskiego jest do dziś przedmiotem sporu wśród historyków,

podczas gdy Hessa — nie. Choć obaj przeszli z ustrojów totalitarnych na jasną stronę mocy. Uzasadniając swoje czyny motywacją ideologiczną i troską o mieszkańców krajów i systemów, które zdradzili.

Zestawiam te nazwiska nie po to, by zrównać ich moralnie — to byłoby nadużyciem. Zestawiam je, bo mechanizm wewnętrzny jest strukturalnie podobny: poczucie skrzywdzenia lub wyobcowania przez własną stronę, lojalność przeniesiona na zewnątrz, przekonanie o własnej słuszności. Oceny moralne tych przypadków są od siebie odległe jak bieguny — i celowo je tu oddzielam od analizy mechanizmu. Mechanizm nie jest oceną. Anatomia zdrady nie jest jej usprawiedliwieniem.

Ale wspólny mianownik pozostaje. Niechęć do grupy społecznej, z której się wywodzi. Wewnętrzne poczucie misji lub wyższej racji. I cechy, które pozwalają przekuć to poczucie w długotrwałe, ukryte działanie. Nie działają z zimną krwią najemnika. Działają z gorącą krwią człowieka, który uważa się za ofiarę wymierzającą sprawiedliwość. Każdy z nich pokazuje to samo: najgroźniejsza zdrada nie przychodzi od cynika, który sprzedaje się za pieniądze. Przychodzi od człowieka, który głęboko wierzy, że robi coś słusznego.

Jak rozpoznać syndrom Efialtesa

Postawiliśmy diagnozę — czas powiedzieć, czego szukać. Syndrom Efialtesa jest trudny do rozpoznania właśnie dlatego, że jego nosiciel nie sprawia wrażenia zagrożenia. Wręcz przeciwnie: często jest pilny, zaangażowany, lojalny na pokaz. Ale istnieje kilka wzorców behawioralnych, które — przy właściwej uważności — mogą sygnalizować ten układ.

Pierwszy: asymetria między deklaracjami a wzorcem relacji. Człowiek głośno deklaruje przynależność i lojalność, ale w relacjach prywatnych konsekwentnie pomniejsza wartość swojej grupy, wyśmiewa jej symbole lub narracje — szczególnie przy kontakcie z osobami z zewnątrz. To nie zwykły krytycyzm — to systematyczna delegitymizacja, odbywająca się zawsze w odpowiednim towarzystwie.

Drugi: reaktywność na odrzucenie ponad proporcję zdarzenia. Nawet drobna krytyka lub pominięcie wywołuje reakcję emocjonalną nieadekwatną do bodźca. Człowiek wraca do takich sytuacji wielokrotnie, interpretuje je jako dowód powtarzającego się wzorca prześladowania. Nie przetwarza — kolekcjonuje.

Trzeci: niezwykła szczelność podwójnego życia. Środowiska, w których funkcjonuje zawodowo i prywatnie, są hermetycznie od siebie oddzielone. Pytany o to, racjonalizuje to ochroną prywatności. Ale różnica między chronioną prywatnością a kompulsywną separacją tożsamości jest wyczuwalna: człowiek ze zdrową prywatnością nie panikuje przy pytaniach o swoje kontakty.

Czwarty: lojalność wobec zewnętrznego systemu silniejsza niż wynikałoby to z historii relacji. Ktoś, kogo zna krótko, kto dał mu stosunkowo niewiele, staje się ważniejszy niż wieloletnie środowisko zawodowe lub rodzinne. Wyjaśnienia są gładkie i racjonalne — ale suma tych wyjaśnień nie składa się w spójną całość.

Żaden z tych sygnałów osobno nie jest dowodem. Wszystkie razem — szczególnie w połączeniu z historią odrzucenia przez własną grupę — tworzą wzorzec warty uwagi. Nie chodzi o podejrzliwość wobec każdego outsidera. Chodzi o uważność na wzorzec, który ma swoją wewnętrzną logikę i swoją historię.

Konkluzja

Jak w dictum Hickama — nie ma tu jednej choroby, lecz zespół. Trauma dzieciństwa, odrzucenie społeczności, wypaczony romb Adlera, cechy Ciemnej Triady, zewnętrzne wsparcie lojalności. Chłopiec z Gdańska, którego opisałem, jest postacią fikcyjną — dla bezpieczeństwa autora. Ale wzorzec, który reprezentuje — nie jest fikcyjny. Historia zna go w wielu wariantach, różnych językach, różnych mundurach i garniturach. Dlatego właśnie ta historia ma wspólny mianownik z historycznym Efialtesem: nie chodzi o konkretnego człowieka, lecz o mechanizm. Mechanizm, który można rozpoznać. Który można opisać. Który — jeśli go znamy — można zobaczyć, zanim będzie za późno. Na pierwszy rzut oka taki człowiek może być normalny. Być może nawet wzorowy. Jednak pod tą fasadą kryje się układ, którego działania są destrukcyjne dla jego grupy. Pytanie nie jest akademickie — to kwestia bezpieczeństwa społecznego. Dictum Hickama: musimy umieć rozpoznać ten wzorzec — odróżnić ludzi, którzy po przejściu krzywd zbudują nową drogę, od tych, którzy zostaną, by ją systematycznie podkopywać. To pytanie, na które pieniądze ani prestiż nie odpowiedzą — ale może odpowiedzą psychologia, socjologia i rosnąca wiedza ponerologii.

Na podsumowanie części pierwszej — fragment wiersza:

Jakąż wolnością nam zakwita
nasz wolny wreszcie dzień powszedni,
wolnością pięknych, trudnych pytań,
czy też wolnością głupstw i bredni?

Wolnością, co szacunek budzi,
czy też wolnością świństw i kantów,
wolnością pięknych, mądrych ludzi
czy niedouków, dyletantów?

— Wojciech Młynarski

MANIFEST ZWYKŁEGO CZŁOWIEKA

Ku Karcie Praw Społeczeństw

Rozdział kończący Preludium do Ponerologii

„Jeżeli czegoś nie potrafimy nazwać — to dla nas nie istnieje. Lecz to, co nienazwane, istnieje nadal. I nadal działa.”

— Tomasz Bajdel

I. O ŹRÓDLE ZŁA

Nie pojęcie cnoty. Nie dekalog. Nie deontologia.

Żadne z tych narzędzi nie zatrzymało zła — bo zło ich nie potrzebuje. Ono je studiuje.

Jednostki dyssocjalne traktują systemy etyczne w sposób instrumentalny – jako zbiór kodów kulturowych umożliwiających skuteczną mimikrę społeczną. Ponerologia nie jest zatem nauką o moralności, lecz dyscypliną diagnostyczną. Jej celem jest identyfikacja i prewencyjna neutralizacja wpływów patologicznych w kluczowych węzłach decyzyjnych państwa, zanim nastąpi nieodwracalna degradacja tkanki społecznej.

Bo zło nie rodzi się w kościołach ani w partiach politycznych. Nie mieszka w ideologiach ani w świętych księgach. Zło jest starsze niż każda z tych rzeczy. Jego źródło bywa biologiczne — wpisane w naturę człowieka jako potencjał, który czeka na warunki sprzyjające. Czeka na pustkę, którą zostawia brak pracy nad sobą.

Zło nie jest ideą. Zło jest deficytem.

Mamy dwie natury — dobrą i złą. Mamy wolną wolę, z której należy korzystać, a co za tym idzie — mamy wybór między prawdą a kłamstwem, między porządkiem a chaosem, tworzeniem a destrukcją, między emocjocentryzmem a stoicyzmem, między egoizmem a altruizmem. Jeżeli będziemy się kierowali dobrem wspólnym dla gatunku i przyrody, to nam samym będzie się żyło lepiej, zdrowiej i spokojniej.

I właśnie dlatego granica między cywilizacją a barbarzyństwem nie przebiega tam, gdzie nam wmawiano. Nie dzieli religii od religii, narodu od narodu, lewicy od prawicy. Przebiega wyłącznie — i zawsze — między ludźmi, którzy biorą odpowiedzialność za swoje czyny, a tymi, którzy unikają odpowiedzialności, kłamią, manipulują i zrzucają winę na innych.

System może zwolnić człowieka z kary formalnej. Ale nigdy nie zwalnia go z winy moralnej. Nigdy.

II. O TYM, CZEGO NIE MOŻNA NAZWAĆ

Przez tysiąclecia nazywaliśmy pewnych ludzi złymi. Bezwzględnymi. Pozbawionymi serca. Okrutnymi. I zatrzymywaliśmy

się na tej obserwacji, bo brakowało nam narzędzia, które pozwoliłoby pójść dalej.

Dziś to narzędzie mamy.

To, co przez wieki nazywano złem charakteru, jest często zaburzeniem funkcjonalnym: deficytem empatii, narcyzmem, psychopatią, osobowością paranoiczną, ciemną triadą. Nauka dała nam słowa, których nasi przodkowie nie mieli — i tym samym dała nam broń skuteczniejszą niż jakikolwiek miecz: możliwość nazwania tego, co widzimy.

Bo jeżeli czegoś nie potrafimy nazwać — dla nas nie istnieje. Ale to, czego nie widzimy, nie przestaje działać.

Właśnie dlatego ta książka nosi tytuł Preludium do Ponerologii. Nie jest ostatecznym słowem. Jest pierwszym krokiem — próbą opisania natury zła systemowego, zanim ktokolwiek zdąży powiedzieć, że problemu nie ma, bo jeszcze go nie nazwał.

Walczymy ze złem społecznym objawowo. Wysyłamy do więzień ludzi, którzy sami są ofiarami ignorancji, zepsutego systemu albo braku właściwej diagnozy. Moralna wina bywa gdzie indziej. Przyczyna bywa gdzie indziej. I dopóki jej nie nazwiemy, będziemy leczyć gorączkę zimnym kompresem — skutecznie nigdy.

III. O STRATEGII

Nie ma walki z psychopatą. Nie ma jej i nie może być — bo walka jest jego pokarmem.

Wejście w konflikt z człowiekiem głęboko zaburzonym przypomina wdeptanie w błoto z kimś, kto całe życie mieszkał w błocie i doskonale potrafi się w nim poruszać. Wynik jest przesądzony, zanim zaczniemy. On sprowadzi nas do swojego poziomu i pokona doświadczeniem w błotnistości.

Jedyną skuteczną strategią jest obecność — stabilna, zdrowa, nieugięta obecność normalności. Tam, gdzie normalność jest standardem, patologia nie ma przestrzeni do ekspansji. Nie trzeba walczyć. Trzeba być. Trzeba istnieć, najlepiej w przewadze liczebnej.

Społeczeństwo działa jak organizm. Zdrowy organizm nie walczy bezpośrednio z patogenem — wytwarza środowisko, w którym patogen nie jest w stanie przeżyć. Zdrowe komórki nie muszą walczyć. Muszą istnieć w przewadze.

Jest jednak coś równie ważnego jak obecność: architektura systemu. Instytucje państwowe muszą być tak skonstruowane, żeby były mało atrakcyjne dla jednostek zaburzonych. Zbyt duża walka wyłącznie z przestępczością pospolitą prowadzi do tego, że jednostki zaburzone omijają tę frakcję i idą tam, gdzie łatwiej — do miejsc, w których ich być nie powinno. Do sądów. Do prokuratury. Do administracji. Do polityki. Dlatego transparentność, rotacja, jawna odpowiedzialność i realna kontrola to nie są postulaty idealistów. To są pułapki na patologię. Im szczelniejsze — tym skuteczniejsze.

IV. O EMPATII I JEJ GRANICACH

Empatia jest podstawą życia społecznego. Jest zdolnością rozumienia drugiego człowieka — i bez niej żadna wspólnota nie może przetrwać.

Ale empatia bez rozumu jest ślepa.

Człowiek z nadmiarem empatii, zasłaniając oczy współczuciem, wpuszcza do systemu właśnie tych, którzy w końcu go skrzywdzą. Gdyż ludzie ci bezwzględnie wykorzystują dobro drugiego człowieka, uznając je za naiwność. Nieprzemyślany altruizm nie jest cnotą — jest naiwnością, która otwiera drzwi patologii.

Z drugiej strony człowiek z deficytem empatii krzywdzi otoczenie — najpierw jednostkowo, potem strukturalnie. Gdy taki człowiek dochodzi do władzy to generuje coś na wzór pola grawitacyjnego: przyciąga podobnych sobie, odpycha niezależnych, eliminuje kompetentnych.

Dlatego empatia — jak każda inna cecha — powinna być wyważona i kontekstowo stosowana. Na stanowisku lekarza niezbędna jest etyka troski połączona z kantowską deontologią. Na stanowisku dyrektora szpitala konieczna jest perspektywa utylitarystyczna. Nie ma jednego modelu dla wszystkich ról — jest za to jedno kryterium nadrzędne: świadoma, uczciwa i ukształtowana ocena, a potem wyzwolona spod socjalizacji zdolność samodzielnego myślenia, trafnej oceny sytuacji oraz odpowiedzialność za swoje decyzje. Zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym.

V. O MECHANIZMIE ZŁA SYSTEMOWEGO

Każdy, kto krzywdzi w skali mikro, będzie krzywdził w skali makro.

To nie jest metafora. To mechanizm o niemal matematycznej regularności. Skala się zmienia — wzorzec pozostaje ten sam. Ten, kto manipuluje w małej grupie, zrobi to samo w strukturze państwowej. Ten, kto upokarza podwładnych, będzie upokarzał obywateli, kto nie szanuje współmałżonka, nie będzie szanował narodu.

Zachowanie jest skalowalne — i właśnie dlatego można je prognozować.

Zło systemowe nie pojawia się nagle. Narasta cierpliwie, trójstopniowo: najpierw biologiczna zdolność do krzywdzenia zostaje uruchomiona, następnie proceduralnie usprawiedliwiona, na końcu politycznie zalegalizowana. W tym momencie system przestaje być narzędziem społeczeństwa. Staje się narzędziem tych, którzy go przejęli.

Władza zaburzona działa zawsze według tego samego schematu: dobiera ludzi na swoje podobieństwo, awansuje lojalność zamiast kompetencji, eliminuje niezależność, a etykę przekształca w instrukcję obsługi kariery. Patologia nie niszczy etyki wprost — ona ją wypacza. Przerabia ją w narzędzie. Niszczy język, a to język jest podstawowym źródłem komunikacji.

I tu leży najgłębsza zdrada: system nie przestaje mówić o wartościach. Mówi o nich głośniej niż kiedykolwiek. Tylko że słowa odkleiły się od rzeczywistości. „Wolność" oznacza lojalność wobec władzy. „Równość" oznacza równość tych, którzy się podporządkowali. „Sprawiedliwość" oznacza wyrok wydany przed zapoznaniem się z aktami.

Gdy etyka przestaje być kompasem i staje się kostiumem — system wchodzi w fazę rozkładu.

VI. O CYKLU, KTÓRY SIĘ POWTARZA

Historia nie kłamie. Struktury przechodzą zawsze ten sam cykl:

Powstanie → Dynamiczny wzrost → Centralizacja → Reżim → Dekadencja → Upadek.

Nigdy nie kończy się inaczej. Ani raz w całej historii ludzkości.

Pierwsi odchodzą najzdrowsi — ci, którzy widzą i mogą uciec. Potem uciszani są myślący samodzielnie. Zostają fanatycy, ci, którzy mają coś do stracenia, i konformiści. Społeczność staje się hermetyczna. Demokracja przepoczwarza się w system oligarchiczny. Decydenci żądają coraz więcej. I gdy zewnętrzne zasoby — finanse, zaufanie, ludzka energia — się kończą, następuje upadek.

A jeśli po upadku na stanowiskach decyzyjnych pozostają ci sami ludzie — historia się powtarza. Silniejsza struktura, lepsza organizacja, ten sam koniec. Nie da się osiągnąć innych wyników, wykonując te same czynności.

Jednym z pierwszych objawów powstawania systemu oligarchicznego jest gwałt na domniemaniu niewinności, czy ograniczanie wolności słowa, później może nadejść okres palenia książek. Między tymi dwoma punktami leży droga, którą każda zdegenerowana władza pokonuje z niezawodną regularnością.

Sekwencja degradacji wygląda tak: inflacja prawa, manipulacja językiem, selekcja negatywna, centralizacja, kryzys ekonomiczny, utrata zaufania, rozpad lub autorytaryzm.

Nie każdy system kończy się wojną. Część przechodzi w miękki autorytaryzm. Część w rozpad instytucjonalny. Mechanizm pozostaje ten sam.

VII. O WYMIARZE SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓRY NIE JEST SPRAWIEDLIWY

Mówi się: prawo jest równe dla wszystkich. W teorii — tak. W praktyce — nie.

Służby mundurowe w standardzie nadużywają swoich uprawnień. Traktują obywatela jak podejrzanego z definicji — i robią to bezkarnie, bo system ich chroni. Przemoc fizyczna jest tylko jedną z form przemocy, którą aparat państwowy stosuje wobec swoich obywateli. Groźniejsza jest przemoc proceduralna. Najgroźniejsza — instytucjonalna, ukryta za legalnością. Do tego dochodzą nieformalne prześladowania, przeciąganie procedur, rozmywanie odpowiedzialności, szerzenie hejtu i dezinformacji.

Oskarżyciel publiczny, który powinien stać po stronie ofiary, nierzadko działa jak adwokat dla systemowych oprawców. Broni procedury zamiast człowieka. Chroni instytucję zamiast godności.

Sądy — największy paradoks. Instytucje powołane do wymierzania sprawiedliwości, obsadzone w zbyt wielu przypadkach przez ludzi, którzy zawdzięczają swoje stanowiska nie kompetencjom, lecz koneksjom. Wyroki wydawane przed zapoznaniem się z aktami. Ocena oparta o wrażenie, nie dowód.

Fundament przyzwoitości prawnej — domniemanie niewinności — jest dziś w wielu miejscach pojęciem czysto teoretycznym. A bez tego fundamentu nie można zbudować niczego trwałego.

Jeżeli akceptujemy, że głos wyborczy człowieka spod monopolowego waży tyle samo, co głos profesora politologii — a akceptujemy to, bo nie wymyśliliśmy nic lepszego — to ta sama logika powinna obowiązywać w sądzie. Domniemanie niewinności nie pyta o wykształcenie, adres ani reputację. Formalna równość, która czyni demokrację znośną, jest tą samą równością, która czyni proces sprawiedliwym. Wypaczone domniemanie niewinności jest krokiem w kierunku państwa równych i równiejszych.

A powinno być odwrotnie. Zawodowcy powinni podlegać surowszemu prawu niż przeciętny obywatel — bo monopol wiedzy i władzy zobowiązuje. Im większa decyzyjność — tym większa odpowiedzialność. Im wyższe stanowisko — tym surowsza kara za nadużycie.

Korupcja czy złośliwość sędziego nie może być traktowana tak samo jak łapówka za przekroczenie prędkości. Nadużycie prokuratora nie może kończyć się przeniesieniem do innego okręgu, bo w czasach płynnej rzeczywistości równie dobrze można by mu dać krzesło obrotowe i drugie biurko za plecami.

Sumienie jest indywidualne — i właśnie dlatego nie może być jedynym zabezpieczeniem w strukturze władzy. Tam muszą działać przepisy. I konsekwencja ich egzekwowania. Bez wyjątków. Bez taryfy ulgowej dla munduru, togi czy tytułu.

VIII. O EDUKACJI JAKO PIERWSZEJ LINII OBRONY

Jak już zdążyliśmy się dowiedzieć, gałęzie żadnego drzewa nie sięgną nieba, jeżeli jego korzenie nie widziały piekła. Więc dobrze jakby młodzież poznawała trudności życia, wtedy powinni stać się lepszymi ludźmi.

Niestety polski system szkolnictwa wzorowany na XIX wiecznym systemie pruskim nie jest oazą edukacji i kreatywności, lecz fabryką posłuszeństwa.

Społeczeństwo, które nie rozumie mechanizmów patologii, będzie je odtwarzać. Pokolenie, które nie zetknęło się z cierpieniem, biedą, chorobą i starością, nie wyhoduje empatii z samej teorii. Empatii nie da się wkuć jak tabliczki mnożenia. Trzeba ją przeżyć: przez wolontariat, czy to w schronisku dla zwierząt, czy w hospicjum, przez obecność przy chorym, starym, samotnym człowieku, przez realny kontakt z tym, co kruche i niewygodne. Dlatego trzeba łączyć instytucje, które dziś żyją osobno: domy dziecka z domami spokojnej starości, szkoły z hospicjami, młodzież ze schroniskami dla zwierząt. Empatia ma być doświadczeniem, nie hasłem z plakatu.

System edukacji musi przestać być jednorodną maszyną do produkcji posłusznych odruchów. Potrzebuje różnorodności, która pozwala wcześnie rozpoznawać predyspozycje, zanim socjalizacja zamieni człowieka w atrapę samego siebie. Nie chodzi o wykluczanie kogokolwiek. Chodzi o dopasowanie. Człowiek z określonymi cechami nie musi być usunięty z życia społecznego — musi zostać skierowany tam, gdzie jego właściwości nie staną się zagrożeniem dla innych.

To samo dotyczy cech, które w jednych warunkach są zasobem, a w innych są bronią. Człowiek o cechach psychopatycznych, osadzony w środowisku z jasnymi regułami, twardą kontrolą i ograniczoną możliwością szkody, może być skuteczny i użyteczny. Ten sam człowiek w roli sędziego, lekarza albo funkcjonariusza bez realnego nadzoru potrafi niszczyć ludzi. To nie jest wyłącznie kwestia moralna. To jest kwestia błędnego przypisania człowieka do funkcji.

Szkoła w obecnym kształcie zbyt często nagradza pamięć, podporządkowanie i zdolność do chodzenia po sznurku, a nie samodzielność myślenia. Badania nad relacją między ocenami a późniejszym funkcjonowaniem zawodowym pokazują, że związek ten istnieje, ale jest ograniczony i zależny od kontekstu. Wskazuje na raczej umiarkowanie słabą zależność między osiągnięciami akademickimi, a wynikami pracy. O sukcesie zawodowym decyduje znacznie więcej niż szkolna średnia: także szerzej rozumiany kapitał ludzki, cechy osobowości i warunki środowiskowe.

Czerwony pasek na świadectwie świadczy więc przede wszystkim o pilności, wytrwałości, sumienności i zdolności do funkcjonowania według narzuconych reguł. To są cechy ważne. Niestety bardziej dla systemu, niż dla jednostki, która z założenia powinna być wolna. Nie są one dowodem kreatywności, odwagi

myślenia ani inteligencji samej w sobie. Najlepiej rozwija się umysł wolny, o czym przez tysiące lat wspominali w swoich dziełach znawcy tematu. Z badań nad osobowością wiadomo zresztą, że sumienność jest jednym z najmocniejszych predyktorów wyników szkolnych; sama szkoła częściej mierzy więc gotowość do systemu niż pełnię człowieka.

Dla człowieka twórczego, niepokornego, niepasującego do taśmowej dyscypliny, szkoła bywa nie kuźnią, lecz przycinarką. Zbyt często uczy mechaniczności: odtwarzania, nie tworzenia; uległości, nie odwagi; poprawności, nie myślenia. Tymczasem badania i literatura o kreatywności pokazują, że systemy egzaminocentryczne potrafią premiować konformizm i tłumić myślenie dywergencyjne zamiast je rozwijać.

To nie jest już konieczne. Ustrój, dla którego taka szkoła była naturalnym narzędziem, zakończył swój żywot w 1989 roku. Niestety ludzie go reprezentujący i ich potomkowie, którzy nie przeszli na jasną stronę mocy nadal mają zdolność decyzyjną w sądach, szkołach i medycynie. Jeśli edukacja ma służyć przyszłości, nie może dalej produkować ludzi posłusznych wobec świata, którego już nie ma. Ma wychowywać tych, którzy rozumieją cierpienie, widzą patologię, rozpoznają różnice i potrafią ustawić człowieka tam, gdzie będzie pożyteczny, a nie groźny.

Edukacja empatii nie jest sentymentalizmem. Jest strategią przetrwania gatunku.

IX. O ALGORYTMACH, KORPORACJACH I ODPOWIEDZIALNOŚCI TECHNOLOGICZNEJ

Nie ma dziś mowy o Karcie Praw Społeczeństw bez zakazania nadużywania technologii w celach czysto eksploatacyjnych.

Podkręcanie algorytmów tak, by nakręcały agresję, stres i nerwy, powinno być zakazane. Nieuczciwa sprzedaż, nieuczciwa reklama i projektowanie systemów, które żerują na słabości człowieka, nie są „modelem biznesowym". Są przemocą w opakowaniu.

To ludzie programują algorytmy. To ludzie ustawiają mechanizmy. To ludzie decydują, co ma być promowane: spokój czy chaos, wiedza czy wrzask, prawda czy bodziec.

Duże korporacje muszą podlegać surowszemu prawu niż przeciętny obywatel — bo ich zasięg jest nieporównywalnie większy, a więc i odpowiedzialność musi być nieporównywalnie większa. Ich

wolność nie może być prawem do degradacji człowieka. Ich działanie musi respektować zasadę: nie szkodzić.

Póki co, człowiek dla korporacji jest środkiem miażdżącym relacje społeczne, a celem jest zysk.

X. O NIEZBĘDNYCH REFORMACH

Zło systemowe można naprawić. Trzeba tylko chcieć je zrozumieć i wykazać wolę jego nazwania — bo bez nazwy problemu nie da się go rozwiązać.

Proponuję konkretne mechanizmy:

Po pierwsze — dwukadencyjność na każdym szczeblu władzy. Maksymalnie dwie kadencje pod rząd, po których następuje obowiązkowa przerwa trwająca co najmniej dwie kadencje. Dotyczy to parlamentarzystów, radnych, prezydentów miast, wójtów, sołtysów. Kto jest naprawdę dobry — wróci. Kto jest przyklejony do stołka — odpadnie.

Po drugie — pełna, publiczna weryfikacja kandydatów na stanowiska publiczne. Kandydat do Sejmu, na fotel sędziego, na stanowisko prokuratora — podlega pełnemu badaniu: kwalifikacji, historii zawodowej, opinii środowiskowych, testów predyspozycji intelektualnych i psychologicznych. Wszystko podane do publicznej wiadomości. Obywatel ma prawo wiedzieć, kto ma nad nim władzę i dlaczego.

Po trzecie — realna odpowiedzialność za decyzje. Nie odpowiedzialność „systemu" — odpowiedzialność konkretnych ludzi. Kto skazał bez zapoznania się z aktami, kto przepchnął ustawę szkodliwą dla społeczeństwa — odpowiada. Skala kary musi odpowiadać skali władzy i skali krzywdy.

Po czwarte — przywrócenie domniemania niewinności jako fundamentu prawa. Nie jako hasła. Jako praktyki.

Po piąte — reforma edukacji w kierunku różnorodności, wczesnego diagnozowania predyspozycji i kształtowania empatii przez doświadczenie. Nauka współpracy, nie ślepego posłuszeństwa.

Po szóste — odpowiedzialność technologiczna. Algorytmy społecznościowe, reklamowe i sprzedażowe muszą być poddane kontroli etycznej, prawnej i społecznej. Ich zadaniem nie może być podkręcanie agresji, nerwowości i manipulacji.

Po siódme — silniejsze prawo wobec korporacji niż wobec jednostek w obszarze wpływu systemowego. Im większy zasięg — tym większa odpowiedzialność.

Po ósme — referenda przy okazji każdych wyborów, żeby kierować przepisy pod aktualne potrzeby społeczeństwa. Ponadto każda partia po wygranych wyborach powinna swoje sztandarowe pomysły/obietnice wprowadzać w życie w określonym czasie, pod rygorem odwołania rządu. Uniknęlibyśmy wtedy krzywdzących kłamstw wyborczych — obietnic, które nigdy nie miały być spełnione. Demokracja bezpośrednia nie zastępuje demokracji przedstawicielskiej. Ją uzupełnia i kontroluje.

Po dziewiąte — przemoc to przemoc — mała, średnia czy duża. Każda powinna być piętnowana. Kierunek jest jeden: zero tolerancji dla krzywdzenia kogokolwiek przez kogokolwiek korzystającego z autorytetu państwa, kapitału albo technologii.

XI. O BOGU I WOLNEJ WOLI

Religia jest fundamentalnym aspektem ludzkiego życia — i byłoby intelektualną nierzetelnością to przemilczeć.

Chrześcijaństwo w swej dominującej tradycji uznaje wolną wolę za fundament odpowiedzialności moralnej. Kant uzasadnił ją filozoficznie jako fundament moralności. I im bardziej nauka wnika w strukturę rzeczywistości — w złożoność świadomości, w matematyczną elegancję wszechświata, w niewyjaśniony próg między materią a duchem — ja sam widzę w tym coraz silniejszy argument za istnieniem siły wyższej, która nadaje temu wszystkiemu sens.

Bez względu na wyznanie — każdy system religijny w swej zdrowej formie naucza tego samego: dobra, miłości bliźniego, odpowiedzialności za swoje czyny. Każdy system religijny, który nawołuje do przemocy, jest w danej chwili w rękach ludzi zaburzonych. Żaden Bóg — ani żaden zdrowy rozum — nie nawołuje do przemocy wobec własnego gatunku i jakiegokolwiek innego żywego stworzenia.

Wolna wola to dar i ciężar zarazem. Możemy jej użyć do budowania albo do niszczenia. Ta książka jest argumentem za tym pierwszym.

XII. KARTA PRAW SPOŁECZEŃSTW

Jest Karta Praw Człowieka. Chroni jednostkę przed przemocą władzy. W Polsce niestety tylko w teorii. Niemniej w skali świata to wielkie osiągnięcie cywilizacji.

Ale brakuje czegoś równie ważnego. Czegoś, czego dotąd nikt nie sformułował wprost.

Brakuje Karty Praw Społeczeństw.

Nie jesteśmy tylko jednostkami. Jesteśmy organizmem. Funkcjonujemy jak orkiestra — i tylko wtedy, gdy każdy instrument gra swoją część, powstaje muzyka. Gdy jeden zaczyna grać wyłącznie dla siebie — powstaje hałas, który zagłusza wszystkich.

Taka karta powinna określać: prawa społeczeństwa do kompetentnych reprezentantów, prawa społeczeństwa do transparentności władzy, prawa społeczeństwa do realnej odpowiedzialności decydentów, prawa społeczeństwa do ochrony przed manipulacją technologiczną i algorytmiczną, obowiązki jednostki wobec wspólnoty, która ją utrzymuje, mechanizmy ochrony przed patokracją — rządzeniem przez zaburzonych.

Istnieją prawa stałe i prawa zmienne. Stałe — wynikające z natury człowieka — są fundamentem każdego zdrowego systemu: równość wobec prawa, nienaruszalność życia, zakaz krzywdzenia słabszego, zakaz tortur, domniemanie niewinności. Zmienne — zależne od kultury i etapu jej rozwoju — mogą ewoluować. Ale nie mogą podważać fundamentów.

System może żyć bez wielu rzeczy. Nie może żyć bez fundamentów.

XIII. ZAKOŃCZENIE: O WYBORZE

Gdyby ludzie potrafili żyć ze sobą jak ludzie, nie byłyby potrzebne kodeksy pisane paragrafami. I pewnie kiedyś jako ludzkość to osiągniemy. Najpierw jednak musimy rozpoznać zło.

Ofiara, która wstydzi się tego, że stała się ofiarą, jest już niewolnikiem. Człowiek, który milczy ze strachu, już częściowo oddał swoją wolność.

To mechanizm kontroli głębszy niż przemoc fizyczna. I właśnie dlatego jest najgroźniejszy.

Nie napisałem tego manifestu, żeby wzbudzić gniew. Napisałem go, żeby nadać imię temu, co dotąd pozostawało bezimienne. Bo tylko to, co potrafimy nazwać — możemy zmienić.

Nie chodzi o rewolucję. Chodzi o korektę kursu. O budowanie świadomości jednostkowej i społecznej. Nie chodzi o obalenie systemu. Chodzi o jego naprawę i kontrolę przez społeczeństwo — zanim stanie się zbyt późno i historia zatoczy koło.

Każda cywilizacja, która konsumuje więcej niż produkuje, traci stabilność. Każdy system, który premiuje lojalność zamiast kompetencji, wypada ze swojej roli. Każde społeczeństwo, które nie rozumie mechanizmów patologii, będzie je reprodukować.

Pytanie, które każdy z nas powinien sobie zadać, jest jedno: czy chcę, żeby moje dziecko musiało kiedyś chwycić za broń — czy wolę, żebym ja, teraz, chwycił za słowo, za wiedzę, za aktywność obywatelską, za uczciwe życie w przestrzeni publicznej?

Bo jak nie ja, to kto?

System może kształtować człowieka na swoje podobieństwo i z większością społeczeństwa mu się to udaje. O czym był rozdział o przystosowaniu się do aktualnych warunków.

Niemniej, ostatecznie to nie system tworzy człowieka. To człowiek tworzy system. Zawsze.

„Wszystko to, co ludzie od zarania dziejów nazywali dobrym sercem, jest po prostu zdrowym rozumem."

Tomasz Bajdel

SŁOWNICZEK POJĘĆ

Asabijja
Termin Ibn Khalduna oznaczający społeczną spójność i gotowość do działania razem dla wspólnego dobra. Najsilniejsza na początku cywilizacji, słabnie wraz z dobrobytem.

Awersyjność społeczna
Nienawiść lub głęboka niechęć do własnej grupy społecznej. W zdrowej formie może prowadzić do zmiany środowiska. W patologicznej — do działania na szkodę tej grupy z wewnątrz.

Behavioral sink (zlew zachowań)
Pojęcie Johna Calhouna opisujące rozpad norm społecznych u gryzoni przy nadmiernym zagęszczeniu i utracie struktury. Używane jako analogia (nie dowód) do zjawisk społecznych.

Charakteropatia wtórna
Pojęcie Andrzeja Łobaczewskiego. Proces, w którym normalny, zdrowy człowiek — przez długotrwały kontakt ze środowiskiem zdominowanym przez jednostki bez empatii i bez zasad — zaczyna przejmować ich wzorce zachowania. Nie z wyboru moralnego, lecz przez adaptację: mózg uczy się wzorców nagradzanych w danym środowisku. Charakteropatia wtórna nie boli — nie ma jednego momentu przełomu, tylko tysiąc małych kroków, z których każdy wydaje się rozsądny. Na końcu człowiek nie wie, że cokolwiek się stało.

Ciemna triada
Psychologiczny konstrukt opisujący trzy nakładające się cechy: narcyzm, makiawelizm oraz psychopatię.

Dictum Hickama
Zasada diagnostyczna: u danego pacjenta może współwystępować wiele chorób jednocześnie. W ponerologii: syndrom może być wynikiem wielu współistniejących czynników.

Emocjocentryzm
Stan, w którym emocja staje się głównym filtrem rzeczywistości, wypierając rozum i odpowiedzialność.

Faza dysymulatywna
Etap, w którym patologiczna jednostka ukrywa swoje prawdziwe cechy, prezentując maskę normalności. Kluczowy etap infiltracji zdrowego systemu.

Heteronomia
Zasada działania, w której normy moralne pochodzą z zewnątrz, nie z własnego rozumu. Przeciwieństwo autonomii kantowskiej.

Imperatyw kategoryczny
Zasada etyczna Kanta: postępuj tylko według takiej maksymy, co do której możesz chcieć, aby stała się powszechnym prawem.

Karykaturyzacja
Proces, w którym instytucja zachowuje zewnętrzną formę przy jednoczesnej utracie treści i sensu.

Koherencja
Pojęcie Aarona Antonovsky'ego: wewnętrzne przekonanie, że świat jest zrozumiały, że masz zasoby, żeby się w nim poruszać, i że twoje działanie ma sens.

Makiawelizm
Instrumentalne traktowanie relacji i ludzi dla własnych celów. Jeden z elementów ciemnej triady.

Okno Overtona
Koncepcja opisująca zakres poglądów aktualnie akceptowalnych społecznie. Przesuwanie okna polega na stopniowym oswajaniu z coraz bardziej skrajnymi poglądami.

Ostentacyjna konsumpcja
Pojęcie Veblena: kupowanie dóbr nie dla ich użyteczności, lecz dla sygnalizowania statusu społecznego.

Paralogizm
Błąd w rozumowaniu, który na zewnątrz wygląda jak poprawny argument.

Paramoralizator
Zdanie brzmiące jak ocena moralna, ale niemające faktycznej treści etycznej.

Patokracja
System rządów, w którym władza trafia w ręce osób o zaburzeniach osobowości. Termin Andrzeja Łobaczewskiego.

Płynna nowoczesność
Pojęcie Baumana: epoka, w której tradycyjne stabilne struktury uległy upłynnieniu, a tożsamość staje się projektem wymagającym ciągłego odświeżania.

Poneroidea
Idea, która pozornie odwołuje się do wartości pozytywnych — sprawiedliwości, wolności, troski, wspólnoty — ale została wypaczona przez patologię i w rzeczywistości służy systemowi chorobowemu. Wygląda jak dobro. Działa jak narzędzie zła. Odróżnienie idei od poneroidei wymaga analizy skutków, nie deklaracji.

Ponerologia
Nauka o naturze i źródłach zła, szczególnie zła systemowego i politycznego. Termin Andrzeja Łobaczewskiego.

Poneromnezja
(z gr. poneros — zły, szkodliwy + mnesis — pamięć) — selektywna, systemowa niepamięć, w której instytucja lub jednostka „zapomina" wyłącznie te fakty, terminy czy zobowiązania, których pamiętanie byłoby dla niej niewygodne lub kosztowne, jednocześnie bezbłędnie pamiętając to, co działa na jej korzyść. W odróżnieniu od zwykłego zapomnienia (przypadkowego, symetrycznego) poneromnezja ma wyraźny kierunek: błąd pamięci nigdy nie szkodzi pamiętającemu, zawsze obciąża stronę słabszą. Mechanizm ten funkcjonuje jako niejawne narzędzie przewagi proceduralnej — pozwala unikać odpowiedzialności bez konieczności jawnego kłamstwa, ponieważ formalnie jest to tylko „pomyłka".

Poneryzacja
Proces, przez który zdrowa instytucja, język lub wartość ulega stopniowemu zakażeniu przez patologię.

Poneryzacja języka
Proces stopniowego wypaczania znaczeń słów i struktur językowych, który poprzedza poneryzację instytucji. Eufemizm, paramoralizator, paralogizm, nowomowa i dehumanizacja przez słowo są jego narzędziami.

Romb Adlera
Model Alfreda Adlera, w którym poczucie niższości może prowadzić do zdrowego wzrostu lub do patologicznej żądzy dominacji.

Salutogeneza
Pojęcie Antonovsky'ego: nauka o źródłach zdrowia. Zamiast pytać „dlaczego chorujemy?", pyta „co sprawia, że jesteśmy zdrowi mimo trudności?".

Selekcja negatywna
Proces awansowania ludzi lojalnych kosztem kompetentnych i uczciwych.

Spektakl
Pojęcie Deborda: stan, w którym bezpośrednie doświadczenie zostaje zastąpione przez obrazy i reprezentacje.

Syndrom Efialtesa
(Termin autorski, hipoteza robocza) układ cech: wypaczony romb Adlera, cechy Ciemnej Triady, trauma odrzucenia przez grupę pierwotną i zewnętrzne wsparcie lojalnościowe — prowadzący do działania przeciwko własnej grupie z wewnętrznym przekonaniem o słuszności.

Utylitaryzm
Kierunek etyki oceniający czyny według ich skutków: moralnie słuszne jest to, co przynosi największą sumę szczęścia największej liczbie osób. Jego twórcą jest Jeremy Bentham; w wykonaniu Johna Stuarta Milla utylitaryzm stał się wersją wrażliwszą na jakość szczęścia i wolność jednostki. Mill zasłynął również z zaangażowania w prawa kobiet — był pomostem między Wollstonecraft a Pankhurst.

Wyporność psychiczna
Zdolność grupy do rozpoznawania patologicznych wzorców i przeciwstawiania się im.

O AUTORZE

Określiłbym siebie jako skrajnie radykalnie ortodoksyjnego wolnościowca — fanatyka jednego: absolutnego odrzucenia wszelkich form fanatyzmu. Za swoje trzy główne cechy uważam cierpliwość, lojalność i tolerancję.

Jako autor Preludium do ponerologii proponuję następującą literaturę pomagającą zrozumieć mechanizmy zła społecznego

LEKKI START

Wejście w mechanizmy tłumu, propagandy i przemocy społecznej

1)Folwark zwierzęcy

2)Władca much

3)Rok 1984

4)O tyranii

5)Obrona Sokratesa

ŚRODEK

Człowiek w systemie, psychologia podporządkowania i normalizacja zła

6)Proces

7)Książę

8)Rozmowy z katem

9)Ucieczka od wolności

10)Eichmann w Jerozolimie

11)Dziewczyna z sąsiedztwa (książka oparta o historię Sylvii Likens)

RDZEŃ

Społeczeństwo patologiczne i deformacja percepcji rzeczywistości

12)Teoria klasy próżniaczej

13)Społeczeństwo spektaklu

14)Płynna nowoczesność

15)Ponerologia polityczna

FILOZOFICZNE DOMKNIĘCIE

Fundamenty etyki, polityki i odpowiedzialności moralnej

16)Państwo

17)Etyka nikomachejska

18)Uzasadnienie metafizyki moralności